

De II. 1.
OGÓLNEGO ZBIORU TOM 171.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1883.

SERYA V.

Lipiec.

TOM III. — ZESZYT VII.

WARSZAWA.
W Drukarni Józefa Bergera.

Ulica Elektoralna, Nr. 14.

—322—

Ukończono druk dnia 2 lipca 1883 r.

T R E Ś Ć.

	stron.
I. Sceptycy, stoicy i epikurejczycy. Odczyt na dochód Osad rolnych. Przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego.	1
II. Jan Szczęsny Herbut, pierwszy wydawca Kroniki Długoszowej. Napisał August Sokołowski. (Dokończenie).	14
III. Rafael Santi, jego epoka, działalność i znaczenie w rozwoju malarstwa. Przez Karola Matuszewskiego. (Dok).	39
IV. Obraz ekonomiczno-statystyczny archidiecezyji gnieźnieńskiej w XVI wieku. Przez Stanisława Marońskiego.	66
V. Z czarnej godziny. Powieść z niedawnej przeszłości. Przez Feliksa Śrzeniawitę. (Dalszy ciąg).	83
VI. Konwersya renty francuzkiej. Przez d-ra Bronisława Łozińskiego.	99
VII. Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna. Uroczystość akademicka: przyjęcie biskupa d'Autin.—„Tekka Nieczui.“—Wystawa rzeźb i obrazów w Salonie.—Realizm w sztuce: Zmarły Manet.—„Męczeństwo Jezusa z Nazaretu“ p. Morot.—„Szubienice Golgory“ p. Brunet.—„Hold pastuszków w stajence“ p. Lerolle.—„Andromaka“ p. Rochegrosse.—„Pani Roland pod gilotyną“ p. Royer.—„Rouget de Lisle tworzący marsyliankę“ p. Melingue.—„Kościuszkę“ p. Poilleux.—„Wygnanie Benedyktynów z Solesmes“ p. Carron.—„Dwie siostry“ p. Giron.—Dwa obrazy z życia wiejskiego ludu p. Bretona.—„Rybacka z dziećmi“ pani Demond.—Breton.—Obrazy wiejskie pp. Lepagé, L'Hermite, Langie i t. d.—Marynarki, pp. Benouf, Butin i innych.—Portrety: Hennera, Carolusa, Duran, Bonnata.—Utwory malarzy polskich:—„Scena Wojenna z XVII w.“ Józefa Brandta.—„Polowanie na lisa,“ „Napał wilków“ Józefa Chełmońskiego.—„Mojżesz“ p. Merwarta.—„Estera“ p. Edwarda Zier.—„Maryja Magdalena“ Wiktora Zier.—„Scena w więzieniu“ p. Gersona.—Portrety: pp. Bakałowicza, Pochwałskiego, Krabańskiego.—„Schadzka łowiecka“ p. Piotrowskiego.—Obrazek rodzajowy pana Wierusza Kowalskiego.—Portret profesora D... panny Wislockiej.—Krajobrazy pp.: Krasnopolskiego, Słomczyńskiego, Gąsowskiego, Karbowskiego.—Portret na porcelanie panny Heleny Duchyńskiej.—Wypuklorzeźba p. Dalou.—Popiersie L. M., przez p. Goddebskiego i t. d.—Wspomnienie z lat młodych Renana.—Juliusz Sandeau.—Zabytek archeologiczny: pas z XVI w.	117
VIII. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.	
„Do nieznanomój.“ Nowelle z rękopismu znalezionej przepisanej Leopold Meyet. Wilno, 1882 roku. Przez Kazimierza Kaszewskiego.	131

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 171.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1883.

Tom trzeci.

WARSZAWA.
W Drukarni Józefa Bergera,
ulica Elektoralna, Nr. 14.

—
1883.



De. II. 1.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 16 Июня 1883 года.

А. В. Д. П. Д. В.

Варшавский университет

Библиотека

SCEPTYCY, STOICY I EPIKUREJCZYCY *)

PRZEZ

Wojciecha hr. Dzieduszyckiego.

I.

Panie i panowie!

Niejednemu się wydaje czczeniem zajęciem i próżną zabawką badanie dziejów odległej starożytności; niejednen myśli, że tylko ciekawi próżniacy mogą się zajmować życiem tak dawno zapadłych czasów. Bo i w czymże może na nas wpłynąć życie ludzi, którzy legli w mogiłach lat temu dwa tysiące, których narody zeszyły z oblicza téj ziemi, których mowa przebrzmiała i wiara przepadła, i którzy w tak stanowczo odmiennych stosunkach żyli, że trudno nam się nawet przenieść myślą w ich otoczenie?

Dla mnie nie istnieje pod tym względem żadna wątpliwość. Kto się znajduje na stoku góry, ten zblizka dostrzeże niejednen ciekawy szczegół, ale nie rozpozna kształtu góry. Zdaleka trzeba stanąć, aby zobaczyć wielkie linie krajobrazu, a co jest prawdą w przestrzeni i w przyrodzie, jest niemniej prawdą w dziejach. Znamy dokładniej życie nowożytnych narodów, ale uczestniczymy w niem i przez to samo trudno nam o niem wydać sąd spokojny. Przebywamy wśród niego, nie wiemy, na czém się skończy i jakie ostatecznie przebędzie koleje, i przeto patrząc na bieżące wypadki, sądzymy je nie po skutkach, ale wedle namiętności przenikających naszą duszę, wedle naszych obaw i nadziei. Dopiero gdy w dali, w starożytności zobaczymy całokształt życia umarłych narodów, gdy zobaczymy wszystkie ich koleje, i gdy poznamy w dalekiej przeszłości wypadki podobne do dzisiejszych i dokonane już ich skutki, możemy właściwszą miarę przyłożyć do dziejów dzisiejszej doby. Starogreckie i starorzymskie czasy sądzymy zimno i przedmiotowo, a potem dopiero możemy zapomocą tego sądu

*) Rzecz, którą niniejszém drukujemy, wypowiedział hr. W. Dzieduszycki w sali ratuszowej, w Warszawie, dnia 30, 31 marca i 1 kwietnia r. b., w trzech prelekcjach na dochód Osad rolnych. *Przyp. Red.*

sprostować własne namiętne, a przeto spaczone zdanie o tém, co się dokoła nas dzieje.

Co jest prawdą o dziejach politycznych, jest także prawdą o dziejach myśli ludzkiej. Niejeden systemat dzisiejszej filozofii dobi-ja się głośno uznania dla siebie, twierdząc, że poraz pierwszy dostąpił prawdy, i że posiadał całą prawdę, i pewność, z którą występuje, jedna mu mnogich zwolenników. Przeszłość zapytana o to, co w swém łonie kryje, powie, że systemat ten sam istniał już przed wiekami, że takie i takie wydał owoce, że został pokonanym, i że był tylko koniecznym wpływem usposobienia społecznego, istniejącego wówczas, a ponowniego dziś. A kto o tém wie, ten się śmiało rozprawi z systematem, powstałym według ostatniej mody.

Sądzę tedy, że dzieje stoików, epikurejczyków i sceptyków starożytnych będą dla nas miały nie sam tylko archeologiczny interes.

Za dni Aleksandra i Arystotelesa wszedł świat starożytny w nową dobę żywota. Miejsce udzielnych miast i powiatów, któremi się pierwój roły wybrzeża Śródziemnego i Czarnego morza, zastąpiły wielkie państwa, po największej części monarchicznie i absolutnie rządzone, pośród których zajmowały pierwsze miejsce: Syrya, Egipt i Macedonia na Wschodzie. A choć obydwa wielkie mocarstwa ówczesnego Zachodu: Rzym i Kartagina, były arystokratycznemi Rzeczamispolitemi i ich poddani ulegali potędze absolutyzmu, arystokracja rządząca żyła cała w stołeczném mieście i liczyła się co najwięcej od czasu do czasu do głosem zgromadzenia ludowego w stolicy. Dla wszystkich na prowincyi, dla ogromnej większości w stolicy nawet zamarło wszelkie życie polityczne. Sama tylko gawiedz uliczna cisnęła się czasem na tumultuarne stołeczne wiece; wszystko, co pracowało i co umiało myśleć, a co nie należało do kilkunastu rządzących rodzin, pełniło obowiązki obywatelskie, stroniąc ostrożnie od polityki.

Życie odleglejszej starożytności da się porównać z gwarliwém i ruchliwém municypalném i feodalném życiem średnich wieków; po Aleksandrze Wielkim myślisz nieraz, czytając o dziejach starożytnych, że to mowa o nowożytnych społeczeństwach. Pierwój polityka z życiem tak się zrosły były, że kto myślał o życiu, musiał myśleć o polityce, i tak Platon, jak Arystoteles, chcąc pouczyć ludzi o obowiązku ich życia, mówili o obowiązkach i prawach doskonałego obywatela pośród doskonałej Rzeczyzospolitéj. Ideałem obydwu było spokojne życie, oddane rozpamiętywaniu o pięknie i prawdzie; pośród współczesnych im państweczek nie było prawie czasu na zajęcia filozofów. Ogół musiał politykować nieustannie, wyjątki tylko mogły sobie wynaléć zaciszę spokojną, w którémby można użyć szczęścia uczonych; a i w to zaciszę wdzieraty się zbyt często jedze domowój i ościennój wojny. Obaj myśliciele pozostawili nam tedy słynne księgi, których zadaniem ustanowienie wzorowój Rzeczyzospolitéj, zupełnie chimerycznej u Platona, rozsądniejszej i prawdopodobniejszej u Arystotelesa. Ani jedna, ani druga Rzeczyzospolita nie stały się prawdą, a Bóg dziejów postarał

się o to, by uczeni w inny sposób dostąpili wczasu. Aleksander, uczeń Arystotelesów, założył wielką monarchią, za dni Arystotelesesa jeszcze i odebrał miastom i powiatom Grecyi wszystko, co stanowiło o ich udzielnosci. Niedługo potem, a bitwa nad Wadymońskim jeziorem sprawiła dla Włoch to, co Filip i Aleksander sprawili byli dla Grecyi. Odtąd przez siedm wieków mogli praktyczni ludzie dokoła morza Śródziemnego myśleć tylko o utrzymaniu, albo o powiększeniu ojcowizny, a publicznem zajęciem obywatela Aten i Syrakuzy, Kapuy i Medyolanu, Antyochii i Aleksandryi, było chyba utrzymanie kanalizacyi miejskiej, albo postawienie nowego teatru; niebawem i Kartagina zesłała do rządu miast prowincjonalnych, a w Rzymie Cezarów polityka, godna tego imienia, stała się sprawą samego tylko Cezara. Rzymskie legiony posunęły granice cywilizowanego świata aż w głąb Niemiec, Słowiańszczyzny i Brytanii, i uczeni mogli spokojnie rozmyślać i badać, nie w jakiejś jednej, idealnej, drobnutkiiej Rzeczypospolitej, ale po szerokich lądach i po mnogich szkołach, wyposażonych hojnie przez królów cywilizowanego świata. Dawniej filozof był nieco ekscentrycznym obywatelem, pełniącym obywatelskie obowiązki, nie dbał o polityczne sukcesy i zapatrzonym z powołania w świat idealny; był wiedzą prorokiem lub apostołem. Odtąd uczony stał się płatnym kapelanem nauki; wiedzano, że nauka daje chleb i niejedną szedł służyć u jej ołtarzy, choć nie miał powołania. Zapisywano odtąd mnogie księgi, pełne kruczków i sofizmatów na to, by dostać jakąś profesurę; głosząno ciężkie, ale nowe paradoksy na to, aby otrzymać większe didaktrum od mnogich słuchaczy; zastępowano niezmierną erudycją talent, pedanterją zamiłowanie do nauki; słowem: powstał w starożytności osobny stan profesorów i uczonych.

Rzecz naturalną, że w ręku tego stanu powstał wśród nauki podział pracy; nowy Arystoteles był odtąd niepodobieństwem. Na to, aby przyrodnicy kogo uznali przyrodnikiem, albo historycy kogo uznali historykiem naprawdę, musiał dowieść w jakimś piśmie, że przeczytał wszystko to, co jego poprzednicy popisali; tego wymagał przecie *esprit de corps*. Każdy, który w atramencie umaczał pióro, chciał być przecie nieśmiertelnym, jak Arystoteles i Herodot, a czuł, że nie będą go czytać pokolenia, tak jak tamtych czytają, ponieważ pisał znanadto modnie, czyli, jak sam mawiał, znanadto gruntownie. Więc własnej nieśmiertelności strzegł wraz z nieśmiertelnością kolegów i poprzedników swych, domagając się od każdego nowego pisarza, aby przeczytał wszystko, co przed nim o jego przedmiocie napisano. Więc każdy nowy uczony musiał stracić i najlepsze lata życia i wszelką oryginalność umysłową, odczytując to, co inni popisali, zanim wydał pierwsze dzieło pozbawione myśli, a zadławione cytatai. A jeśli był tak zuchwałym i niebacznym, że napisał coś wtedy, kiedy był jeszcze w używaniu wszystkich swoich sił umysłowych, i że napisał coś opartego na własnym doświadczeniu, na własnym sądzie i na własnym uczuciu—biada mu! Obsiadły go uczone kruki i rozszarpały go dziobami

profesorskiej pedanteryi i szponami urzędowej powagi. I on przepadł i pamięć jego przepadła. Mierności tylko wolno było żyć i kwitnąć pośród spokojnych miast późniejszej starożytności.

Wśród płytkich a leniwych wód ówczesnej erudycji, powstał osobny stawek filozoficzny, wśród którego przebywały w półsennym spokoju uczone plemiona stoików, epikurejczyków, akademików i perypatetyków. Byli to poważni stanu obywatele. Niewolno im było się zajmować ani historią, ani przyrodą, ani matematyką, ani astronomią; mieli po wiek wieków układać sofizmata i konstruować a priori niecielesną postać prawdziwego mędrca. Stoik miał powoływać bez końca wszystkich stoików, epikurejczyk wszystkich epikurejczyków; życia nie znali, nie znali świata, a o jednym i drugim wygłaszali ogólniki zuchwałe, podporządkujące wszystko pod jedną formułę i jeden sylogizm, a patrzyli z nieukrywanym zgorzeniem na piątych swoich towarzyszy, na nieprzyzwoitych czyników, pozbawionych i pensyi i statęj katedry.

Z tych pracowitych, że tak rzekę, sekt filozoficznych, perypatetycy byli najmniej głośni, a przynajmniej najmniej czynni w starożytności. Niedługo tylko mógł pośród nich przebywać duch żywy mistrza i założyciela szkoły Arystotelesa. Wielkość Arystotelesa zależała w wielkiej mierze na tém, że był encyklopedystą, że znał naprawdę wszystkie gałęzie ówczesnej wiedzy, i że wiele najróżnorodniejszych rzeczy badał samoistnie. Ów badawczy, przyrodniczy duch niedługo mógł bawić w szkole założonej przezeń w Liceum Ateńskim; siedzibą nauk przyrodniczych, a po części nawet i erudycji historycznej stało się teraz Muzeum w Aleksandryi; w Liceum uczono niebawem samęj tylko metodologii pozbawionęj treści. Arystoteles ustanowił był między innymi ramy wiedzy ludzkiei, i pouczał o sposobach, za pomocą których można było te ramy napełnić. Oto jego nieprzemijająca filozoficzna zasługa, i tę tylko ściśle filozoficzną część jego nauki wykładano w Liceum. Ale na to, aby ta nauka była żywą, trzeba było ją ciągle objaśniać przykładami jak to czynił niegdyś Arystoteles, badając rzeczywiście wedle własnych przepisów. Badań samoistnych nie było już w późniejszej szkole Arystotelesa; nieśmiano się tykać historyi, matematyki i nauk doświadczalnych, a w profesorskiej atmosferze późniejszej starożytności nieznalesiono umysłu dość samoistnego, by podjął rozpoczęte przez Arystotelesa badania około czysto filozoficznych dyscyplin etyki, estetyki i polityki. Nauka Arystotelesa zamieniła się tedy w rękach jego następców w czczą formalistykę. Niema tu o czém wspominać. Liceum bytło stół zastawiony do biesiady, na który nie zanesiono ni jada ni napoju.

W Akademii założonej przez Platona uczono zrazu nauki mistrza; później co innego; ale o tém „później“ będzie później mowa.

Urzędową, prawowierną, że tak rzekę, filozofią stał się stoicyzm w kilka lat po śmierci Arystotelesa.

Niejaki Zenon, napoły Grek, napoły Fenicyanin, z Cycyum na Cyprze, zbrzydziwszy sobie handel, w którym mu się nie wiodło, oddał się filozofii w dojrzałym już wieku, słuchoł tak akademików jak i peripa-

tetyków, a wyrobiwszy sobie własną naukę założył własną szkołę; uznawał powagę obydwu wielkich filozofów, i łączył z sobą obie ich nauki, dając jednak widoczną przewagę nauce późniejszego Arystotelesa. Mniemał jednak że głównem, że jedynem, prawie zadaniem filozofa: pouczanie o cnocie, i twierdził że tylko mędrzec w jego szkole uczony może być cnotliwym zarazem i szczęśliwym.

Obyczajem starogreckim miewał Zenon swoje wykłady na wolném powietrzu w portyku pstrym, zwanym po grecku „Stoa poikile.“ Ztąd przezwano jego uczniów Stoikami. Tam pod kolumną jakąś, nieopodal od fresków, przedstawiających dawne zwycięstwa Atencyków, siadał mistrz otoczony nielicznym gronem słuchaczy, i tam wykładał im swoją sztywną naukę, sucho, niezrozumiale ale z zapałem, i tam słuchała jego słów najszlachetniejsza młodzież Grecyi. Jego uczniem był Antigonos Gonatas, cnotliwy król Macedonii i Grecyi; a Kleant i Chryzyp najlepiej pojmowali jego naukę. Z tych Kleant żył w takiem ubóstwie, że musiał najcięższą całodzienną pracą prostego robotnika okupować czas potrzebny na to, by mógł wieczorem słuchać nauki Zenonowej.

Dzielił ją Zenon na logikę, fizykę i etykę, a porównywał ją do ogrodu. Logika była ogrodzeniem, fizyka gruntem na którym rosły krzewy, etyka upragnionym owocem. Ogrodnik filozof dbał naprawdę tylko o owe owoce; czasem poprawiał kolczaste ogrodzenie syllogizmów, ustawione niegdyś przez Arystotelesa; czasem trochę poruszył grunt fizyki, którego natury, badanej gdzieindziej, w Aleksandryi, naprawdę nie znał; ciągle wracał do owoców swoich cennych, ciągle pielęgnował etykę, jako jedyne prawdziwe drzewo mądrości.

Podług niego ludzie nabywali wiadomości zapomocą zmysłów; ale świadectwo zmysłów stawało się prawdziwą wiedzą wtedy tylko, gdy rozum, światło wewnętrzne, świadectwo to przerobił. A nazwa światła wewnętrznego nie była figurą tylko, gdy ją stosowano do rozumu. Rozum nie był naprawdę niczem innem jak tylko cząstką ognia niebiańskiego, więzioną przez ciężką, zimną i wilgotną materją. Dusza człowieka każdego to iskra niebieska, spadła z góry na ziemię, wskutek wielkiego pędu i wirowania planet; zmieszana z cząstkami ziemskimi ożywiła zwierzęce lub ludzkie ciało, i boską jakąś siłą rozpoznawała barwy i kształty, odbite w cielesném oku, i głosy ujęte cielesném uchem, i tak odtwarzała w sobie świat zewnętrzny zlepiiony niegdyś przez bogów nieśmiertelnych.

Świat ten składał się podług nauki powszechniej w starożytności z czterech żywiołów: z ognia, powietrza, wody i ziemi. Każdy z nich dążył do przyrodzonego sobie miejsca; ziemne części pędziły do środka światów, ogniste tworzyły najzewewnętrzniejszą świata sferę, a wyjątkowo tylko spadały na ziemię. Te ciała ogniste były zarazem istotami rozumnymi i czującymi, były duchem, źródłem życia i wiedzy. Ogień wielki firmamentu, a Bóg najwyższy, czyli bóstwo, jak mawiali stoicy, to jedno i to samo; z tego ognia powstali pojedynczy bogowie, powsta-

ły nymfy i inne bożki pomniejsze łąk i lasów, rzek i morza. Gwiazdy, krążące tłumnie ponad naszą głową, to bogowie kowali, doskonali, odprawiający taniec nieustanny po sklepie niebieskim. Inne duchy ogniaste zstępują często na ziemię, albo biesiadują na niebiesiach wśród odgłosów wiecznej muzyki. Z nich najpotężniejsi bogowie Olimpijscy żywią się ogniem ofiar i słuchają ludzkiej modlitwy. Prawdę świętą, dla ludzi niedostępną, objawili przed wiekami wielu pierwszym wieszczom i mędrcom w sposób cudowny, a i później dla pouczenia ludzi wkładają prorocze słowa w usta wyroczni. Bogów tych spotyka człowiek czasem w postaci ludzkiej, rozmówi się z nimi, a pozna ich chyba na końcu po jakimś znaku albo cudzie; oni przy ofiarach dają wróżebne znaki, oni kierują lotem ptaków, tłumacząc tak przyszłość znahorom i mąż rozumny nie wzgardzi wołą bogów, rozpoznaną przodków obyczajem. Zdarzy się nawet czasem że bóg jakiś wielki wejdzie ze śmiertelnicą w krótkotrwałe małżeńskie związki; a wtedy narodzi się na ziemi dziecko cudowne, którego część ognista i duchowna lekko będzie dźwigać brzemień ciężkiej materii. Rozum dziecka takiego przejdzie zwyczajem ludzkie rozumy; wysoko wzbije się jego cnota; będzie to mędrzec wielki albo bohater pośród ludzi.

Lepszym ten ze śmiertelnych, w którym części ogniaste będą miały przewagę; gorszym ten co ulegnie chuciom albo lenistwu ciała. Dusza człowieka słabego i nikczemnego nie potrafi się wzbić w niebiosa po śmierci ciała; związana nierozdzielnie z ciężką materią nie oderwie się od niej; straci kształt swój dawny; straci samowiedzę i człowiek ziemski i małoduszny umrze na wieki, a cząstka niebieska, co w nim przebywała odbędzie długą wędrówkę po ziemi, dając życie, to zwierzęcym, to roślinnym, to ludzkim ciałom, póty póki nie dostąpi wyzwolenia, przeżywszy żywot jeden ludzki w ciele mędrca.

Mędrzec na ziemi już nie należał do ziemi. Więzy ciała mechanicznie tylko go utrzymywały na powierzchni tej dolnej sfery, a rozkosze zmysłów nie były dlań rozkoszami. Wiedział, że wszystko wtedy dobre tylko, gdy wedle swojej własnej natury żyje, i wiedział, że natura istoty człowieka wewnętrznej, duszy, niebiańska a nie ziemską; dla nieba tedy żył już na ziemi, a po śmierci ciała wprost i radośnie wzleci do nieba. Tam niezażyje ziemskiej rozkoszy, ale będzie żył cały w duchu i prawdzie. Ujrzy misterny taniec sfer niebieskich, ujrzy rozumowe tylko bogów biesiady i będzie w nich uczestniczył; a tak długo będzie żył boskim życiem pośród boskiego ognia, aż nieodezwie się w nim ziemskie jakie wspomnienie; ziemską huć lub tęsknota. A wtedy spadnie na ziemię i zacznie znowu żyć pośród pyłu. Mędrzec prawdziwy, możeby się już nigdy nie odrodził w skazitelném ciele. Ależ gdzież go znajdziecie?

Kiedy mówiłem o człowieku lepszym i o gorszym, mówiłem niebacznie. Zapomniałem o całej powadze nieubłaganiej nauki Zenona z Cocyum; dla niej istnieją tylko mądrcy i głupcy. Niema ludzi mniej mądrych i mędrszych. Kto nie widzi ten jest ślepy; kto nie żyje ten

umarł; kto nie posiadał mądrości ten jest głupcem. Tego się domaga nieubłagana logika portyku. Myśmy wszyscy głupcami tylko; sam jeden skończony uczeń Zenonów przestał być głupcem; kto słucha jego nauki, chłoniąc każde słowo łakomém uchem, głupcem; i ten głupcem, co posiadał już naukę prawdziwą pamięcią, ale niezasłował jęj jeszcze w czynie; i ten głupcem, kto już usiłuje działać wedle prawdy i mądrości, ale upada czasem i niekroczy bezpiecznie po zbawiennęj ścieżce. Wszyscy głupcami są i zarówno głupcami. Mędrcom tylko ten, co statecznie i bez omyłki dobro nad zło przekłada.

Dobrą tylko cnota; złem tylko występek; wszystkie inne rzeczy obojętne. Temu świadczą wszystkie bogów wyroczenie, a pośród nich najgłośniejszą, dar bogów niebiańskich cudowny, mowa ludzka. Niech ktoś za pomocą kłamstwa i wiarołomstwa zdobędzie sobie jakie wspaniałe królestwo Wschodnie i niech tam zamieszka pośród pałaców złocistych, pośród najpiękniejszych niewolnic, przy nieustannym odgłosie pieśni i muzyki. Niech wszystkich poddanych w takiej grozie utrzyma podstępem i surowością, że nikt nie będzie śmiał dybać na jego życie, że każdy doń się odezwie podchlebném tylko słowem, że każdy na skinięcie mu odda i skarby i żonę pożądaną przez króla; niechby ten zbrodniarz miał w dodatku tak twarde sumienie, żeby nigdy nieuczulł niepokoju z powodu popełnianych codzienn zbrodni, a posiedzie prócz cnoty wszystko to, co głupcy mienią źródłem szczęścia. A przecie nie znajdzie się nikt z pomiędzy tych, którzy szanują przyrodzone słów znaczenie; nie znajdzie się nikt, powiadam, coby mógł słusznie powiedzieć, że ten człowiek czynił dobrze; on czynił źle, i przeto zło tylko posiadał w udziale.

Drugi ukochał cnotę tylko i trwając w służbie prawa, mówił prawdę a gardził bogactwem i zaszczytami. Służył przyjaciółom, a był zgubą dla nieprzyjaciół rodzaju ludzkiego. Zdarzyło mu się, że popadł w uroc przemożnego i przewrotnego zbrodniarza, człowieka bezrozumnego, łaknącego tylko rozkoszy. Zbrodniarz kazał cnotliwemu mężowi spełnić czyn sromotny i spotkał się z odmową statecznego męża; nie pomogły ani obietnice, ani groźby i nic nie zdołało zachwiać mężem i cnotą mędrca. Wtedy zbrodniarz przystąpił do wszystkich środków, któremi można skruszyć słabego człowieka; najpierw zabrał nieposłusznemu a cnotliwemu skromne mienie; wraz z rodziną wygnał go z domu i uczynił żebrakiem; potem uwięził go i poddał jakiejś wymyślnęj torturze rwąc na nim żywe ciało gorącemi obcegam; i to go nie ugięło; wtedy zbrodniarz kazał przed jego oczyma umęczyć całą jego rodzinę a mimo to nie zmusił go do podłego czynu; i wtedy dopiero, widząc że go nie skruszy, kazał go rzucić psom na pożarcie. Głupcy pewno powiedzą, że ten sprawiedliwy nieszczęśliwym był, ale to będzie tylko zdaniem głupców. Inaczęj poświadczy mowa ludzka; wszyscy muszą wraz powiedzieć głośno, że działał dobrze, a skoro dobrze działał, znać posiadał dobro najwyższe i był mędrszym o wiele i szczęśliwszym i po-

tężniejszym nawet od owego przemożnego a zręcznego głupca, co mu się stał katem.

Mędrcom—ten co obrał sobie szczęście i moc; głupcem kto lgnie do słabości i niedoli. Otóż z tych dwóch, którycheśmy przeciwstawili sobie, nie można wątpić który był mędrcom a który głupcem. Zbrodniarz chciał sprawiedliwemu narzucić swoją występłą rolę, a sprawiedliwy chciał wytrwać przy cnocie; zbrodniarz darmo wyczerpał wszystkie środki swoje; on był tedy potężnym mimo ubóstwo swoje. Słabym był zbrodniarz. Dobro posiadał sprawiedliwy w całej pełni, i to posiadał co pożądał; był tedy szczęśliwym niezawodnie i zupełnie szczęśliwym; zło było zdobyczą zbrodniarza i w obec sprawiedliwych zbrodniarz żaden nie może przeprowadzić swych zamiarów, przeto zbrodniarz każdy nieszczęśliwym jest i musi być nieszczęśliwym. Mędrcom tylko maż cnotliwy; występny głupcem.

Niemniej przeto, na to, by być szczęśliwym, trzeba być mędrcom zupełnym i mędrcom naprawdę. Same szukanie cnoty na nic się nie przyda, jeśli kto niezupełnie przeświadczony o tój prawdzie, że tylko dobro daje szczęście, będzie głupcem nieszczęśliwym, choćby go obawa przed opinią ludzi, albo przed gniewem bogów utrzymywała od występku, i choćby uczynki jego były napozór chwalebne. Jeśli będzie jakąkolwiek wagę przypisywał rzeczom obojętnym, jeśli będzie sobie życzył bogactwa, władzy, spokoju, zdrowia, choćby tego, co ludzie zwykle przezywają rodzinném szczęściem, będzie z konieczności i zasłużenie nieszczęśliwy; będzie głupcem i zbierze owoce głupoty swojej. Wszystkie te rzeczy, niezawiste od jego woli, będą go niestannie zawodzić. Najdrobniejsze, najrozsądniejsze, najgodziwsze napozór życzenie, skierowane ku takiój obojętnój a zewnętrznej sprawie, stanie się źródłem mnogiego udręczenia. Ułożysz sobie, że się zejdziesz z przyjacielem i że z nim spędzisz kilka godzin na przystojnej a miłej rozmowie; zapragniesz tego z całego serca, i tём samém na czas jakiś staniesz się głupcem nieszczęśliwym. Głupcem będziesz już przez to, że zapragniesz rzeczy, która nie jest ani dobrą ani złą i która powinna być ci przeto obojętną. Występnym będziesz i dwakroć głupcem, gdy dla tój rzeczy obojętnój opuścisz jaką rzecz dobrą, a obierzysz sobie rzecz złą, zaniedbując jaki obowiązek na to, by się przyjacielem nacieszyć. Bawiąc się nadzieją miłej rozmowy doznasz męki oczekiwania a może i niepewności; zajdą raptem przeszkody, które ci upragnioną schadzkę utrudnią; zniecierpliwisz się przeto, dokuczysz sam sobie i uczynisz źle. Nareszcie przyjdzie do schadzki upragnionój, zastaniesz przyjaciela zmartwionego albo niezdrowego i schadzka nie dotrzyma obietnicy nadziei twój, rozmowa nie będzie oczekiwaną rozkoszą: uczujesz litość nad przyjacielem i litość ta będzie nowém dla ciebie udręceniem, a wreszcie będziesz potém żałował, że się rozmowa skończyła tak jak się skończyć musi każda rozmowa, żałując przeszłości niepowrotnój, zatrujesz sobie terażniejszość i staniesz się trzykroć głupcem.

Tylko cnota jest dobrą, a cnota jest zawsze w twojej mocy. Rozum ma ten tylko, kto możliwych rzeczy pragnie, i dlatego szaleństwem pragnąć czego innego jak cnoty.

Co najwięcej, może mędrzec przyznać, że pośród rzeczy obojętnych są rzeczy niektóre mniej, inne więcej pożądane, ale tylko jako środki wiodące do celu. Zdrowie bardziej pożądane, mniej pożądaną choroba; mędrzec przełoży bogactwo nad ubóstwo, zdrowe jądło nad truciznę albo głód; przełoży wolność nad więzienie, a to wszystko uczyni dlatego, ponieważ człowiek wolny, bogaty, syty i zdrowy, może spełnić więcej czynów cnotliwych od ubogiego, chorego i głodnego jeńca. Ale różnica która tu zachodzi jest naprawdę nadzwyczaj małą i największém szaleństwem szukać lub pragnąć bogactwa albo zdrowia, wolności albo jada. I bez nich będziesz najpotężniejszym i najszczęśliwszym na świecie człowiekiem, bylebyś tylko tych marności nie pragnął. Co najwięcej przyznam, że gdy będziesz miał do wyboru między bogactwem a ubóstwem, między wolnością a więzieniem, wybierzesz bogactwo i wolność, jeśli to tylko zresztą będzie rzeczą zupełnie obojętną, nie mającą żadnego związku z obowiązkami twemi. A mówiąc prawdę bez okras, uczynisz to tylko na mocy pewnej ułomności natury ludzkiej. Pewne rzeczy sprawiają niejaką przyjemność wcale różną od dobra, jako to: piękny a pogodny dzień, dobre wino i swobodna przechadzka. Taką przyjemność sprawiają także obojętne zresztą: bogactwo, wolność i zdrowie. Ale prawdę powiedziawszy i rozmowa o tych rzeczach niebezpieczna w obec ułomności natury ludzkiej. Jeśli chcecie być mędrkami, jeśli chcecie być cnotliwymi zapomnijcie o takich rzeczach, myślcie tylko o obowiązku i cnocie. O tém tylko myśleć warto.

A pamiętajcie że mędrzec jest królem zawsze, jest obywatelem całej ziemi i zawsze zwycięzca; że sam jeden jest bogaty, że sam jeden jest szczęśliwy, że nikt go ujarzmić nie zdoła. Mędrzec nigdy nie doznał zawodu; jest wszechmocny jakby bóg jaki i wszystko, czego zapragnął spełniło się zawsze.

Posłuszny bogom pełni obowiązki stanu swego; będzie dobrym panem zarówno i dobrym sługą, dobrym królem i dobrym poddanym. Może być, że się narodzi niewolnikiem pozbawionym ojczyzny i poddanym woli pana; wtedy będzie bez szemrania pełnił wolę tę jak długo będzie się ona domagała samych tylko godziwych rzeczy; jego wolą, jego dobrem, jego szczęściem będzie to, że się stanie dobrym niewolnikiem. Najczęściej narodzi się obywatelem jakiegoś państwa, członkiem jakiegoś narodu, wtedy jaśniejszą o wiele będzie dlań wola święta bogów nieśmiertelnych. Narody są dziełem bogów; u kołyski nadali im bogowie prawa, które winni uszanować. Po wszystkie dni życia swego będzie mędrzec wykonywał prawa te niezłomnie, będzie baczył, by inni także prawa te wykonywali.

Zrazu istniały jeszcze w Grecyi i w Italii małe rzeczypospolite, które twierdziły o sobie, że są dziełem bogów i że od bogów otrzyma-

ły prawa. Mędrzec rodził się najczęściej obywatelem takiego starodawnego państewka, takiej gminy klasycznej, i w państewku tém miał sposobność do rozwinięcia wszystkich sił ludzkich. Obowiązkiem jego było chować starodawny obyczaj, i przestrzegać prawa boskiego, i we wszystkiém musiał i siebie i dom swój i gminę podporządkować pod dobro ogółu. Jego życie musiało być całopalną ofiarą. Miał spędzać większą część czasu na publicznej posłudze, broniąc sprawiedliwości i ojczystego zakonu; pozbawiony wszelkiej ambicyi, miał być zwolennikiem praw a nie osób; miał walczyć z nadużyciami a nie z nieprzyjaciółmi. Zawsze i bez względów ubocznych, miał na rynku i w radzie dać głos za tém, co mu się wydało słuszném i użyteczném dla państwa i narodu; nie miał się nigdy unieść ani gniewem, ani pychą, ani nienawiścią, ani żadnym porywem niegodnym mędrca.

Powołany przez rzeczpospolitą do szeregu, miał się potykać z nieprzyjacielem mężnie, i nie oglądając się z daremnym żalem na żonę i dzieci które pozostawił doma. Ostatnią kroplę krwi miał dać w obronie praw, których słuchali pracownicy; i równie szczęśliwym był wtedy, kiedy wracał do domu, wśród zwyciężkich zastępów śpiewając pieśń na chwałę bogów nieśmiertelnych, i wtedy kiedy zginął w boju pomny obowiązku. A jeśli nawet wracał z pokonaném wojskiem po przegranej sprawie, jeśli darmo zrobił wszystko, co się zrobić dało, by odwrócić klęskę, by odnowić pomyślność przepadłą grodu swego, nie winien był przypuścić do serca ani żądzy zemsty, ani smutku, ani zniechęcenia. Snać takie były wyroki przeznaczenia, których nikt nie zdoła odwrócić, tak jak nikt nie zdoła odwrócić jutrzejszej stoty. Dość uczynił mędrzec dla szczęścia swego, jeśli we wszystkiém spełnił obowiązek. I teraz po pogromie winien się być tylko oglądać za tém, czy nie ma gdzie obowiązku do spełnienia. Wszak nie słuchał praw ani przez łakomstwo, ani dla chęci pochwał, ani przez pychę, ani przez ślepą chęć zemsty; w czasie walki nie znał ani gniewu, ani nienawiści, ani nawet wzgardy dla wrogów, którzy w zaślepieniu swém myśleli, że osiągną dobro zwyciężając; pełnił tylko radośnie i spokojnie obowiązek święty.

Skoro bogowie rozstrzygnęli sprawę, tak jak ją za dni Zenona i przez długie wieki potem prawie zawsze rozstrzygali, inne obowiązki czekały mędrca, gdzieindziej miał szukać szczęścia. Jeśli bogowie tak zdarzyli, winien był przebywać z księciem, albo z innymi możnymi, dzierżącymi moc i prawo nowe w rękę. Nieustraszenie, ale nie naprzykrzenie, z godnością a bez zarozumiałości, winien był mędrzec prawdę mówić królowi i możnym w nadziei, że te roztropne rady wpłyną zbawiennie na los narodów poddanych, że utwierdzą chwałę bogów, że dadzą narodom spokój, pośród którego może powstać mądrość i że tak umożliwią szczęście wielu ludzi. Jeśli mędrzec zapomocą tych rad pozyska zaufanie rządu, wytrwa w stolicy, albo przyjmie powierzony urząd, nie ciesząc się wcale marném wywyższeniem, ale pewny, że skoro bogowie tego chcą, może jako urzędnik dobrze służyć dobrej sprawie.

Jeśli się mąż cnotliwy przekona, że na dworze i u rządu nie słuchają dobrej rady, jeśli przyjdzie do przekonania, że trzeba przypodchlebiać się i kłamać na to, by być w łasce u księcia, że tylko karyerowicze albo złodzieje grosza publicznego mają wpływ w rządzie, nie będzie się daremnie naprzykrzał możnym tej ziemi. Usunie się w zacisze domowe; a jeśli można będzie, odjedzie jaknajdalej od dworu, gdzieś w zaciszny kątek prowincyi, dokąd nie sięgnie urzędowa arogancya, i gdzie będzie można swobodnie żyć cnotliwie. Albo odda się cały wśród stolicy nauce. Odtąd, ulegając mniejszej ilości pokus, będzie bezpieczniej mądry i cnotliwy, a wielu ludzi mądrych a mniej zamężnych, albo mniej zdrowych, albo obcych z wiary i mowy od początku obierze sobie takie ciche życie; ono było zwykłym mędrca udziałem za późniejszej starożytności, kiedy wielkie monarchie ciężły nad wieloma podbitymi narodami.

W mieście lub powiecie, pełno było obowiązków, których spełnienie mogło stoika uszczęśliwić; nie dawały głośnej sławy, ale mędrzec o sławę nie dba, nie stroni od niej, ale i nie szuka jej wcale. Poprawiając drogi, zakładając szkoły i łaźnie, budując świątynie na chwałę bogów i sądząc pomniejsze sprawy w municypalnym sądzie, stał się nie jeden stoik użytecznym za panowania macedońskich i rzymskich dynastyi. Neron albo Tyberyusz, szaleli w Rzymie a ludzie cnotliwi a przeto szczęśliwi, zastużeni i dziś zewszystkiem zapomniani, pracowali około dobrobytu i oświaty swych miast i powiatów Hiszpanii i Gallii, z których mieli wyjść na pocięgę rodzaju ludzkiego Trajan i Antoniny.

Czasem ucisk i niewola mogły dojść w kraju jakim do tego stopnia, że i praca cicha w gminie i powiecie była niepodobieństwem dla prawego męża, nie mogącego się zaprzeć woli bogów i najświętszych przekonań. Na dwa sposoby mógł wtedy służyć cnocie: bogom i ludzkości. Jeśli posiadał talenta jakie większe i pisarskie zamiłowanie, mógł pisać księgi użyteczne i dla współobywateli, księgi, w którychby były przechowane święte prawdy potrzebne dla życia pokoleń. Jeśli nie można było głośno całej prawdy wypowiedzieć, bo i takie bywały czasy, trzeba było użyć przejrzystej zastony przypowieści; gdy i to było niepodobieństwem, nie było potrzeby odrazu wydawać księgi. Prawda cierpliwa; może przeczekać burzę i potem zajaśnić; dobrze czyni zawsze, kto ją w jakim języku spisze; przyjdzie chwila, w której będzie wolno świętemu słowu odezwać się w głos, a mowa, w której spisano słowa prawdy, dostąpiła Bożego namaszczenia i zdolna żyć, i już nie umrze; w niej bowiem przebywa bóstwo.

Nie każdemu dany dar nauki i słowa, a kto bez tego daru sili się pisać i nauczać, staje się tak śmiesznym jak jest występny ten, co pisze posiadłszy dar święty, a nato tylko pisze, by się komu przypodobać albo—by tłumy zadziwiać, pragnąc w zaślepieniu swém tych dwu rzeczy czczych i jałowych: zysku albo chwały. Nie każdy tedy chwyci za pióro; chwycą zaś tylko wybrani, których do tego zmusi głos wewnętrzny,

wewnętrzna nieprzeparła potrzeba. A ci, którzy w obec narodu będą milczeć, mogą jednak i za najgorszych czasów żyć cnotliwie i szczęśliwie. Pozostanie dla nich ognisko domowe. Obok żony i dzieci, wśród służby, i pośród ubogich i zamożnych sąsiadów mogą pozostać zbawionym przykładem nienamiętnej i szczęśliwej cnoty. Pamięć starego obyczaju, starych praw i starej wiary mogą przechować w domu swoim jak w arce przymierza; słowem mogą zagrzewać innych do wytrwania przy cnocie; ciepłem wewnętrznym rozgrzeją całe otoczenie, a ten, co czytać nie umie, i ten co nie ma czasu i chęci do czytania, dowie się patrząc na nich więcej o tém, co bywało i być powinno, jakby się dowiedział z najmędrszej księgi.

Skazany na wygnanie albo na więzienie będzie mędrzec szczęśliwy i swobodny na obczyźnie i w kraju; radością wielką będzie dla niego wspomnienie statecznie spełnianego obowiązku; pośród obcych, pośród barbarzyńców stanie się wzorem cnoty, przekazanej przez przodków; dla współwięźniów stanie się żywym przykładem zanim będzie mógł znów przystąpić do społecznej pracy, odzyskawszy postradaną wolność. Nie będzie cierpliwym, bo cierpieć nie będzie. Rzeczą obojętną będą dlań więzy i upokorzenia, szczęściem poczucie nieustannie spełnianego obowiązku.

Wreszcie dla każdego człowieka musi przyjść kres ostateczny; ze śmiercią skończą się trudy jego i zasługi, roskosze i występki. Dla jednych starość przyniesie kres przyrodzony; innych chwyci przed czasem śmiertelna choroba; niektórzy padną na pobojowisku, a nie jednego strąci do grobu ręka tyrana. Zawsze mędrzec zdoła umierać godnie i spokojnie, zawsze nad upodlenie, i nad długą nieużyteczną męczarnię śmierć przeniesie. Skoro stoik czuł, że już nie zdoła żyć cnotliwie i mężnie, że staje się ułomnym; że gotów uleść występnej woli tyrana; że czeka go długa i sroga choroba, z której się niepodźwignie i w czasie której będzie ciężarem tylko dla ludzi, rzekał się życia chętnie; czasem wstrzymywał się od jadła i napoju, wzgardziwszy życiem, umierał głodową śmiercią; czasem rezwarłszy sobie żyły konał powoli i łagodnie wśród letniej kąpieli, i czyny takie chwalono zazwyczaj w Macedońskiej Grecji i cesarskim Rzymie. Dawniejsi greccy myśliciele mawiali, że człowiek żołnierzem bogów nieśmiertelnych, i że obowiązkiem jego wytrwać na stanowisku póty, póki go bogowie sami nie odwołają. Tę samą naukę powtarza dziś głośno kościół Chrystusowy. Zenon w tym się różnił od dawniejszej i od chrześcijańskiej etyki, i twierdził że rzeczą mędrca powrócić między bogi, skoro uczuje, że już nie zdoła na ziemi działać bogobojnie i cnotliwie.

Taką była nauka Zenona. Po jego śmierci głosił ją dalej robotnik Kleantes; doczekał się dziewięćdziesięciu lat życia; wtedy uraził się w palec, i sądząc, że rana każda w jego wieku chorobą nieuleczalną, umarł z głodu dobrowolnie, przekazując Chryzypowi katedrę pośród portyku. Przez długie wieki następowali potem po sobie w Atenach nauczyciele stoicy. Powstały szkoły stoików na całym świecie, a mianowicie na wyspie Rodos i w cesarskim Rzymie, a choć później nikt

z tych szkół nie wyniósł nowój naukowej myśli, one były życiem i wolą późniejszego pogaństwa. Już zaraz w pierwszym pokoleniu słuchaczy Zenonowych odnowili Antigonus król Macedonii i Arat obywatel z Syconu pamięć starogreckiej cnoty. Zawsze umiarkowany i dla podchlebstwa niedostępny król wygnał za młodu Gallów z Hellady i do śmierci wytrwał nienamiętnie na trudnym stanowisku; Arat, tworząc Achajską rzeszę, usiłował połączyć dawną wolność Helleńskich gmin z ładem nowych wielkich państw.

Greya cała nie przeszła do stoików nauki. Upadła pod ciosami Romy, i usnęła wśród niewoli pod wpływem szkół filozoficznych, o których będę dopiero mówić. Stoicy wyratowali ją od zagłady i zupełnego upodlenia; jeden z pierwszych jeńców greckich w Rzymie, internowany w owę stolicę, stoik Polibiusz, zmusił rzymską arystokracją do tego, że Greycę uszanowała. Stoiczna cnota podobała się Scypionom i Katonom, i senatorowie rzymscy przydzielili niebawem płaszcz Greckich filozofów. Greycę uszanowali zdobywcy; zachowywali jej autonomią, i udzielali jej częściową niepodległość, a gdyby było więcej stoików w Grecyi, byłaby się ta niepodległość stała zupełną, musiano ją bowiem uszczuplić dla niestatecznej pożądlivości Helenów.

Stoicy rzymscy odegrali niemniej chlubną rolę. Kato młodszy i Brutus młodszy bronili ostatni rzeczypośpolitéj i nie mogli przeżyć jej upadku. Za cesarstwa stoicy przechowali nietknięty skarb starorzymskiej tradycyi pośród hańbiącej niewoli, i w ich rękę wydoskonala się prawo, najkosztowniejszy dar, przekazany przez Rzym późniejszej ludzkości. Inni świadczyli o godności człowieka, ściągając na siebie gniewy Kaliguli, Nerona i Domicjana; inni za najgorszych Cezarów służyli wojskowo na kresach sprawie Rzymu i cywilizacyi. Wreszcie widziano w Rzymie dwa przedziwne przykłady mędrca niewolnika i mędrca cesarza. Epiktetes był niewolnikiem niedobrego pana; na jego rzecz miewał wykłady publiczne, i jemu oddawał dydaktrum, sam przestając na strawie niewolników. We dnie pouczał młodych patrycyuszów światowładnej Romy, a w nocy spał wraz z najpodlejszymi niewolnikami w stęchłym cubiculum, w okropnej sypialni starorzymskiej niewoli. A nigdy nie powstała skarga na jego uściech, nigdy nie ustąpił z drogi, nakazanej mędrcom, tak zdejmując piętno hańby z czoła niewoli. Marek Aureli zasiadł na samotnym tronie cesarów, otoczony stugłową hołotą podchlebiających dworzan; mógł zażyć wszelkiej ziemskiej roskoszy; każda jego zachcianka byłaby się wnet stała czynem: mógł myśleć że jest wszechmocny. A jednak wprzął się od młodości w jarzmo najtwardszej urzędniczej i wojskowej służby; po wszystkie dnie swoje pełnił nieubłagane jednostajny i smutny obowiązek; ani się nie bawił, ani się nie nudził; pracował tylko nieustannie, a w chwilach wolnych spisywał maksymy podobne do tych, które Epiktetes niegdyś wygłaszał z katedry.

Takie to były owoce stoicyzmu w późniejszej starożytności.

(d. c. n.).

Jan Szczęsny Herburt,

PIERWSZY WYDAWCA KRONIKI DŁUGOSZOWÉJ *).

NAPISAŁ

August Sokółowski.

Jak wiadomo, narady te nie przyniosły spodziewanego uspokojenia kraju. Zapał wzniecony pod Stężycą, rozżarzony jeszcze bardziej pod Lublinem, obejmował coraz to szerszym kołem wschodnie województwa Rzpltej i groził powszechnym pożarem. Wytrawniejsze i lepiej zorganizowane stronnictwo królewskie przetrwało jednak gwałtowny rokosz sandomierski, a kiedy znużona i z zapasów ogołocona szlachta do domów się rozjechała, Wiśliczanie nastąpili na nieliczne hufce Zebrzydowskiego i Radziwiłła i spędziwszy je łatwo z pola, pognali ku Janowcowi. W całej tej akcji towarzyszyli wiernie królowi obaj bracia Stadniccy, Adam i Stanisław, podczas gdy krewniak ich, pan Łancucki, jako najzawziętszy wróg Zygmunta III, hufce swoje połączył z rokoszanami. Pod Janowcem u przeprawy przez Wisłę przyszło do układow, bo żadna strona nie pragnęła rozlewu krwi bratniej. Senatorowie, bawiący u boku królewskiego, wysłali do Zebrzydowskiego wojewodów, trockiego i podlaskiego, wraz z kasztelanem kamienieckim, którzy układy zagaić mieli. „W tém, tak opisuje to spotkanie sam Zebrzydowski ¹⁾, kasztelan kaliski (Adam Stadnicki) i z bratem swym do onych traktatów przystąpiwszy, począł furię stroić, ukazując, iż lepiej, aby wojsko następowało. Zaczém gdym mu ręką pogroził, mówiąc: iż nie wiész, czegoć się chce, rzekł: nie groź mi, gotówem z tobą uczynić. A wtém owi pp. senatorowie począli mię prosić, abym się chłopu pijanemu nie przeciwikł, a od zaczętych rzeczy nie odrażał, ekspostulowali.” Taki był początek pamiętnéj w dziejach rokoszu

*) Dokończenie—patrz zeszyt za czerwiec r. b.

¹⁾ List ten obszerny, ogłoszony publicznie wkrótce po ugodzie Janowieckiej, znajduje się w Rękop. bibl. ks. Czartor., nr. 337, fol. 388.

ugody Janowieckiej, która, jak każde dzieło połowiczne, nie zadowol-
niła nikogo i stała się zarzewiem nowej, sroźszej jeszcze burzy.

Narazie ucichło jednak wszystko: rokoszanie rozjechali się, stron-
nicy królewscy poszli za ich przykładem, wojsko kwarciane udało się
ku Warszawie, aby przysłemu sejmowi asystować. Zubożenie kraju,
znużenie umysłów i zbliżająca się zima, więcej jeszcze, niż ów rozejm
niepewny, przerwały na chwilę wojnę domową, zostawiając wolne pole
prywatnie. Po kraju zaczęły się rozchodzić paszkwile, jak echo grzmo-
tów dalekich, zapowiadające nową zawieruchę. Natarli na siebie po
grubiańsku: marszałek w. kor. Zygmunt Myszkowski i Mikołaj Zebrzy-
dowski, łącząc się nawzajem publicznie; dogryzali sobie listami podobne-
mi Stanisław Dyabeł Stadnicki i Jazłowiecki, wojewoda podolski, a ła-
two było przewidzieć, że od słów przyjdzie wnet i do czynu.

Tymczasem powracali obaj Stadnicy z wyprawy janowieckiej do
domu, rozpuszczając ludzi zaciężnych ze względu na znaczne koszta
i rozejm świeżo zawarty. Dowiedział się o tém Szczęsny Herburt
i postanowił zemścić się śmierci wuja. Zebrawszy więc ludzi, napadł
Stanisława Stadnickiego w Chotyńcu, niedaleko Przemyśla, wziął go
do niewoli i poprowadził do Lwowa, zapewne po to, aby tam na nim
w drodze sądowej, śmierci Drohojowskiego dochodzić. Wdał się w tę
sprawę arcybiskup lwowski, Zamoyski, pośpieszył na pomoc Stanisła-
wowi brat Adam, lecz wśród układów pomiędzy zwaśnionemi stronami
znalazł Stanisław sposobność do ucieczki i natychmiast ze Lwowa wy-
jechał. Zapalony zemstą Herburt, popędził za nim i uderzył na za-
mek przemyski, gdzie się zawarł Adam Stadnicki wraz z bratem, ale
pobity i wzięty do niewoli, musiał rad nierad pogodzić się z Stadnicki-
mi i przyjąć bardzo upokarzające dla siebie warunki. Tego było za-
wiele dla Szczęsnego. Człowiek pod względem gwałtowności chara-
kteru podobny do całego ówczesnego pokolenia, które przywykło klej-
not herbowy, jakąkolwiek znaczniejszą urazą splamiony, w krwi nie-
przyjaciela obmywać, nie mógł znieść tryumfu Stadnickich. Zamor-
dowali mu wuja, wzięli starostwo, które od lat kilkudziesięciu z rodzi-
ny Herburtów nie wychodziło, Zebrzydowskiego, spokrewnionego z Her-
burtami, znieważyli pod Janowcem, podstępnie uwolnili się od kaźni,
która ich we Lwowie czekała, i teraz świeżem zwycięstwem swoim
nadęci, łaską królewską przemożni, urągają z murów przemyskiego
grodu upokorzonemu dziedzicowi Dobromiła. Kto wie, co może obra-
żona duma, kto zna uczucie miotające duszą upokorzonego w chwili,
gdy wrogowie jego tryumfują, ten potrafi ocenić i położenie Szczęsne-
go. Dodajmy do tego pobudki polityczne. Król zwycięzki, a raczej
kamarylla otaczająca tron jego, upojona łatwym tryumfem, pragnęła
sejmu uniknąć, a nawet artykuły, uchwalone przez partyą królewską
w Wiślicy, chociaż one nie dogadzały wcale rokoszanom, pogrzebać ¹⁾.

¹⁾ O tych zamiarach donosi dworzanin królewski, Piotr Żeroński, bi-
skupowi Rudnickiemu w przytoczonej już korespondencyi. Por. list z Kra-
kowa, 12 grudnia 1606 r.

Z tego względu zbywano pytających o czas zwołania sejmu rozmaitem tłómaczeniem, kazano wreszcie dla uspokojenia gorliwszych drukować uniwersały sejmowe, jednak bez daty; w rzeczy samej liczono na znaną opieszałość szlachecką i wierzono święcie, że panowie bracia po bezowocnych sandomierskich naradach i po janowieckiej trwodze na nowe koszta i zebrania wyciągnąć się nie dadzą. Zamiary dworu nie były tajemnicą dla rokoszan, i jeżeli nie miano szczegółowej o nich wiadomości, to zapewne domyślano się całej intencji i dlatego w pierwszych miesiącach r. 1607 wszczął się ruch na nowo. Musiał o nim wiedzieć Herbut, jeżeli nie wprost od Zebrzydowskiego, to napewno od sąsiada swego, Stanisława Dyabła Stadnickiego, z którym, jak wiemy, już za czasów nieboszczyka kanclerza w przyjaznych był stosunkach. Kto wie nawet, czy zrozpaczonego i upokorzonego świeżą kłeską nie odwiedził pan Łańcucki w samotnych murach dobromińskiego zamczyska i czy go tam nie namówił do udziału w poczynającym się na nowo rokoszu. Przemawiałyby za tém poniekąd późniejsze stosunki Szczęsnego z Gabryełem Batorym, w których Stanisław Stadnicki mógł odgrywać rolę pośrednika. Wszak zostawał on w bezustannych związkach z Węgrami, sprowadzał ztamtąd tak zwanych Sabatów, jako zaciężnych żołnierzy, a nawet, jeśli wierzyć mamy pogłoskom, współcześnie krążącym u dworu, miał otrzymywać znaczne sumy od Boczkaja, który w podsycaniu tumultów polskich, w ciągłym zatrudnianiu Zygmunta III, własne bezpieczeństwo miał na celu. Czyż potrzebował zresztą wielu słów namowy ten, który w obecnym rokoszu widział odbicie dawnych stosunków Rzpltej, z Długosza czerpał wiadomości o rzekomym rokoszu Gliniańskim, z Orzechowskiego studyował wojnę Kokoszą, a wszystkie te ruchy razem wzięte porównywał z plebejskimi „sedy-cjami” na forum Romanum? Że dotychczas za oręż nie chwycił, że go na zjazdach rokoszańskich nie było, to łatwo wytłómaczyć nadzieją zgody pomiędzy rokoszanami a królem. Dziś gdy ta nadzieja upadła, gdy nadto dla Herbuta nastęrczała się sposobność upokorzenia Stadnickich, znanych stronników królewskich, wszystko razem: i doktryny z klasycznych autorów zaczerpnięte, i troskliwość o dobro publiczne, i obrażona miłość własna, i gorycz doznanej urazy, i niepowściągniona żądza zemsty, wołały go pod sztandary rokoszan. Usłuchał tych głosów Szczęśny, a zaciągnąwszy na żołd swój Węgrów pieszych i konnych i powierzwszy dowództwo nad piechotą niejakiemu Dalmacie, ruszył pod Jędrzejów. Ale w chwili, kiedy miał wsiadać już na konia, postanowił, jako człowiek w naukach ćwiczony i w piórze biegły, wydać rodzaj odezwy do narodu, w której nie wymieniając ani króla, ani instrumentów jego, przedstawiał w najczarniejszych barwach stan Rzpltej, zamachy „cudzoziemca” na swobody szlacheckie, usiłowania OO. Jezuitów ku zaprowadzeniu władzy absolutnej, jakoteż zepsucie społeczeństwa, które tonąc w zbytkach, z łakomstwa służy celom królewskim. Odezwa, napisana w imieniu jakoby skarżącój się matki, językiem jedynym i potoczystym stylem, zawiera oraz popularne uwagi o pa-

nowaniu królów elekcyjnych i porównanie stosunków węgierskich z polskimi ¹⁾.

Kiedy ta odezwa w licznych odpisach obiegała koła szlacheckie, rokoszanie gromadzili się pod Jędrzejowem, o jeden dzień drogi tylko od Krakowa, gdzie bawił król wraz z dworem, otoczony wojskiem kwarcianem i pocztami przychylnych sobie senatorów. Obóz jędrzejowski był z początku nieliczny, ale im bardziej przybliżał się czas sejm, tém skwapliwiej stawiała się szlachta pod sztandary rokoszańskie. Nauczeni doświadczeniem zeszłoroczném przywódcy opozycji, starali się o ile możności szanować majątki szlacheckie. Wjechało tedy najpierw w opactwo jędrzejowskie, które dzierżył sekretarz królewski ks. Powiński, plebejusz; ztamtąd przeniesiono obóz do Wąchocka; później pomknęto go do Sieciechowa, objadając w ten sposób bezustannie dobra kościelne. Ku końcowi sejm dopięro stanęli rokoszanie bliżej Warszawy, pod Czerskiem. Tymczasem w Warszawie obradował sejm od 7 maja r. 1607 wśród swarów pomiędzy opozycją a stronnictwem rządowem. Kamarylla dworska, przeprowadziwszy po swojej wmyśli wybór marszałka sejmowego (został nim Feliks Kryski, referendarz koronny), wystąpiła ostro przeciw posłom rokoszańskim, którzy w dwa dni po zaczęciu sejm stawili się w Warszawie. Nadaremnie najzaniejsi senatorowie: Bernard Maciejowski, arcybiskup gnieźnieński, Tylicki, biskup krakowski i Stanisław Żółkiewski, hetman polny kor., doradzali umiarkowanie; nadaremnie Dzierżek, podsedek lubelski, jeden z opozycyjnych posłów, zaklinał sejmujących, aby to wszystko „leczyć zgodnie i miłością braterską:” większość ufna w siły swoje i odniesione niedawno zwycięstwo, stawiała się ostro i radziła użyć przeciw rokoszanom jaknajsurowszych środków ²⁾.

Król poszedł za zdaniem swoich doradców i odtąd znikła wszelka nadzieja pogodzenia zwaśnionych stronnictw. 25 maja wyszedł edykt królewski przeciw rokoszanom, rokoszanie ze swęj strony odpowiedzieli nań zwołaniem koła pod Czerskiem w celu kończenia rokoszu. 16 czerwca stały już rzeczy tak, że marszałek rokoszowy, Janusz Radziwiłł, pisał do brata Krzysztofa, polecając opiece jego swój majątek i zamek słucki, na wypadek, gdyby zginął w bitwie, lub zwyciężony, z kraju uchodzić musiał. Rzeczywiście, następnego dnia kończono rokosz. Na mównicę wstąpił Jan Szczęsny Herburt, jako sprawozdawca deputacyi wybranej do kończenia rokoszu, i w uczonęj oracyi dowodził, że rokosz jest wyższym nad sejm i nad króla, podobnie jak so-

¹⁾ Znajduje się ona w bibl. Ossol. we Lwowie, w Rękop. nr. 226, str. 624—635. Tytuł zupełny opiewa: „Strzała, z saydaka pana Szczęsnego Herburt, którą Korona polska, śmiertelna już matka, strażą obtoczona, z ciężkiego więzienia swego do dziełek swych stanu rycerskiego ku przestrodze wypuszcza.”

²⁾ Podług dyaryusza sejmowego współczesnego, w bibl. ks. Czartor., Ręk. nr. 335.

bór powszechny wyższym nad papieża; że do rokoszu należy leczyć urazy w prawie publicznym, i że ten zwyczaj od niepamiętnych czasów znany w kraju i używany, najpiękniejsze wydawał owoce. Przytoczywszy przykłady z historii na poparcie tego zdania, wspomniał o gwałtownej śmierci Drohojowskiego, o oddaniu starostwa przemyskiego bratu zabójcy, i w ten sposób zręcznie sprowadził dyskusję na pole stosunków prywatnych, gdzie każdy z obecnych mógł częstą swoją dorzucić, bo nie było niemal rodziny w Polsce, któraby z władzą najwyższą zatargów nie miała, albo nie czuła się pokrzywdzoną przy rozdawaniu wakancyi. Mowa jego nie tchnęła wprawdzie duchem rewolucyjnym, przed nim i po nim mówiono gorsze rzeczy o królu i z większą zawziętością; ale popularność mowy i erudycja znana powszechnie, nadawały słowom jego niemałe znaczenie i w miarkich rozumach szlacheckich budziły przeświadczenie o pożyteczności rokoszu. Mimo to rozprawy w kole przewlekały się nadspodziewanie długo i dopiero po siedmiu dniach, 24 czerwca, wydali rokoszanie pod Jeziorną słynny swój manifest, w którym wypowiedzieli posłuszeństwo królowi. Na manifestcie nie brakło naturalnie i podpisu Jana Szczęsnego Herburt 1).

W dwa tygodnie niespełna potem rozbitą wojska królewskie rokoszan pod Guzowem 2). Zebrzydowski krył się po domach przyjaciół, później w klasztorze Bernardyńskim w Opatowie, inni rozbiegli się do zagród swoich, Janusz Radziwiłł i Szczęśny Herburt uciekali ku Lublinowi: rokosz był stanowczo złamany. A jednak pomimo zwycięstwa partyi królewskiej i wbrew tryumfom, jakie król święcił w Krakowie, brakowało jeszcze wiele do zupełnego uspokojenia Rzpltej. Już w dziesięć dni po pogromie guzowskim wydał Janusz Radziwiłł z obozu pod Krasnymstawem uniwersał, wzywający szlachtę na elekcję pod Warszawę w d. 5 sierpnia 3), zarazem jednak zgłosił się do księcia Janusza Ostrojskiego, kasztelana krakowskiego, z gotowością do układow, prosząc o pośrednictwo. Kasztelanowi podobała się wielce pokora Radziwiłła. Pan olbrzymiej fortuny, odgrywał Ostrojski od początku rokoszu rolę medytatora. Był pod Stężycą, pojechał ztamtąd na sejm do Warszawy, nie brakowało go pod Lublinem, nie opuścił też sandomierskiego rokoszu; ale nigdzie jasno zdania swego nie wypowiedział, nie oświadczył się ani za rokoszem, ani za królem, temporyzował, zwlekał, prawił wiele o miłości ojczyzny, o ofiarności swojej dla sprawy publicznej, widocznie jednak miał co innego na myśli. Chara-

1) Przeczył go p. Schmitt, który wydając w Roczn. Tow. n. pozn. w r. 1865, t. III, podobiznę manifestu, utrzymuje (str. 80), że podpisu Herburtu niema. Tymczasem w akcie oryginalnym, który znajduje się w bibl. ks. Czartor., w Ręk. nr. 2462, czytaliśmy jaknajwyraźniej: Jan Szczęśny Herburt Dobromiłaki, z Fulażtyna Mościcki i Wiśniński starosta.

2) W rękop. współczesnych nazywają tę bitwę zwykle bitwą pod Orańskiem.

3) Tek. Nar. do r. 1607, nr. 97.

ktę chwiejny i niejasny, nie życzył zwycięstwa rokoszantom, a zazdrościł tryumfu królowi; marzył może o koronie, która chwiała się już na głowie Zygmunta III, a nie miał na tyle odwagi, aby sięgnąć po nią w chwili powszechnego zamętu. Jak drugi Pompeusz, zamiast zaprowadzić nad wypadkami, czekał, aż one same go porwą i zmuszą do działania; ale i wtedy nawet tracił energią, opuszczał ręce i zdawał się na wolę Bożą. Ta polityka kunktatorska wydała jaknajgorsze dla kasztelana owoce. Stracił zaufanie u króla i u rokoszan, a jeżeli jedna i druga strona nie chciała go sobie narazić, to tylko ze względu na jego fortunę i znaczne siły zbrojne, któremi rozporządzał ¹⁾. Kiedy tak sprawa rokoszowa weszła na drogę układów dyplomatycznych, udał się Żółkiewski z wojskiem kwarcianem w Lubelskie, aby rozgromić dorezsy niedobitków z pod Guzowa.

Wyprawa powiodła się szczęśliwie. Radziwiłł umknął na Litwę, Szczęsny Herburt schronił się do domu teścia swego, wojewody wołyńskiego, księcia Zasławskiego, gdzie napadnięty od przeważających sił i raniony musiał się poddać ²⁾. Zginął przy tej sposobności Jan Dalmata, dowódzca piechoty węgierskiej na żołdzie Herburtu, zniszczono dom księcia wojewody, a Szczęsnego pod strażą odstawiono do Krakowa, gdzie wraz z Pękostawskim osadzony w więzy miał czekać królewskiego wyroku. Więzienie nie było wprawdzie ciężkie. Herburt mógł pisywać listy do przyjaciół i powinowatych, mógł czytywać książki, których mu na każde wezwanie dostarczano, ale przytęm wszystkim narzekał gorzko na losy, bo bolało go upokorzenie, trapiła niepewność i dokuczala rana w ostatniej potyczce odniesiona, tak że niecierpliwym z natury i do nieograniczonej swobody przywykłym, rzucał się jak ptak w ciasną klatkę zamkniętą i poruszał niebo i ziemię, aby wolność odzyskać. Tymczasem król i całe stronnictwo dworskie okazywało wielką ku niemu nienawiść. Wiedzano, że jest wymownym, że celuje przed innymi bystrością umysłu, że słynie z nauki i jako potomek starożytnego rodu niemają posiada między szlachtą popularność. Wiedzano, że na rokoszu, pod Czerniechowskim przemawiał przeciw królowi i dlatego przypisywano jego wpływom, chociaż niezupełnie słusznie, akt wypowiedzenia posłuszeństwa królowi. Dodać do tego trzeba jeszcze jedno podejrzenie, chociaż na słabych oparte podstawach. Oto po guzowskiej bitwie, kiedy żołnierze królewscy ścigali uciekających rokoszan, znaleziono w polu szkatułkę a w niej listy Gabryela Batorego do Herburtu mocno kompromitujące Szczęsnego. Gabryel znany później z okrutnych rządów swoich w Siedmiogrodzie, pragnął podobnie jak Boczkaj wyzy-

¹⁾ Wyborną charakterystykę Ostrogińskiego podaje Feliks Kryski w broszurze p. t.: „Passio domini Smi Sigismundi III etc.” Ręk. bibl. Jagiel., nr. 2390, p. 791.

²⁾ Szczegóły pojmania swego opisuje Herburt w liście do Tomasza Tretera kan. Warmińskiego w roku 1608. Tek. Nar. do r. 1608 i 1609 nr. 119.

skać na swoje korzyść zamieszki w sąsiedniej Polsce. Ambitny z natury, polegając przytém na popularności, jakiej imię Batorych wtedy w Polsce używało, starał on się w Pradze u cesarza o mitrę siedmiogrodzką, a drugą ręką sięgał po koronę Jagiellońską, chwiejącą się na skroniach Zygmunta III ¹⁾. Że w tych zamiarach mógł mu być pomocnym Szczęsnny Herburt przez nieboszczyka kanclerza z Batorymi zaprzyjaźniony, to zdaje się nieulegać najmniejszej wątpliwości, o ile jednak w zamysłach tych brał udział i jak dalece przychylił się do awanturnicznych cokolwiek planów Gabryela, tego z ciemnych podań dziejopisarskich wyjaśnić niepodobna. Było podejrzenie, ale brakowało dostatecznych dowodów.

Ponieważ jednak z całej falangi znaczniejszych przywódców rokoszańskich, jeden Herburt dostał się do niewoli, ponieważ przeciw niemu tylko świadczyła w sposób kompromitujący owa korespondencja z Batorym, więc stronnictwo dworskie na nim całą swoją zemstę wyrzucić postanowiło. W pierwszym zapale, kiedy się zdawało królowi, że rokosz zgnieciony zupełnie, kiedy na dworze przebąkiwano już o zniesieniu izby poselskiej, miał i Herburt śmiałość swoją życiem przypłacić. Krew jego miała przypieczętować zwycięstwo królewskiego stronnictwa i zmyć pamięć manifestu z pod Jeziorny. Ale usposobienie to nie trwało długo. Tryumfował wprawdzie król i polityczni jego przyjaciele, lecz naród nie dzielił radości dworu. Stronnictwo umiarkowane, do którego należał Żółkiewski i Bernard Maciejowski, arcyb. gnieźnieński, neutralni w rodzaju Ostrogińskiego, nieżyczyli sobie zupełnego upokorzenia rokoszan. Z wstrętem spoglądali oni na rozlew krwi bratniej, dynastyczna polityka Zygmunta III budziła w nich obawy względem utrzymania swobód obywatelskich, pokrewieństwo i zażyłość dawniejsza z przywódcami rokoszan łagodziły nienawiść stronnictwą i pragnienie zemsty. Wobec tego znalazł się król nagle w trudnym położeniu; musiał się liczyć z głosem tych, którym zawdzięczał zwycięstwo, musiał rad nierad zezwolić na układy i gniew swój pokryć płaszczem monarszej łaskawości. Zmiana taka w usposobieniu królewskim wpłynęła i na położenie Herburta o tyle, że nie groziła mu śmierć, ale też nikt nie mógł oznaczyć, jak długo wola królewska w ciasnym trzymać go będzie w więzieniu. Zygmunt III okazywał się twardym dla Szczęsnego, przyjaciele opuścili go, nawet teść, książę Zasławski, nieważył się czy też nie chciał dać poręczenia za uwięzionego starostę. Jerzy Zborowski, do którego Herburt pisał z prośbą o pośrednictwo u króla i porękę, zbył go listem ²⁾, pełnym ironii i udanego współczucia. Snać zapomniał książę, dostawszy od króla sokalskie starostwo po Jazłowieckim, że przed rokiem gardłował ³⁾ sam na rokoszu sandomierskim

¹⁾ Dowód na to czerpiemy z sprawozdania posła polskiego w Pradze Wojciecha Miaskowskiego z d. 30/8 1607—w Tek. Nar. nr. 139.

²⁾ List w Tek. Nar. nr. 230.

³⁾ Wspomina o tém dokładnie ks. Skarga w liście, zachowanym u Wielewiewickiego pod r. 1606.

przeciw OO. Jezuitom i należał do opozycyi. Tak to czas, urzędy i zmiana szczęścia wpływają i na zmianę uczuć ludzkich tam, gdzie pobudką działania nie jest umysł szlachetny, lecz wzgląd poziomy na własne korzyści. Tak stały rzeczy, kiedy do Krakowa zjechała żona Szczęsnego, pani Elżbieta wraz z trojgiem nieletnich dzieci i z jak największą gorliwością zaczęła pracować nad uwolnieniem męża. Czy skłaniała ją do tego miłość, czy duma? odpowiedzieć nie umiemy napewne. Zdaje się jednak, że o miłości wielkiej mowy tam nie było, kiedy pani Elżbieta w rok niespełna po śmierci Szczęsnego oddała rękę swoje Maksymilianowi Przerębskiemu; była zato duma, bolejąca nad upokorzeniem męża, była może troska o dołę własną i przyszłość dzieci, które z powodu nieuregulowanych stosunków majątkowych, w razie śmierci lub dłuższej niewoli ojca, w niedostatek popaść mogły.

Dość że pani Elżbieta znalazła i przystęp do męża i użyła wszelkich środków, aby go z niewoli wydzwignąć. Więc wspólnie z nim napisała suplikę do królowej Konstancyi, drugą podobną, do siostry królewskiej Anny ¹⁾, a prośby te jakkolwiek nieodniosły stanowczego skutku, to jednak złagodziły nieco przykry los więźnia i wpłynęły znacznie na zmiękczenie umysłu królewskiego. Dla Herburtu było to zamało, on pragnął bezzwłocznego uwolnienia i chwycił się ostatecznych w tym celu środków. Był wtedy w Krakowie słynny astrolog „matematyk“ Marcin, Szlązak, rodem z Kłodzka, który zjednał sobie niemałą sławę trafnymi przepowiedniami na r. 1607 ułożonemi. Do niego udał się Herburt, upraszając w bezimiennym liście o horoskop przyszłości i dołączając skromny podarek ²⁾.

W epoce alchemicznych złudzeń i czarnoksięskich eksperymentów, gdy najoświeceni ludzie niezachwianą wiarę pokładali w prawdziwość astrologicznych przepowiedni, krok Herburtu nie może się wydawać ani śmiesznym ani nierozumnym. Wierzył w to, w co wszyscy wierzyli, łądził się razem z innymi, a jeżeli złudzenie u niego przekroczyło zwyczajną miarę łatwowierności, to go tłumaczy dostatecznie nieszczęście, które człowieka czyni zabobonnym, trwożliwym o przyszłość i łatwowiernym.

Nie wiemy wprawdzie jakimi drogami postępowały układy Szczęsnego z „matematykiem“ Marcinem, dość że astrolog zobowiązał się więźnia wyprowadzić z wieży, pod warunkiem jednak, że przy całym tym akcie imienia boskiego na pomoc nie wezwie. Czarnoksięska sztuka okazała się rzeczą nader prostą, Herburt miał się kominem z więzienia wydobyć! Ale kiedy otworem, wychodzącym z celi więziennój, wydrapał się cokolwiek do góry, ciasne przejście zatamowało dalszą ucieczkę i Herburt zawisnął w kominie pomiędzy niebem a ziemią, ku

¹⁾ Obie prośby w Tek. Nar. do r. 1608 i 1609 nr. 122 i 124.

²⁾ List do mistrza Marcina, w Tekach l. c. nr. 123.

wielkiemu przerażeniu „matematyka,” który zawczasu ratował się ucieczką ¹⁾.

Po niejakiem czasie spostrzegła straż nieobecność więźnia i po długich poszukiwaniach wyzwoliła go z niemitej sytuacji. Wypadek ten, drobny napozór, nie pozostał bez wpływu na wrażliwy umysł Herburta. Wstyd, bojaźń i zwątpienie miały nim teraz na przemiany. Niepewny o los własny i swoich dzieci, zrujnowany na majątku, upokorzony świeżo ową niefortunną ucieczką, nie widział innego wyjścia, jak zdanie się zupełne na łaskę królewską. Daleki jednak od fałszywej pokory i pochlebstwa dworskiego, postanowił przemówić nie do uczucia lecz do rozumu monarchy i przekonać go, że łaskawém obejściem uspokoi umysły o wiele łatwiej niż surowością. „Dwa sposoby są zatrzymania państw, tak pisał do króla: jeden postrachem a drugi miłością. Żadne państwo postrachem trwać nie może ²⁾. Węć na tém stanąwszy i poparłszy to przykładami z dziejów więzemi, radził królowi, aby go z Pękosławskim z więzienia uwolnił i użył do układów z rokoszanami; w razie nieudania się misyi gotów jest do więzienia powrócić. Król czy to, że Herburta nie ufał, gdy w kraju szlachtę na nowy rokosz zwoływano, czy téż, że się zaciekł przeciw niemu, odpowiedział wymijająco i radził, aby starosta zdał się na sąd świeckich senatorów ³⁾. Nie mało zapewne wpłynęli na postanowienie królewskie i ci wszyscy, których ostre pióro Herburta w „Praktyce rakuskiej“ dotknęło. Nie znamy wcale téj satyry Szczęsnego, ale z kilku wierszy zachowanych, przebiega tyle żółci i śmiałości, że dziwić się niemożna, dłaczego całe stronictwo dworskie tak zawzięcie autora prześladowało. Pomijany statecznie przy rozdawaniu „wakancyi,” wtajemniczony przytém w zakulisowe intrygi oligarchów i nieprzyjazny OO. Jezuitom przedstawia Herbert w satyrze wspomnianej smutny, ale nadto prywatną tchnący obraz stosunków dworskich:

Rozdawania wakancyi są to chytre wniki,
W które lecą za żerem przyszłe niewolniki.
Biorą chleb zasłużonych polewczaste sługi,
A pocziwego dzisiaj próżne są zasługi...
Komornicy królewscy, sprośne faworyty,
Szafują urzędami, rozdają zaszczyty,
Jezuita dziś radzi, Jezuita sądzi,
Wszystkiem przez naprawione zwolenniki rządu,
Ale zawsze ostrożny, umysłu chytrego,
Uda je, że się nigdy nie micsza do złego.

¹⁾ Radziwiłł, Rys panow. Zygm. III w Athenaeum wileńsk. z r. 1848 t. III, 39.

²⁾ Skrypt Herburtów. Rkp. bibl. ks. Czartor. nr. 335.

³⁾ Odpowiedź przez niewiadomego urzędnika królewskiego napisana w Tek. Nar. do r. 1608 nr. 109.

Został więc Herburt w więzieniu, czekając zmiłowania królewskiego a tymczasem nadspodziewanie odezwały się w jego obronie dwa poważne głosy. Jeden z nich wyszedł z pod pióra znanego poety wielkopolskiego, Kaspra Miaskowskiego, który w cichym dworku Smogorzewskim ubolewał nad zniszczeniem wojny domowej, a teraz gdy po „burzy“ „pogoda“ nastąpiła, wzywał stronnictwa do upamiętania i zgody. Monarchista z przekonania, ale przytém człowiek bezstronny i szanujący każdą zasługę był Miaskowski przyjacielem Herburta. Czy ich zbliżyły do siebie wspólne na polu literackim zajęcia, czy téż stosunek krewnych Miaskowskiego do Herburta ¹⁾, to napewno oznaczyć się nie da, w każdym razie jednak głos tak bezstronnego człowieka, jak Miaskowski, zasługuje w tym wypadku na szczególniejszą uwagę. Nie kierowało nim pochlebstwo ani nadzieja pozyskania możnego mecenasu, bo uwięziony i prześladowany od dwurustarosta nie posiadał ani majątku znacznego ani żadnych (? Red.) wpływów w Rzpltej; nie żądał téż wyniesienia lub nagrody skromny poeta, zadowolony z ziemiańskiego swego zawodu, który w chwilach wolniejszych od pracy rymami zwykł był sobie osładzać. A jednak wbrew opinii publicznej, tak srogo obchodzącej się z Herburtem, Miaskowski miał tyle odwagi obywatelskiej, aby wystąpić w obronie potępionego i od czci odsądzonego przyjaciela.

Krótko przedtém jakoś nadesłał Herburt do Smogorzewa allegoryczny swój poemat, napisany w więzieniu, dziwny tytułem zarówno jak i treścią. Tytuł pierwotny ²⁾: „Gadka Hrycia z Fortuną,“ zmieniony później przy wydaniu na „Herkulesa“ niezapowiada tego właściwie, co autor zamierza wyrazić. Rzecz, napisana prozą, chociaż gęsto przeplatana rymami, stylem potoczystym, językiem jędrnym, przypominającym czasy Kochanowskiego, świadczy o niepospolitych zdolnościach autora i jest dyalogiem pomiędzy „Fortuną“ a uwięzionym Herburtem. „Fortuna,“ którą autor w sposób poetyczny, zgodny z wyobrażeniami starożytnych opisuje, przychodzi do więzienia, aby się z narzekającym na los swój starostą rozprawić. Wywiązuje się pomiędzy nimi rozmowa, w której bogini, opowiadając życie Herburta dowodzi nam, że pogardzał nią zawsze a służył cnocie i nauce, i że próżno teraz się żali na losy zawistne. Herburt wymawia się rozkazem ojca i matki. Ojciec zalecał służbę Bogu.

Bo ten wszystek świat rządzi a sam niema pana,
Temu się niebo kłania y ogniste zorze;
Temu ziemia hołduje i nawalne morze.

1) Tak domyśla się staranny wydawca rymów Miaskowskiego Jan Ry-markiewicz w przedmowie.

2) Poematu tego (miał być wydany w Dobromilu razem z „Herkulesem“ Miaskowskiego) nigdzie, w żadnej bibliotece odszukać nie mogliśmy, pomimo wskazówek, jakie podał Maciejowski w Pism. III, 319 i Wiszniew. w Hist. lit. VII, 117. Musimy więc ograniczyć się na tém tylko co przedrukował Wiszn. VII, 118—135.

Potém cnotę trzeba mieć w pamięci i prawdę:

A kiedy przydą lata, da Pan Bóg rozumne,
Pogardzi złoto y wszystkie obyczaje dumne:
Prawo miłuj y święte dobro pospolite,
Te trzy rzeczy przyniosąć pociechy obfite.

Takimi zasadami karmiony w domu, poświęca się Szczęsny nauce i cnotcie a w nocy i we dnie powtarza owe pieśni „starca ze Stagiry:”

Cnota na pracy zasadzona,
Pracowitością zalecona,
Gościniec ściśle wrodzonomu
Ku żywotowi uczciwemu.

W skutek tego następuje wieczny rozbrat z „Fortuną” i oddanie się bezwzględne „tamtej szkutnicy” (cnotcie), która Herburtovi w zamian za służbę sumienną przyniosła ponizenie i okowy. Teraz więc, tak kończy rozmowę „Fortuna,” chcesli się mieć dobrze, nie trzeba być cnotliwym; inaczej jeśli uczynisz, mnie nie winuj.”

Ze w tym całym poemacie wielką rolę odgrywała ambicyja obrazona autora, że było tam zanadto wiele chepliwości a zamało pokory, temu przeczyć nie można, ale jeżeli się przeniesiemy na chwilę do owego „tarasu” zamkowego pod Wawelem i razem z osamotnionym więźniem rozważać będziemy i życie jego ubiegłe i gorycz losu, który go od tak dawna stale a niezastuzenie prześladował, to pojmiemy już łatwo dlaczego ta spowiedź poety ukrywa w sobie tyle boleści prostej a serdecznej, dlaczego jest zaprawna dumą i cynizmem, dlaczego autor nazywa siebie Herkulesem, a na stronictwo dworskie jako na Pigmajczyków wyniosłe spogląda. Z takim uczuciem mniej więcej odczytywał zapewne i Miaskowski ów utwór Herburta, ale jako poeta, pokrewny duchem autorowi i jako osobisty jego przyjaciel, czuł głębiej krzywdę wyrządzoną uwięzionemu. Bezstronnem okiem spokojnego ziemianina spoglądając na wypadki współczesne, widział on winniejszych stokroć od Herburta przewodzców rokосу, jak swobodni od wszelkiej kaźni, z królem się układali i na zastraszenie jego nowe zwoływali zjazdy, podczas gdy Herburta, który najpóźniej do rokосу przystąpił, za jedną mowę podburzającą i za niejasne związki z Batorym ciężkie cierpiał więzienie a nawet w niebezpieczeństwie życia się znajdował. Oczywista ta niesprawiedliwość ¹⁾ losu i ludzi oburzyła Miaskowskiego i skłoniła go do napisania poematu w obronie Herburta w odpowiedzi na przyslaną sobie „Gadkę Hrycia z Fortuną.” Tak powstał „Herkules niecierpliwy” także „Herkulesem słowiańskim” zwany ²⁾. W ślad za nim odezwał się inny głos, poważniejszy, dla Zygmunta III bardziej stanowczy, który o ile się zdaje wpłynął korzy-

¹⁾ Opinii tej nie potwierdzi sąd historyi. *Red.*

²⁾ Wydany po raz pierwszy w Dobromilu w r. 1612. Cały tytuł brzmi: Herkules niecierpliwy albo Rozmowa Apollina z Merkuryuszem na

stnie na dalsze losy więzionego poety i rokoszanina. Była to interwencya duchowieństwa.

Już podczas sejmu r. 1607, w maju, gdy „kompozycya” pomiędzy katolikami a innowiercami dla wygórowanych żądań stron obu skleić się nie mogła, postanowiono, aby duchowieństwo conajrychlej synod odprawiło i porozumiawszy się między sobą, wyprawiło delegatów do Warszawy na dzień ś. Marcina, w celu dalszych układów z stanem świeckim ¹⁾. Stosownie do tego postanowienia, zwołał prymas Bernard Maciejowski w pierwszej połowie października r. 1607 synod do Piotrkowa, a że Rzplta nie była uspokojona, że pod Warszawą zgromadził się już nowy rokosz, którego marszałkiem obrano Zygmunta Niszczyckiego i że w skutek tego na nową wojnę domową się zaniosło, więc duchowieństwo zaczęło pośredniczyć pomiędzy zwaśnionemi stronami. Do rokoszan pod Warszawą wysłano poselstwo, które odniosło odpowiedź wcale pomyślną, a podpisaną przez marszałka i Zebrzydowskiego, na króla miał wpłynąć sam prymas a tymczasem synod wierny podjętemu raz pośrednictwu, wstawił się także za uwięzionym Herburtem, którego sprawa ogół społeczeństwa szlacheckiego zaczęła interesować.

„Pan Herburt — tak pisali zgromadzeni w Piotrkowie biskupi — człowiek zacny w tej Rzpltej z przodków swych, uniósłszy się z drugimi w tém zamieszaniu ojczyzny, zatrzymany jest od WKMości. Zastług domu jego przekładać nie chcemy, WKMości dobrze wiadome są, a świeże w pamięci ludzkiej. Stryj i ojciec wielkie w kościele Bożym, wielkie w Rzpltej, niezapomnione i od dalszych czasów zastugi mają. Może i on sam godnością swoją wetując tego uwięzienia, godnie z czasem WKMości i Rzpltej usługować” ²⁾.

Prośba ta nie była bez skutku tém bardziej, gdy i układy z rokoszonami lepszy zaczęły brać obrót i król w celu złagodzenia umysłów rozsierdzonych wspaniałomyślniejszym się okazywał. Mimo to, upłynęło jeszcze czasu nie mało, zanim sprawa Herburtu stanowczo załatwiona została. Do końca r. 1607 i przez cały rok następny przesiedział nasz autor w „tarasie” na zamku krakowskim; dopiero kiedy król zawarł ugodę z Zebrzydowskim i gotował się do wyprawy na Smoleńsk, wypadło uspokoić gruntownie kraj cały i ogólną ogłosić amnestyą. Podjął się tej pacyfikacyi sejm warszawski w roku 1609; ale chociaż ustawa w *V o l u m i n a c h l e g u m* zawarta, zdaje się powszechnie zapowiadać przebaczenie, nawet tym, którzy królowi wypowiedzieli posłuszeństwo, to w rzeczywistości rzecz się miała inaczej. Z pod prawa ogólnego zostali wyjęci Stanisław Stadnicki

Gadkę Hrycia z Fortuną, napisaną od J. M. P. Szczęsnego Herbortha. Wyd. Rymark., str. 49.

¹⁾ Poselstwo z Synodu Piotrkowskiego od panów duchownych do Rokoszan pod Warszawą 12 paźdz. 1607. W Tek. Nar. nr. 159.

²⁾ Tamże nr. 161.

z Łańcuta i Jan Szczęsny Herburt. Pierwszy miał w obec sejmu odwołać inwektywy na króla podczas rokoszu miotane, drugi poniósł karę o wiele surowszą. Król uwolnił go wprawdzie z więzienia, ale pod warunkiem, że uda się natychmiast prostą drogą z Krakowa do Dobromila i przez dwa lata z miejsca tego wydalac się nie będzie dalej jak na mil siedm. Gdyby zaś w tym czasie jakiegokolwiek powstało przeciw niemu podejrzenie, ma być wezwany na sejm, i „jeśliby się w czém znalazł winien, sądzony jako o crim en lesae majestatis.” Nie wolno mu przytém wysyłać sług swoich zagranicę, kupić ludzi, pojmania swego dochodzić na rotmistrzach królewskich, a w razie niedotrzymania tych zobowiązań, powinien starosta miejscowy lub okoliczny pojmać go i osadzić w więzieniu. Skrypt ten wydany 24 lutego 1609 roku ¹⁾, podpisany przez króla, marszałka sejmowego i kilku posłów, został oddany do kancelaryi królewskiej. W miesiąc później poprzysiął Herburt warunki podane mu uroczyście u grobu ś. Stanisława i odzyskawszy nareszcie wolność udał się do Dobromila.

IV.

W Dobromilu oczekiwał powracającego szatan-kusiciel, w osobie Stanisława Dyabła Stadnickiego. Stadnicki wyszedł cało z guzowskiej bitwy i z późniejszych za rokoszanami pościgów. On, co już pod Lublinem gardłował za detronizacją Zygmunta, on, co publicznie w obec całego rokoszu najsroższe potwarze miotał na króla, on, zacięty wróg Jezuitów i katolickiego kościoła, wypoczywał bezpieczny po trudach rokoszowych w łańcuckiej rezydencji swojej, dlatego zapewne, że miał krewnych dobrze położonych u dworu, którzy miecz sprawiedliwości królewskiej ubezwładnić umieli. Inaczéj trudno sobie wytłómaczyć karygodną w tym razie łagodność Zygmunta III. Ale nieubłagana logika dziejowych wypadków miała niebawem srogo ukarać słabą i małoduszną politykę królewską, miała dowieść, że oligarchiczne rządy i system protekcyjny podkopują powagę tronu i burzą porządek społeczny, chociaż na sztandarach swoich wypisują hasła konserwatywne.

Stadnicki, nieugięty lecz rozzuchwalony pobłażliwością królewską, zaczął wnet po stłumieniu rokoszu, nanowo kupić ludzi, nie przeciw królowi, lecz przeciw osobistemu nieprzyjacielowi swemu, Łukaszowi Opalińskiemu, staroście leżajskiemu. Przyczyną tój nieprzyjaźni obu oligarchów, były, o ile wnosić można, spory sąsiedzkie podrzędnej wagi. W manifeste oblatowanym w aktach grodzkich przemyskich na początku roku 1608 ²⁾ skarży się Stadnicki, że sługę jego,

¹⁾ Znajduje się w Tek. Nar. do r. 1609, nr. 134; wspomina o nim Kra-sicki w przypis. do Niesieckiego, wyd. Bobrow. IV, 353.

²⁾ Kopia manifestu wyjęta z akt przemyskich znajduje się w (niopagino-wanym) rkp. bibl. ks. Czartor. nr. 439.

szlachcica Mietelskiego kazał Opaliński pobić, że najechał dobra jego, zniszczył je i na ludności wiejskiej mnogich dopuszczał się gwałtów, że koło Trzciany zabrał wozy Stadnickiego z winem, chmielem, przędzą i kitajką i że nareszcie wypłondrował mu wieś Czarną. Z tych powodów zapowiada Opalińskiemu zemstę i uprzedza, aby się go strzegł „na wszelakiem miejscu, chodząc, śpiąc, w kościele i w łaźni.” Nie pozostał dłużnym odpowiedzi Opaliński, a tymczasem sprawa wytoczyła się przed sądem i Stadnicki został skazany na banicyą. Wiedziały obie strony dobrze, że wyrok trybunałski nie ma znaczenia w obec bezsilnej egzekutywy sądowej. Stadnicki drwił sobie z trybunałów, banitowany już znieważył trybunał ¹⁾ a utrzymując kupę zbrojnych niepokoił dalej Opalińskiego. Dziś trudno wyrozumić dokładnie po czyjjej stronie była słuszność, gdy jednak król i senat brali w obronę Opalińskiego, a burzliwy charakter Stadnickiego jak największe budzi w nas podejrzenia, można przypuścić, że Opaliński jako zaczepiony gwałt gwałtem odpięrał. Niemniej przeto było postępowanie jednego i drugiego karygodne i da się tylko wyttómaczyć po części, anarchicznemi stosunkami kraju w epoce porokoszowej. Gdybyż jeszcze zajazdy te ograniczały się na dobra Opalińskiego i Stadnickiego! Tymczasem kraj około Leżajska i Łańcuta, po Radymno z jednej strony a po Sandomierz z drugiej, był ciągłym teatrem wojny i grabieży.

Już przy końcu roku 1607, szlachta ziemi przemyskiej, nękana od „kup swawolnych,” pomiędzy któremi „pogaństwa moc się gromadziła,” zawiązuje w Radymnie rodzaj konfederacyi w obronie własnej, i osobnem poselstwem uwiadamia o tém króla ²⁾. Konfederacya niewiele snać pomogła, kiedy w dwa lata później liczono w ziemi przemyskiej nad siedmdziesiąt domów szlacheckich „wybranych przez swawolne ludzie, kiedy po drogach publicznych łupiono spokojnych podróżnych, a spustoszone kościoły na stajnie dla bydła zamieniano ³⁾. Wśród takiego okoliczności powrócił do Dobromila Szczęsny Herburt i jak był zaprzyjaźniony z Stadnickim, tak też nie mógł obojętnie przypatrywać się tej wojnie domowej, gdy ona tak blisko koło niego się toczyła. Czas to był zresztą gorączkowy, rokosańskie dreszcze przechodziły jeszcze po kraju, w najbliższym sąsiedztwie Rzltęj spychał z tronu nieudolnego Rudolfa II brat arcyksiążę Maciej, Gabryel Batory zasiadł na siedmiogrodzkim województwie, Niemcy podzielone na dwa wrogie obozy, gotowały się do bratobójczej walki, Henryk IV marzył o zaprowadzeniu nowego porządku rzeczy w Europie, sło-

1) L. c. *Recognitio Gnosi Lucae Opaliński ratione interemptionis olim G. Stanisłai Stadnicki.* Z aktów grodz. przem.

2) Akt z 13 grudnia 1607 w Tek. Nar. nr. 187.

3) Instrukcyja Ich MPP. Senatorów dana IMć. ks. Sułowskiemu do p. Stanisława Stadnickiego y Pana Szczęsnego Herburtu w Krakowie 25 stycznia 1610. Rkp. ks. Czartor. nr. 439.

wém: świat cały zdawał się inną, przybierać postać, znajdował się w przededniu srogiej jakiegóś zamieszki i w przeczuciu strasznych kaktizmów dziejowych. Zygmunt III wyprawiał się wtedy właśnie pod Smoleńsk, zostawiając kraj na opiece senatorów, którym przewodniczył świeżo na godność prymasowską wyniesiony Wojciech Baranowski. Trudne było to dla niego zadanie w obec niesforności szlachty i niewygazzonego jeszcze żarzewia wojny domowej, tém trudniejsze, gdy jak wspomnieliśmy, na Rusi Czerwonej wybuchnął ów zatarg niebezpieczny pomiędzy Stadnickim a Opalińskim, który wnet aż w sandomierskie sięgnął województwo, napełniając kraj cały pożogą i spustoszeniem. Stadnicki odwołał wprawdzie na sejmie obelgi przeciw królowi dawniej miotane, ale przez to nie zmienił wcale ani zapatrywań swoich, ani burzliwego charakteru. Pozornie udawał on wielkie dla prawa poszanowanie, skarżył się przed prymasem na Opalińskiego, gdy jednak Opaliński niemniej ciężkie przeciw Stadnickiemu wytaczał zarzuty, ograniczył się prymas na upomnieniu stron obu i odesłał zwaśnionych do sądu. Wyroki trybunalskie nie dogadzały widocznie ani jednemu ani drugiemu, kiedy obaj w końcu chwycili za oręż i gwałtowną rozpoczęli ze sobą wojnę. Zbierał początkowo Stadnicki ludzi w Wielkopolsce i pustoszył z ich pomocą położone tam dobra Opalińskiego, później jednak zwrócił się na Węgry, gdzie z czasów rokoszu jeszcze liczne posiadał stosunki. Węgry obfitowały zawsze w ludzi gotowych do boju i od czasów króla Stefana szczególnie, zasilają wojska polskie zaciężnym żołnierzem. Teraz przed wyprawą smoleńską otoczył się starosta przemyski, Stanisław Stadnicki, kupą takich najętych Sabatów, jak ich nazywano, a za jego przykładem poszedł i pan łańcucki. Cały ten werbunek odbywał się tuż pod bokiem Szcześnego Herburtu, który z murów dobromilskiego zamku mógł widzieć dokładnie przebiegających się przez wąwozy karpackie Sabatów. Że ta walka nie była dla niego obojętną, że się znosił z Stadnickim i sprzyjał mu, uważając Opalińskiego za stronnika dworu, to zdaje się nieulegać żadnej wątpliwości, ale jako statysta i bystrzejszym obdarzony wzrokiem, inaczej pojmował obecne położenie. Nie pokonanie Opalińskiego, lecz wprowadzenie Batorego do Polski pod nieobecność Zygmunta III, to był plan, który umysł jego zatrudniał. Pociągał go zapewne przykład arcyksięcia Macieja, który oparłszy się na żywiole protestanckim, odrazu zajął tron węgierski, Rakuzy i Morawią. Czy Zygmunt III miał być lepszym od Rudolfa II? szczególnie teraz, gdy wbrew radom Żółkiewskiego, wybrał się na oblężenie Smoleńska i twierdzy tej tak niefortunnie dobywał? Uniesiony więc żądzą zemsty, podburzony przez Stadnickiego, upatrując przytém dla Rzpltej lepszą przyszłość pod berłem Batorych, niż pod rządami ociężałego Wazy, zaczął Herburt porozumiewać się z wojewodą siedmiogrodzkim. Sam wprawdzie, pomny na owo przyrzeczenie dane królowi, przesiadywał w Dobromilu, ale zato wysłannicy jego przejeżdżali się często do Węgier, a nawet do Turek w zamiarach dokładniej nam nieznanych. Było to więc zerwanie umowy, poprzysiężonej w Krakowie, by-

ła zdrada względem panującego, tém trudniej dająca się usprawiedliwić, gdy popełniano ją w interesie człowieka, którego pamięć krwawymi głoskami zapisała się na kartach historii węgierskiej. Zasłepieni zemstą, uniesieni żądzą odwetu, nie pojmwali epigonowie rokoszu fałszywej polityki swojej. Nie wiedzieli, że działanie z takich wyływające pobudek, jak nie ma podstawy moralnej, tak i politycznych celów nie dopnie, a wychodząc z mylnego założenia sami sobie zgubę gotowali.

Nagle bowiem głośno zrobiło się po świecie o tych planach Stadnickiego i Herburt. Z Rzymu od papieża, z Konstantynopola od sułtana, dochodziły przestrogi do obozującego pod Smoleńskiem Zygmunta, a musiały to być wieści bardzo alarmujące i na pewnych podstawach oparte, kiedy król osobnym uniwersałem doniósł o nich senatowi i nad bezpieczeństwem kraju czuwać zalecił ¹⁾. Na początku r. 1610 zwołał więc pod wrażeniem tych wiadomości prymas senatorów na radę do Krakowa i rozważywszy wszystko dokładnie, zestawivszy wieści, obiegające zagraniczne dwory, z tém co się w kraju działo, wysłał opata tyńckiego, księdza Sułowskiego w poselstwie do Stadnickiego i Herburt. Poseł miał wezwać Stadnickiego, aby z zagrabionego nieprawnie starostwa leżajskiego ustąpił, ludzi najemnych rozpuścił i pokoju domowego wzruszać się nie ważył, w przeciwnym bowiem razie, senat ostrzejszych użyje środków. To samo tyczyło się i Herburt. Ks. opat miał przypomnieć i skrypt dany królowi i przysięgę wykonaną, miał ostrzedz surowo przed związkami z Batorym i spokój na przyszłość zalecić.

Tego samego dnia, 25 stycznia, wystosował prymas w imieniu senatu list do Gabryela Batorego, odwołując go od wszelkich na Rzpl. zamachów ²⁾. Zdaje się, że i list i poselstwo ks. Sułowskiego odniosły o tyle pożądaný skutek, że tak Herburt jak i Batory porzucili awanturnicze swoje zamiary. Nie tak Stadnicki. On wiedział z doświadczenia, jak bezsilnym jest w Rzpltej prawo publiczne w obec każdego zuchwałego magnata i jak w nieobecności króla nie jeden gwałt ująć może bezkarnie, wiedząc zaś o tém, nie śpieszył się ani z rozpuszczeniem Sabatów, ani z oddaniem leżajskiego starostwa. Zawiodły go jednak nadzieje, bo Opaliński zebrawszy kilka tysięcy zbrojnych, napadł go około wsi Tarnawy i rozbiwszy zacieężnych Węgrów, samego na polu walki trupem położył. Ciało zabitego odwieziono do Przemyśla, a Opaliński chcąc zrzucić z siebie wszelką odpowiedzialność, wniósł do akt grodzkich przemyskich szczegółowy opis tragicznego tego wypadku i całą winę zwałił na Stadnickiego ³⁾.

1) Wiadomości te czerpiemy z instrukcyi danój ks. Sułowskiemu, l. c.

2) List ten znajduje się w rękop. biblioteki ks. Czartor., nr. 439.

3) *Recognitio Gnosi Lucae Opaliński ratione etc.* Rękop. biblioteki ks. Czartor., nr. 439. Jest ta justyfikacya poniekąd odpowiedzią na wątpliwości, jakie podniósł swojego czasu co do tego faktu p. Kazimierz Stadnicki w „Rodowodzie Stadnickich.“

Nagły zgon przyjaciela uderzył gromem w Herburta. Złączony z Stadnickim stosunkami długoletnimi, dzieląc poczęści jego zapatrywania polityczne, uczuł Szczęsny głęboko jego stratę i jak wyraził stylem klasycznym żał swój w nagrobku, napisanym dla zmarłego ¹⁾, a widząc się osamotnionym i w nadziejach politycznych zawiedzionym, zmienił odtąd i zachowanie swoje i cały tryb życia. Wpłynęły na to nie mało i wiadomości od wschodnich granic Rzpltej.

Zygmunt, który wyprawę smoleńską rozpoczynał pod najgorszą wróżbą, wracał teraz jako tryumfator z pola walki, dzięki bohaterским czynom Żółkiewskiego. Opozycja była więc w tej chwili niemożliwą, chwielej się niedawno jeszcze tron Wazów, stanął odrazu silnie na opoce mas szlacheckich, skłonnych zarówno do gniewu jak i do zapomnienia dawniejszej urazy. W obec takiego składu rzeczy poznał Herbert, że czasy rokосу na długo minęły, czując się jednak powołanym do odegrania roli politycznej, przekonany że sprawie publicznej służyć może z pożytkiem, poświęcił się innej pracy. Na pamięci stanęły mu zapewne wzniosłe przykłady przodków: sława uczonego stryja i literacka działalność ojca. Tę drogę obrał sobie teraz Szczęsny; ale jak był człowiekiem oryginalnym w pomysłach i stałym w postanowieniach, tak i tej ostatniej, najpożyteczniejszej może czynności swojej, w zakresie wydawnictwa źródeł historycznych, umiał nadać kierunek nieznanый dotychczas w Polsce, naukowy zarazem i polityczny. Myśl drukowania książek nie była nowa. Każdy możniejszy pan polski, szczególnieje jeżeli brał żywszy udział w sporach religijnych, kupował sobie wtedy drukarnię i kazał odbijać książki rozmaitej treści, mianowicie takie, które jego wyobrażeniom religijnym odpowiadały. Były to jednak wydawnictwa bez żadnego systemu prowadzone i dogadzające przedewszystkiem pańskiej fantazyi; o pożytecznej pracy dla ogółu, o naukowej działalności w tym kierunku nikt niemal nie myślał, chociaż drukowano wiele, więcej może niż było potrzeba. Pierwszy Herbert dopiero powziął zamiar wydania najdawniejszych kronikarzy krajowych, a co ważniejsza, zamiar ten w znacznej części wykonał. Że się do tego oddawna już przygotowywał, to w obec trudności, z jakimi wydawca tego rodzaju walczyć musi, jest rzeczą pewną. Nie mało posłużyła mu w tym względzie zasobna biblioteka ojcowska, o której w listach do Zamoyskiego wspomina, dopomógł i sam kanclerz, od którego w r. 1603 jeszcze otrzymał „Księgi kmicińskie,“ wydanie przy rocznikach Orzechowskiego. One też poszły na pierwszy ogień. W roku 611 był już w Dobromilu drukarz, Jan Szeliga, sprowadzony jak się zdaje z Krakowa ²⁾ i z oficyny jego wyszły zaraz księgi Orzechowskiego wraz z żywotem Kmity. Publikacya ta odpowiadała wsam raz politycznym wyobrażeniom Herbur-

¹⁾ „Nagrobek pana Lanczuckiego od pana Szczęsnego Herburta prima Minerua spysanęj;“ w rękop. Bibl. Jagiell., nr. 2390, p. 877.

²⁾ Bandtke, *Historia drukarń etc.*, I, 73.

ta. Republikanin z zasady, nieprzyjaciel oligarchii i absolutnej władzy królewskiej, pragnął on społeczeństwu ówczesnemu przedstawić obraz pierwszego rokoshu z pod Lwowa i napiętnować zarazem politykę możnowładztwa. Żadna książka nieodpowiadała lepiej temu celowi jak Orzechowskiego rzecz o rokoshu lwowskim i „Księgi Kmicieńskie.” Głosił Herburt ¹⁾ w kole rokoshzańskim pod Jeziorną, że od Kazimierza Jagiellończyka czasów, królowie myślą tylko o tém „jakby szlachtę ubogą od wszelkich wolności odstrychnąć mogli,” Orzechowski popiera ten argument, opisując jak szlachta pod Lwowem o te swobody się dobijała; Herburt uderzał na senatorów i mniemał, że rokosh jest sądem Bożym na nich i na ludzi złośliwych, którzy „króla odwracają,” szlachta pod Lwowem skarży się, że w Rzpltej idzie wszystko podług rządzą możnowładztwa ²⁾. Widać ztąd, jak pilnie i z jakim zamiętowaniem wczytywał się Szczęsny oddawna w ten kodeks rokoshzańskiej mądrości i jak zręcznie nauki tam zawarte w praktycznym życiu zastosowywał.

Straszniejszą jeszcze bronią przeciw możnowładztwu był życiorys Kmity, dodany do roczników Orzechowskiego. Akt oskarżenia, który wychodzi z rąk biegłego prokuratora, jest może mniej bezwzględny i litościwszym dla obwinionego niż ta satyra poważną togą historii przyodziana. Haniebne frymarki z żydami przeciw mieszczaństwu, i odwrotnie z mieszczaństwem przeciw żydom, liczne gwałty na szlachcie popełnione w czasie urzędowania, a wszystko poparte dokładnym wyliczeniem nazwisk, o to poważny spis grzechów ciężących na sumieniu takiego potentata jak Piotr Kmita. „Jego urząd starościński w przemyskiej ziemi, powiada autor, był tyranią, i nie dla czego innego wygał ród Kmitów, jak tylko dlatego, że Bóg nie chciał gwałtowników takich rozmnażać na ziemi. Podobny los, kończy sentencyjonalnie biograf, spotkał i inne rody może przed niewiele laty, a nawet królewski szczech Jagiełłów i familia Tarnowskich wyginą w ten sposób dla niesprawiedliwości.” Taki był początek wydawnictwa dobromilskiego. Nie zapowiadało ono, jak widzimy, poprawy, lecz było dalszym ciągiem propagandy rokoshzańskiej, przeniesionej i na pole literackie.

Rozpowszechniając pomiędzy szlachtą pisma Orzechowskiego i życiorys Kmity pracował Herburt skuteczniej w duchu Zebrzydowskiego, Radziwiłła i Stadnickiego, niż przedtém orężem na polu walki. A jednak nie poprzestał na tém, i kiedy wojsko z Moskwy powracające związało konfederacyą, dopominając się zaległego żołdu, on nie miał nic pilniejszego jak udać się do Przemyśla i namawiać Maszkiewicza do pochodu na Warszawę.

Zabiegi te, jakkolwiek niewymierzone wprost przeciw królowi, nieuszły bacności dworu, ale że czasy się zmieniły, że usiłowania pry-

1) Votum IMci pana Szczęsnego Herburta w czasie rokoshu podane. Tek. Nar., 1608, nr. 235.

2) Orzechowski, Annal. wyd. dobrom.. p. 159.

watnego człowieka nie mogły tak dalece szkodzić planom królewskim, a na wydawnictwo dobromilskie mało kto zwracał uwagę wśród bezustannego szczęku oręża i ważnych wypadków politycznych, więc pozwolono Herburtowi, na sejmie r. 1613 przeprosić publicznie króla i powrócić do łaski monarszej. Trudno wprawdzie wyrozumieć, ile prawdziwych uczuć zawierała w sobie mowa ¹⁾, którą przy tej sposobności Szczęsny wygłosił w izbie poselskiej, ale to pewna, że odtąd umysł jego zwraca się stanowczo ku innym sprawom.

Przy wydawaniu źródeł historycznych, nad którym nieprzerwanie pracuje, znika coraz bardziej zamiar propagandy politycznej a występuje cel naukowy i fundacya bazylińskiego monasteru znamionuje ugodowy kierunek w obec religijnej polityki Zygmunta III. Pełno wprawdzie w tém wszystkim wspomnień rokosańskich, pełno fantazyi pańskiej, ale jest zarazem i cel uczciwy i chęć pracowania dla dobra publicznego, którą tém bardziej podziwiać należy, gdy fortuna Szczęsnego wyczerpana podczas rokoshu wielkimi wydatkami, widocznie ku upadkowi się chyliła. Akta ziemskie przemyskie ciekawe pod tym względem podają wiadomości.

W r. 1611 zeznaje Szczęsny Herburt, że jest winien Mikołajowi Wolskiemu z Podhajec 2000 zł., w kilka miesięcy później czytamy taką samą sumę dłużną zapisaną na rzecz Jana Sobiekurskiego z Sierakosiec, równocześnie ustępują Herburtowie Stanisławowi Tarnowskiemu dobra królewskie, które dzierżyli dotychczas, t. j. Rakowce, Trybakowce i Rzepichów ²⁾. Rok 1612 przedstawia jeszcze smutniejszy bilans majątku Herburtów. Jan Szczęsny i żona jego Elżbieta, która miała posagową sumę swoją zapewnioną na Dobromilu, zeznaje przed aktami na rzecz Stanisława Michałowskiego dług w ilości 8000 zł. I odtąd już, jak się zdaje, kredyt Herburtów jest stanowczo zachwiany, wierzyciele zaczynają dokuczać jego żonie. Pierwszy Sobiekurski, niezadowolony z dawniejszej swojej pretensyi, bierze poręczenie za męża od pani Elżbiety a za jego przykładem idą i inni: Wojciech Dumański, Stanisław Dunikowski i Anna Dunikowska. Nawet bracia Szczęsnego Andrzej i Kasper, przewidując niechybną ruinę majątkową pana Dobromilskiego każą sobie wystawić zapis na 5000 zł. Obawy ich spełniły się rzeczywiście w latach następnych 1613 i 1614. Szarpany przez wierzycieli Herburt ratuje się z początku zastawą pojedynczych wsi, jak Mijowy na rzecz małżonków Chrzaszczewskich, w końcu jednak przyciśnięty oddaje imieniem własnym i żony wszystkie swoje dobra wraz z Dobromilem w zastaw Zofii Kopyczyńskiej za sumę 40000 zł. ³⁾. A jednak na zamku Dobromilskim nieznac tej ruiny majątkowej. Szczęsny zajmuje się w tym czasie właśnie urządzeniem owęj wspaniałej ko-

¹⁾ Podał ją Maciejowski w *Dodatkach do pism*, p. 283.

²⁾ Archiw. kraj. we Lwowie, akta grodz. przem. t. 72 i 73, p. 774, 1367 i 1374.

³⁾ Arch. kr. we Lwowie Inscr. t. 75 i 77.

mnaty ozdobionej portretami królów polskich i pisarzy rzymskich, umieszcza w niej napisy allegoryczne, każe malować sceny ¹⁾ z rokoshu, słowem przysposabia sobie i rodzinie swojej rezydencyą pańską, która świetnością swoją dziwnie smutnie odbija od zamazanej długami hipoteki dobromilskiego klucza. Obok tego niemałe sumy pochłania i oficyna Jana Szeligi, gdzie bezustannie prawie w ciągu lat ostatnich „szczekają dźwięki blachy.“ W r. 1612 wychodzi tam dziełko Grzegorzkiowicza wraz z „Herkulesem“ Miaskowskiego i drugim Herburtą; w r. 1613 ukazuje się wcale niezłe, jak na owe czasy wydanie Kadłubka i Artes dobromilenses, pod imieniem Jana Lwa ²⁾, syna Szczęsnego wydane, nareszcie w r. 1615 treść ksiąg Długoszowych. Ale już ta gorączkowa czynność Szczęsnego na polu wydawnictwa, obudziła niechęć oligarchii polskiej i obawy dworu. Pokolenie ówczesne, drażliwe niezmiernie na każdą naganą, chociażby ona z najszlachetniejszych płynęła pobudek, pokolenie, które było gotowe skazać na stos komentarze Hajdensztajna, niemogło Herburtowi przebaczyć jego publikacji historycznych, a gdy nie było w stanie zemścić się na autorach, wywarło gniew swój na wydawcy. Przyczyniła się do tego jeszcze jedna okoliczność, którą znamy niedokładnie, z urywkowej korespondencji Herburtą z biskupem przemyskim Sיעińskim ³⁾.

Zdarzyło się, że drukarz dobromilski, za wiedzą a może nawet i z polecenia samego Szczęsnego, odbił w oficynie swojej kartki, wzywające ludność okoliczną na nabożeństwo do kościołka, położonego w pobliżu Dobromila. Miejsce to miało podług autora owych kartek, słynać cudami, a każdy z pielgrzymów pobożnych mógł tam dostąpić odpustu i szczególne uzyskać łaski. Oficyał biskupi pochwywszy kartkę taką, zakazał pielgrzymki i nabożeństwa, a Sיעiński uwiadomiony o tém zajściu nietylko zakaz wikaryusza swego potwierdził, lecz nawet Herburtowi samemu klątwą zagroził. Miał on do tego ważne bardzo powody. Gorliwy w rzeczach wiary, przedsięwziął sobie Sיעiński, obejmując po Pstrokońskim w r. 1609 dyecezyą przemyską i herezyą wytypić i unią zawiązaną niedawno utwierdzić. W tym celu sprowadził do Przemyśla Jezuitów, zakupił dla nich dom i najpierw tak zw. rezydencyą a potem kollegium ufundował z pomocą Adama Stadnickiego wojewody bełskiego i Jerem. Krasickiego. Jezuici dopomogli mu też do przytłumienia herezy, nawracając na łono kościoła katolickiego dwóch ziemian okolicznych, słynnych z niedowiarstwa: Bolestraszc-

1) Opis szczegółowy tój sali znajduje się w Pamiętn. Sandomierskim, II, 207.

2) Przypisują powszechnie autorstwo tój książki synowi Szczęsnego; gdy jednak Szczęsny ożenił się najwcześniej w r. 1601, Jan Lew mógł mieć w r. 1613 lat zaledwie jedenaście i o wydaniu książek zapewne nie myślał.

3) Listy te (wspomina o nich Krasicki w przyp. do Niesieokiego pod Herburtami) skopiowane z archiwum heilsberskiego znajdują się w rkp. bibl. ks. Czart., nr. 439.

kiego i Łysakowskiego ¹⁾. Niemniej szczęśliwie powodziło się biskupowi także w sprawie rozszerzenia unii. Po śmierci Kopystyńskiego, władcy przemyskiego, który był gorliwym zwolennikiem wschodniego obrządku, udało się Siecińskiemu osadzić na téj stolicy Atanazego Krupeckiego.

Nowy władca zajął się gorliwie rozszerzeniem unii, a na prośby Jerzego Humanaja, węgierskiego magnata, którego dobra graniczyły z dyecezą przemyską, rozciągnął jurysdykcją swoją i na część północnych Węgier, pracując skutecznie nad nawróceniem tamtejszych Rusinów. Zapatrywał Siecińskiego nie podzielał wcale Herburt. Gorliwy katolik, jest on przez cały ciąg życia swego wiernym synem kościoła, ale zarazem obrońcą wolności sumienia w najobszerniejszym tego słowa pojęciu. Przeciw żydom występuje wprawdzie ostro, w obszernym memoriale dowodzi, że praw żadnych w Rzpltej nie mają, z wyjątkiem prowincyi wielkopolskiej, gdzie obowiązuje przywilej Bolesława Pobożnego, czyni to jednak nie w celu prześladowania religijnego, lecz z pobudek czysto ekonomicznych ²⁾.

Na unię zapatruje się inaczej, nie odrzuca jęj wprawdzie, ale pragnie wolność wyznania zapewnić „ludziom religii greckiej.“ W tym samym duchu przemawiają także rokoszanie pod Lublinem a charakterystyczną jest rzeczą w każdym razie, że Michał Kopystyński, wzmiankowany wyżej episkop przemyski, ucieka się listownie pod opiekę lubelskiego zjazdu ³⁾, i odnosi tę korzyść przynajmniej, że w grawaminach rokoszańskich niepominięto sprawy obrządku wschodniego. Z takiego stanowiska traktując sprawy wyznaniowe, mógł Herburt i być rzeczywście niemałą przeszkodą dla gorliwych Siecińskiego zabiegów, a jakkolwiek sam ufundował monastyr w Dobromilu dla Bazylianów w r. 1615, do czego jak utrzymywał, miał obowiązek będąc rusinem, to z Krupeckim w nienajlepszych zostawał stosunkach. Wiedział o tém Sieciński i gdy mu się dostały w ręce owe kartki odpustowe, a równocześnie wypadła podróż do Warszawy, nie miał zapewne nic pilniejszego jak przedstawić królowi i sferom rządowym szkodliwe działanie dobromilskiej drukarni. Poparło go w tym względzie niewątpliwie, urażone na Herburtą za publikacje historyczne, możnowładztwo i to wszystko razem wystarczało, aby u króla wyjednać zakaz drukowania książek w Dobromilu a nawet rozpowszechniania już drukowanych ⁴⁾. Obok zakazu doręczono zarazem Herburtowi pozew na sejm przysły, gdzie się miał usprawiedliwić, dlaczego bez przywileju królewskiego drukarnią w Dobromilu założył i książki wydawać się ośmielił; pozew dotyczył także Jana Szeligi.

¹⁾ Pawłowski, *Pracmisia sacra etc. Cracoviae 1869 p. 363—374.*

²⁾ Memoriał wystosowany do bisk. Szyszkowskiego w r. 1601 znajduje się w *Tek. Nar.* pod r. 1601, t. II, nr. 1.

³⁾ List Kopystyńskiego w *Dodatk. do pism. u Muciejow. p. 223.*

⁴⁾ Akt ten wydrukował Bielowski w *przedm. do Monumentów II, XIII.*

Nie stawił się jednak pozwany, pomimo, że sławetny Paweł Oszyło z Sierakosiec w obec dwóch świadków: Ludwika Strykowskiego i Wawrzyńca Kamińskiego na zamku Dobromilskim, akt instygatora królewskiego Herburtowi do własnych rąk oddał i cytacją odczytał, stosownie do wymagań prawa ziemskiego, nie stawił się zaś dlatego, bo nagły wyrok boski przed wyższy sąd go powołał. Umarł w r. 1616.

Tak zeszedł ze świata człowiek godzien lepszego losu i lepszej u potomnych pamięci. Natura burzliwa, acz wyposażona wielkimi zdolnościami, uczyniła z Herburtu igraszkę losu i własnych namiętności. Niepraktyczny w życiu codziennym, był on stworzony na uczonego, a nie na męża stanu, lub wojownika. Pod okiem doświadczonego kanclerza, który umiał hamować niewczesny zapał młodego ideologa i do praktycznych skierować go celów, byłby się Herburt zapewne oddał swemu powołaniu i uzyskał sławę, która była najgłówniejszym celem jego burzliwego życia. Że mógł i umiał być pożytecznym dla kraju, świadczą poselstwa jego do Pragi i do Konstantynopola. Ale śmierć Zamoyskiego, jak zamieszkała sprawy publiczne wojną domową, tak i dla Herburtu okazała się w skutkach swoich zgubną. Pozbawiony punktu oparcia, a sam zamłody i zamało doświadczony, aby być przywódcą stronnictwa politycznego, szukał Szczęsny instynktowo sztandaru, pod którym mógłby dalej pracować i walczyć. Że się zwrócił do króla i jemu ofiarował swoje usługi, to rzecz bardzo możliwa; ale że Zygmunt III odepchnął go, to jeden dowód więcej, jak był krótkowidzącym w polityce i jak mało znał charaktery ludzkie. Dla króla i dla całej kamaryli dworskiej wystarczało, że Herburt był przyjacielem Zamoyskiego, aby go zniechęcić i odepchnąć, bez względu na jego zdolności i wpływy u szlachty, które znano dobrze, z których kuto zarzuty przeciw uwięzionemu. Odtrącony od króla, obrażony jego niesprawiedliwością w sprawie o starostwo przemyskie, Herburt przeszedł na stronę opozycji, a jeżeli go z téj przyczyny spotkał zarzut prywaty, to dziwnie brzmi on w ustach tych, którzy w całym postępowaniu swoim prywatą się kierowali. Szczęsny nie mógł się przypatrywać obojętnie walce rokoszów z królem, tak jak umysł jego wrażliwy i do czynu skłonny nie mógł się zadowolnić cichą pracą ziemiańską, poprzestać na pługu i roli, jak tylu innych czyniło. Wzory klasyczne, przykład przodków i powołanie stanowi szlacheckiemu właściwe, popychały go do udziału w życiu publicznym. „Bezeczni Neutralistowie” byli mu zarówno wstrętni, jak i kortezanie; dlatego kazał ich odmalować w owéj sali dobromilskiej z jaszczurkami w ustach, dlatego edycją Orzechowskiego i „Ksiąg Kmicieńskich” zakończył przytoczeniem ustawy Solona, która skazywała na wygnanie obywatela, co podczas wojny domowej neutralnie się zachowywał ¹⁾). Neutralnym więc pozostać nie mógł, do czynu się rwał, a gdy go król odtrącił, szedł na rokosz,

¹⁾ Porów. przemowę do czytelnika, na ostatniej kartce dobromilskiego wydania umieszczoną.

gdzie widział zasady republikańskie i dawnych kanclerza przyjaciół. Wołała go tam i ambicya własna. Wobec tylu mierności, wyniesionych łaską protekcyi i kaprysem losu na najwyższe w Rzpltej dygnitarstwa; wobec fałszywych trybunów, polujących na popularność w kołach rokoszowych, Herbut, przewyższający wielu z pomiędzy nich zdolnościami, a bodaj czy nie wszystkich erudycją, mógł się spodziewać, że w ogólnem zamieszaniu na wierzech wypłyynie, że chaotyczne żywioły opanuje i nawę Rzpltej do bezpiecznej zaprowadzi przystani. Myśl ta schlebiała jego dumie i jego uczuciu patryotycznemu. Nie-szczęściem było, że przychodził zapóźno, że rzucał się w wir najgorętszej walki pod wrażeniem świeżej krzywdy, w chwili, gdy w przeciwnym obozie tryumfowali jego osobiści nieprzyjaciele, Stadniccy. Straciwszy raz równowagę umysłu, nie mógł jęj odzyskać w kole rokoszowém, gdzie najrozmaitsze wrzały namiętności, nie mógł się kierować rozumem, gdy pozwolił wziąć przewagę uczuciu, nie mógł gasić ognia w drugich, gdy sam się palił gorączką zemsty i żądzą sławy. Wyniknęły ztąd nieuchronne błędy, które złość stronnicza i uprzedzenie umiało na zgubę Herburta wyzyskać.

Złamany na duchu, majątkowo zniszczony, zatrzymał się jednak nad brzegiem przepaści, do której go wiodły własne namiętności, podszepty przyjaciół, zawiść przeciwników i niewytłómaczona losów fatalność; zatrzymał się, jak na potomka Herbutów przystało, po to, aby służyć sprawie publicznej piórem i nauką, kiedy nie mógł radą i orężem.

Dziś, po szczegółowém i o ile możności bezstronném rozpatrzeniu spraw jego życia, przychodzimy do przekonania, że jak sąd współczesnych o Szczęsnym Herburcie był stronniczym, tak i potomność zgrzeszyła niemniej, przyjmując go w całej osnowie. Nie była to postać idealna, o klasycznym nastroju, ale materyał na pożytecznego obywatela. Zmarnowano go niepotrzebnie i niebacznie, jak tyle innych darów Opatrzności, a gdy w poczuciu wewnętrznej wartości swojej zaprotestował głośno przeciw temu ostracyzmowi, okrzyknięto go warchołem i prześladowano bez miłosierdzia za życia i po śmierci. Jego rzekomy przyjaciel, ksiązę Jerzy Zbaraski, śmiał twierdzić w roku 1621, że Herbut przypisał dlatego wydanie dobromiłskie Długosza Rzpltej weneckiej, aby od senatu weneckiego jakąś nagrodę otrzymać: ale że posłał do Wenecyi człowieka nieudolnego, więc nic nie odniósł, oprócz słownego podziękowania. Urosła z tego później bajka, którą powtórzył Naruszewicz, a za nim Bandtke, że Herbut nie otrzymałszy spodziewanego zasiłku z Wenecyi, zaprzestał dalszego wydawnictwa Długosza, chociaż zamierzył trzy tomy ogłosić. Niegodna insynuacya Zbaraskiego, który ostrym językiem swoim nie mało dokuczył współczesnym, a w życiu politycznym znany jest ze swego warcholstwa, już dlatego wydaje się nieprawdopodobną, gdy Herbut wszędzie i zawsze występuje jako wielbiciel Rzpltej weneckiej, gdy pragnie własną ojczyznę zreformować na wzór Wenecyi, a w dedykacyach nie

szuka zysku, lecz idzie za popędem serca i przekonani politycznych. Wydanie Orzechowskiego poświęca Zygmunтови Grudzińskiemu, wojewodzie rawskiemu, który brał udział żywy w rokosz; Kadłubka Kronikę przypisał Hieronimowi Ossolińskiemu, opatowi pokrzywnickiemu, bo był przyjacielem nauk i słynął z pojednawczego usposobienia: Długosza nareszcie ofiarował Wenecyanom, bo uważał ich państwo za ideał doskonałości, do którego Polska dążyć powinna. Może to była zasada mylna, ale w każdym razie uczciwie pomyślana i jako taka, nie zasługiwała na podstępne tłómaczenie, jakie jej dawali ci, co wobec społeczeństwa i władzy więcej zawinili niż Herburt, lecz umieli osłaniać się zręcznie płaszczem lojalności, gdy chodziło o zdobycie starostwa, lub uzyskanie dygnitarstwa.

Śmierć Jana Szczęsnego Herburta, a jeszcze bardziej życie jego burzliwe, pociągnęło za sobą nagły upadek możnej niegdyś rodziny. Dzieci zostawił wprawdzie Szczęsny troje: syna, Jana Lwa, i dwie córki. Ale o synu głucho w historyi lat następnych, o jednej z córek, Katarzynie, doczytaliśmy się tylko tyle w aktach parafii dobromilskiej ¹⁾, że w młodym bardzo wieku będąc, kilkakrotnie trzymała do chrztu dzieci mieszczan dobromilskich. Żona Szczęsnego, znana nam Elżbieta ks. Zasławska, wyszła już w rok po śmierci męża, jak wspomnieliśmy, za Maksymiliana Przerębskiego, kasztelana zawichojskiego, co się da wytłómaczyć poczęści ruiną majątkową, która zagrażała rodzinie Szczęsnego. Jan Lew bowiem zrzekł się w r. 1622 całej puścizny po ojcu na rzecz jego wierzycieli. W drugiej połowie XVII w. wygasła i rodzina Herburtów i włość dobromilska przeszła w posiadanie Krasińskich. Dziś na świadectwo minioniej wielkości pozostały na szczycie góry, wznoszącej się ku południowi od miasteczka Dobromila, zwaliska pysznego niegdyś zamku Herburtów. Wkoło otacza je głuchy bór, nad bramą widnieje jeszcze herb, wykuty niezgrabnie w piaskowcu, z zatartym, nieczytelnym już napisem; to starożytna i głośna niegdyś „pawęza” Herburtów, to niemy świadek ich wielkiej przeszłości. Kościół zniszczony powodzią, żadnych niema pamiątek, oprócz portretu malowanego na blasze. Portret niewielki przedstawia mężczyznę w średnim wieku, z czarnym dużym wąsem, ubranego w kontusz; zdjęto go z trumny, w podziemiach kościoła spoczywającej, która ma zawierać popioły któregoś z Herburtów. Nieco więcej pamiątek po Szczęsnym znaleźliśmy w monasterze bazyliańskim. Ufundował go Szczęsny, wraz z żoną swoją, Elżbietą, i uposażył dość hojnie, bez względu na zupełny upadek fortuny, nadszarpanej rokoshem i wydawnictwami. U stóp góry zamkowej, od strony północno-zachodniej, w zacisznym otoczeniu leśnym, wśród lip odwiecznych, wznosi się ta fundacya Szczęsnego, przytulona bojaźliwie do gór okolicznych, waro-

¹⁾ Akta parafialne utrzymuje w wzorowym porządku pleban miejscowy, ks. Leon Kuntkiewicz, którego uprzejmości zawdzięczamy wskazówki, jakie na miejscu powziąć mogliśmy. Metryki sięgają do r. 1611.

wna samém położeniu. Wskutek przebudowywania gmachu klasztor-
nego, nie mogliśmy zwiedzić biblioteki, w refektarzu tylko znaleźliśmy
portret Szczęsnego, w klęczącej postawie, z rękami złożonemi do mo-
dlitwy. Przybrany w czarną długą suknię i takąż czapkę na głowie,
z twarzą zwróconą ku patrzącemu, ma on wyraz pogodny i zadowolo-
ny; snąc był takim, podpisując akt fundacyjny i wydając publikacje
dobromilskie, najtrwalsze pomniki swojego żywota. Cerkiew, nieda-
wno odnowiona, nie posiada żadnych zabytków starożytnych, oprócz
dwóch obrazków włoskiego pędzla, pochodzących, jak się zdaje, z ka-
plicy zamkowej. Jeden przedstawia komunię św. Onufrego, drugi
Chrystusa nauczającego w łodzi: oba malowane na drzewie. Niestety,
barbarzyńska ręka uszkodziła jeden z nich, przybijając gwoździami
nad głowę Chrystusa blaszaną mitrę, jako znak najwyższej władzy
w Kościele! Zresztą żadnego śladu możnych panów dobromilskich, za-
dnej pamiątki ich pobytu na tej ziemi. Głucha, ponura cisza zalega
lasy, otaczające zwaliska zamku i kryjący się w dole monastyr, a cmen-
tarz, położony u stóp góry, tuż przy drodze do miasteczka, zda się od-
graniczać na wieki świat zmarłych od gwarów ludzkich i ludzkiej cie-
kawości.

RAFAEL SANTI,

Jego epoka, działalność i znaczenie w rozwoju
malarstwa *).

PRZEZ

Karola Matuszewskiego.

Życzeniu Juliusza II, który pragnął uczynić Rzym głównym ogniskiem ruchu umysłowego i artystycznego Italii i tym sposobem zapewnić swęj stolicy to świetne, górujące stanowisko, jakie dotąd jedna zajmowała Florencya, stawało się zadość, przynajmniej w zakresie sztuki. Bramante budował już od lat kilku bazylikę ś. Piotra, w której papież chciał mieć imponującą, wymiarami i bogactwem, godną głowy Kościoła katedrę; Michał Anioł pracował nad freskami Sykstyńskiej kaplicy, które stać się miały podziwem współczesnych i następnych pokoleń; Rafael malował stanze watykańskie. A każdy z tych trzech najwybitniejszych mistrzów ówczesnych gromadził dokoła siebie mnóstwo innych artystów, których współpracownictwa potrzebował. Sława arcydzieł Michała Anioła i Rafaela, rozchodziła się szybko po Włoszech, ściągając do Rzymu wszystkie wybitniejsze na polu sztuki indywidualności; w wiecznym mieście zawrzało istotnie niebywałe przedtęm życie artystyczne, dwór papieżki wraz z całym swęm otoczeniem oddychał atmosferą sztuki.

Nowy cykl fresków Rafaela w sali zwanęj dziś stanza d'Elidore, zajął mu trzy następne lata pracy (1511—1514). Wojowniczy i ambitny Juliusz II pragnął, aby mistrz uplastycznił w nich tryumf Kościoła, czerpiącego w cudownęj niebios opiece swą duchowną i świecką potęgę. Skrępowanie go takim charakterem kompozycyi a nawet prawdopodobne podsunięcie mu ich treści, wystawiało na ogniową próbę

*) Dokończenie—patrz zeszyt za czerwiec r. b.

jego dar inwencji. Trzeba było zaiste być Rafaelem, żeby pokonać zwycięzko trudności, jakie wysnuwały się z potrzeby pogodzenia treści nie zawsze obrazowej, niezawsze nawet nadającej się do jasnego wyrażenia w formach plastycznych, z estetycznymi wymaganiami wielkich, pomnikowych kompozycji. Pierwszy fresk, od którego sala otrzymała swą nazwę, wyobraża cudowne wypędzenie z świątyni Jerozolimskiej Heliodora, któremu król Seleukus Filopator kazał zrabować jej skarby, przez zastęp jeźdźców niebieskich, według podania zapisanego w rozdz. 3, II księgi Machab. Miała to być aluzya do politycznych wrogów Stolicy apostołskiej, od których z pomocą Bożą szczęśliwie oswobodzić się zdołała. Na drugiej ścianie, ponad oknem, zajęła miejsce Msza w Bolsenie. Jestto przedstawienie średniowiecznej legendy o cudowném zdarzeniu w Bolsenie roku 1263, kiedy pewien kapłan powątpiewający o prawdzie nauki Kościoła co do transsubstancji, ujrzał podczas odprawiania mszy świętej hostyę krwią ociekającą. Malowidło to miało zawierać naukę dla niedowiarków, których ówczesne ruchy reformacyjne mnożyły.

Trzecią ścianę, naprzeciwko Heliodora, zajął wspnianały fresk uplastyczniający podanie o cudowném ocaleniu Rzymu od Attyli w roku 452. Straszny ten wódz barbarzyńskich Hunnów, stał już pod murami miasta, które złupić i zburzyć postanowił, gdy nagle, jak legenda niesie, ukazali się mu w obłokach, otoczeni zorzą olśniewającego światła, śś. apostołowie Piotr i Paweł. Widzenie to miało go tak przerazić, że odstąpił od Rzymu, żadnej nie wyrządziwszy mu krzywdy. Poczynając od lewej strony, fresk przedstawia konny orszak papieża Leona Wielkiego, otoczonego kardynałami, który wyruszył na spotkanie Hunnów, by od nich ocalenie miasta wyjednać; dalszą część, ku prawej stronie, zajmują dzikich wojowników zastępy, a w górze, na niebie, wspomnane już wyżej zjawisko, dla jednego tylko Attyli widzialne. Wyborną kopię olejną tego fresku, pędzla Ksawerego Kaniewskiego, można było widzieć na wystawie urządzonej w salonie Ungra. I to malowidło było tendencyjne: miało bowiem w tój przenośni przedstawiać tryumf Leona X nad Francuzami, którzy po zadanej im klęsce pod Novarą 1513 roku, z Włoch wyparci zostali. Treścią czwartą kompozycji jest cudowne uwolnienie z więzienia ś. Piotra, przedstawione w trzech osobnych obrazach. Oprócz tego, cztery malowidła mniejsze na sklepieniu, do których treści dostarczyły dzieje Starego Testamentu, przedstawiają: Boga ukazującego się Mojżeszowi w krzaku gorejącym, Abrahama przynoszącego w ofierze Izaaka, Objawienie się Boga Noemu i Sen Jakóba.

Tylko dwa pierwsze freski w sali d'Elidore wykonane zostały za życia Juliusza II, który w roku 1513 zamknął powieki. Wybór jego następcy, kardynała Jana Medyceusza, który zasiadł na Stolicy apostołskiej pod imieniem Leona X, nie spowodził przerwy w pracach Rafaela. Nowy papież, wielki miłośnik sztuki, ceniący wysoko jego geniusz, zatrzymał go przy sobie, powierzając dalsze roboty nad

upięksheniem Watykanu i obsypując go łaskami. Wysokiemu swemu protektorowi wywdzięczał się Rafael tak samo jak Juliuszowi II: to jest unieśmiertelniał go w swych malowidłach. Leon W. w Widzeniu Attyli ma rysy Leona X. W freskach sali d'Elidore geniusz Rafaela w inwencji nie dźwignął się już wprawdzie ponad Szkołę Ateńską, którą pod tym, jak i wielu innemi względami, można uważać za kulminacyjny punkt jego artystycznej twórczości; ale w technice, w sposobie władania pędzlem, dochodził do coraz większej doskonałości; pod tym względem freski te są arcydziełami, szczególnież Msza w Bolonie. W Wypędzeniu Heliodora mistrz dowiódł, że gdy zachodzi tego potrzeba, potrafi zdobyć się na siłę i energią, nie tracąc przecieź nic z właściwego sobie uroczystego piękna linii. W postaci syryjskiego wodza powalonego na ziemię, w popłochu jego towarzyszyów, w nacierających na nich owych cudownych rycerzach, w grupach kobiet i dzieci na pierwszym planie, w zanoszącym modły w głębi u ołtarza arcykapłanie i t. d., Rafael nagromadził silne kontrasta, które przedziwnie w celach potężnego wrażenia wyzyskał; a pięknemi efektami światła, energią kolorytu i większą jego różnaitością tonów przewyższył swe freski w sali della Segnatura.

Rafael był niezaprzeczenie najlepszym kolorystą rzymskiej szkoły; wszakże nie w kolorytowych i światłocieniowych zaletach leży źródło potężnej ekspresyi jego fresków; i nie tam go téż szukać powinien ten, co pragnie nabrać jasnego o jego dziełach pojęcia. Subtelności światłocienia, wdzięki kolorytu, nie godziły się z naturą geniuszu Rafaela, i nie stanowiły istoty jego stylu. Widać to nawet w tylko co wspomnianym Heliodorze, mianowicie téż w grupach kobiet i dzieci, które prawdziwy kolorysta z większą niewątpliwie traktowałby delikatnością tonów. Głównym żywiołem kompozycyi Rafaelowskich jest zawsze rysunek—dzielny, śmiały a nigdy nie rozmiijający się z czystością i pięknością konturów.

Coraz więcéj ceniony i sławiony, Rafael, mimo zdumiewająćej łatwości tworzenia i wysiłków pilności, nie był w stanie sam podołać ogromowi pracy, którą był zarzucony. Oprócz bowiem robót w Watykanie dla Leona X, które same już całą działalność jego pochłonać mogły, naciskano go i z innych stron. Każda wybitniejsza osobistość ówczesnego Rzymu, każdy, komu środki na to pozwalały, a stosunki z dworem przystęp do genialnego młodzieńca ułatwiały, rad był poszczycić się posiadaniem jego własnoręcznego obrazu. Żeby choć w części uczynić zadość żądaniom, Rafael zniewolonym był do pracy pośpiesznej, więc powierzchowniejszój, a nawet do coraz częstszego wyręczania się swymi uczniami, co naturalnie na jego dziełach niekorzystnie odbić się musiało; tém bardziej, że to współpracownictwo uczniów i pomocników, zrazu ograniczone do roli podrzędnej, z czasem większego nabrało znaczenia. Już w Attyli można dopatrzeć większego ich udziału; następne atoli freski zupełnie już przez nich były malowane; sam Rafael zaledwie miał dość czasu żeby do nich rysunki wygotować.

Stanza dell' Incendio posiada freski właśnie w podobny sposób, zbiorowemi wykonane siłami: mistrz przygotowywał tylko kartony, uczniowie je przenosili na ściany i malowali. Sam tylko fresk przedstawiający Pożar Borgo (z wyjątkiem kilku figur z lewej strony, które są pędzla Giulio Romano), jest własnoręcznym dziełem Rafaela. Inne freski w téjże stanzynie wykonali według jego kartonów uczniowie: Przyseggę Leona III Karolowi Wielkiemu malował Perin del Vaga, Pogrom Saracenów za Leona IV w porcie Ostia, wykonał Giovanni da Udine, Koronacją Karola Wielkiego w Rzymie na cesarza, także któryś z jego uczniów. Wykonanie tych fresków przypada na rok 1517. W sali téj na sklepieniu znajdują się freski Perugina: dość na nie spojrzeć, żeby zrozumieć jak daleko odbiegł genialny uczeń od swego nauczyciela.

Wielu z piszących o Rafaelu, dopatrują się w jego stanzach wpływu Michała Anioła, który jednocześnie z nim, z polecenia Juliusza II pracował nad freskami sklepienia Sykstyńskiej kaplicy (1508—1512), i stworzył arcydzieło nieporównane pod względem wzniosłości pomysłów, wyrazowej siły i majestatyczności. Opowiadają, że młody Rafael zakradał się do kaplicy podczas nieobecności Michała Anioła, śledził bacznie postępy jego dzieła, i pod silnym jego wrażeniem tworzył własne kompozycje, usiłując zbliżyć się do wielkiego wzoru. Naturalnie, zaprzeczyć się nie da, żeby potężna, oryginalna indywidualność florenckiego mistrza, porywająca wszystkie umysły, nie miała silnie oddziaływać i na Rafaela. Mógł on od niego nie jedno przejąć, nie jednego się od niego nauczyć; przecież o takim naśladowaniu, jak się je zwykle pojmować zwykło, nie może tu być na seryo mowy. Młody mistrz z Urbino, obdarzony w najwyższym stopniu poczuciem estetycznej miary, już dlatego samego nie był skłonny pójść torem Michała Anioła, że ten głównie wielkość idei mając na względzie, z formami obchodził się despotycznie, gardził wszelką miarą i niejednokrotnie ją przekraczał. Obaj oni wzajem oddziaływać na się mogli do pewnego stopnia i oddziaływać nawet musieli; ale tém niemniej każdy z nich zachował swoją indywidualność, każdy po swojemu jest wielkim. A jak niepodobna porównywać ich z sobą, tak téż nie może być mowy o tém, żeby jeden mógł się stać naśladowcą drugiego. Czy wykonany przez Rafaela w roku 1512 na jednym z filarów kościoła S. Agostino w Rzymie al fresco prorok Izajasz był istotnie naśladowaniem postaci sykstyńskich fresków—jak to powszechnie utrzymują—trudno coś stanowczego w téj mierze powiedzieć; fresk ten bowiem, przemalowany przez Daniela da Volterra, nie zachował się w swym pierwotnym stanie. W freskach stanz: della Segnatura i d'Elidore, nie ma nic zgoła, coby styl Michała Anioła przypominało. Jeśli w Wypędzeniu Heliodora Rafael zdobył się na większą siłę ekspresji, uczynił to przecież sobie tylko właściwemi środkami, bynajmniej nie w sposób w kompozycjach Michała Anioła praktykowany.

To samo powiedzieć można i o Pożarze Borgo. Fresk ten uplastycznia właściwie podanie o Leonie III, który błogostawieństwem swém zażegnał cudownie pożar trawiący przedmieście Rzymu, co miało mieć miejsce w roku 857. Trzeba przyznać że temat to wcale nie obrazowy: jakże tu bowiem pędzlem ów cud wyrazić? Ale Rafael z właściwem sobie estetycznym poczuciem sprowadził rzecz do właściwej formy. Papieża przedstawił w głębi obrazu, ukazującego się w loggii dawnego kościoła ś. Piotra, usuwając go tym sposobem na plan ostatni, traktowany w skutek znacznego oddalenia w skali bardzo zdrobniałej. Zaś na planie pierwszym, wśród ogarniętych płomieniami kolumn i murów, rozwinął główną akcję obrazu: widzisz tu ludzi spuszczających się z murów i uchodzących z trwogą przed ogniem, innych biegnących z wodą na ratunek, zrozpaczone kobiety tulące do łona swe dzieci i t. d.; a cały ten groźny dramat rozwija się w grupach pełnych nieopisanego ruchu, tak że w obec tego porywającego prawdą, tchnącego życiem obrazu, ściągającego na się całą uwagę, widz zapomina o urzędowej, że tak powiem, stronie tej kompozycji. A chociaż jest ona niewątpliwie mniej starannie wykonana: z pomiędzy wymienionych dotąd fresków posiada istotnie najwięcej dramatycznego żywiołu, postacie jej mają więcej ruchu, kreślone są energiczniej—całość odznacza się większą wyrazową siłą. Wszystko to jednak wynika już z samej natury przedmiotu, któremu Rafael nadając właściwą formę, nie mógł przecie traktować go w tonie pełnym spokojnej godności, jak np. Dysputę lub Szkołę Ateńską. Właśnie owo głębokie poczucie stosowności formy, która w kompozycjach Rafaela zawsze najdoskonalej odpowiada treści, stając się jakby jej naturalnym wyrazem—jest jedną z głównych i najcenniejszych cech jego geniuszu. Dlatego też i kompozycje przygotowane przezeń tylko w formie kartonów, a malowane pod jego okiem przez uczniów, jak trzy pozostałe freski stanzы del Incendio, mimo mniej doskonałego wykonania, noszą to znamię jego stylu.

Zaliczane również do dzieł Rafaela freski sali di Constantino, były wykonane dopiero w kilkanaście lat po jego śmierci, za papieża Klemensa VII (stryjecznego brata Leona X). Malował je Giulio Romano przy pomocy Franciszka Penni i Rafaela del Colle. Sam mistrz zostawił tylko karton bitwy Konstantyna z Maxencyuszem przy pons Milwius (roku 312), według którego wykonał ją na ścianie Giulio Romano, i rysunek Konstantyna przemawiającego do wojska po ukazaniu się mu krzyża, malowany al fresco przez tegoż artystę. Czy pozostałe dwa freski w téjże sali: Chrzest Konstantyna, malowany przez Franciszka Penni, i Nadanie przez Konstantyna swobód Kościołowi, pędzla Rafaela del Colle, wykonane zostały podobnie według rysunków pozostawionych przez Rafaela? na pewno nie wiadomo. Bardzo być może, że już sam Giulio Romano wygotował do nich kartony. Pomimo mętnego, posępnego kolorytu, cechującego pędzel tego malarza, Bitwa Konstantyna dziką swoją grozą, malującą dosadnie okropności wojny, pełna postaci skreślonych

z niesłychaną energią i wyrazową siłą, zajmuje, rzecz można, wyjątkowe w szeregu dzieł Rafaela miejsce. Dla tych przymiotów niektórzy autorowie nie wahali się jęj uznać za najdoskonalszy jego utwór pod względem rysunkowych zalet. Jestto przecież zdanie nieuzasadnione. Rafael, jak to już nadmienilem, nie nagiął nigdy przedmiotu do jakiejś konwencyonalnej formy, lecz przeciwnie, tę ostatnią z jego natury wysnuwał. Ztąd w jego dziełach taka rozmaitość w sposobie traktowania różnych przedmiotów, ztąd bywa on tak często niepodobnym do samego siebie. Owe postacie dzikich, rozgrzanych bojem wojowników w Bitwie Konstantyna, są niewątpliwie znakomite w swoim rodzaju; ale przyznawać jęj z tego powodu wyższość nad taką np. Szkołą Ateńską, czarującą spokojną a harmonijną pięknnością konturów, byłoby to estetycznym paradoksem.

Do watykańskich fresków mistrza należą jeszcze tak zwane Łoże Rafaela. Są to kilkopiętrowe galerie otaczające z trzech stron podwórze ś. Damazego. Nazwa „Łóż Rafaela” stosuje się właściwie do galerii drugiego piętra, ozdobionych jego malowidłami. Na trzynastu sklepieniach mieszczą się tu 52 obrazy malowane al fresco, będące ilustracją dziejów Starego i Nowego Testamentu; ztąd zowią je téż Biblią Rafaela. Według rysunków mistrza wykonali je jego uczniowie: Giulio Romano, Giovanni da Udine, Francesco Penni, Perin del Vaga, Polidoro da Carravaggio i inni. Można nawet wątpić czy Rafael własnoręcznie wszystkie rysował: czy go w téj pracy czasem G. Romano nie wyręczał. W każdym razie malowidła te, mimo bogactwa układu, nie dorównują stanzom: nie posiadają téj co one szlachetności stylu. Grzeszą niekiedy przeładownością i w ogóle czuć w nich współpracownictwo uczniów wyraźniej może, niż w innych dziełach Rafaela. Nieprzebrane w swęj rozmaitości, a pełne przytęm lekkiej, wdzięcznej fantazyi ornamenta, pokrywające łuki i filary, malował Giovanni da Udine, który w nich spożytkować miał motywy ornamentów odkrytych w Łaźniach Tytusa.

Freski watykańskie są już same dziełem tak olbrzymiém, że wystarczyłyby do zapewnienia Rafaelowi jego wyniosłego w dziejach sztuki stanowiska. Wszakże nie kończy się na nich jego artystyczna działalność. Wezwany w roku 1514 przez rzymskiego bogacza i bankiera Augustyna Chigi do przyozdobienia malowidłem nowęj willi, zbudowanęj dla niego za Tybrem przez Baldassara Peruzzi, wykonał na ścianach loggii od strony ogrodu al fresco Tryumf Galatei, a w kaplicy fundowanęj przez tegoż magnata przy kościele Santa Maria della Pace cztery sybille otoczone aniołkami. W kilka zaś lat późnięj, zjednany ponownie przez niego i sprowadzony do wspominanęj już willi, gdzie go hojny mecenas i przyjaciel największym otoczył wykwintem, zabrał się do nowych fresków (1518—1520), zdobiących otwarty wówczas przysionek, dziś, w skutek opatrzenia go oknami dla zabezpieczenia malowideł od atmosferycznych wpływów, zamieniony na salę. Willa, przeszedłszy późnięj na własność rodziny Farnese, nosi dziś nazwę

Farnezyzny. Na sklepieniach, łukach i ścianach mistrz wykonał tu cały szereg scen, uplastyczniających uroczą baśń mitologiczną o Amorze i Psyche, według treści zaczerpniętej z dzieła Apulejusa. W freskach tych, malowanych podług własnoręcznych rysunków Rafaela przez jego uczniów (Giulio Romano i Francesco Penni) rozwinął rzecz w stylu odpowiadającym przewybornie mitologicznej treści. W układzie figur panuje tu prawdziwie antykowa miara, jasność i prostota; postacie kreślone są z porywającym wdziękiem.

Freski farnezyjskie przekonywają najdowodniej jak wiele Rafael korzystał ze starożytnych marmurów. Z dzieł klasycznego dłuta szczególniejszy studyować musiał starożytne płaskorzeźby rzymskie: piękność proporcji figur, szlachetność ruchu, sposób ich grupowania i drapowania — przypominają bardzo żywo płaskorzeźby łuków tryumfalnych Tytusa i Konstantyna, jakoteż kolumny Trajana. Geniusz Rafaela odsłania się nam tu, rzecz można, z nowej zupełnie strony: freski farnezyjskie możnaby uważać za ostatni wyraz tego kierunku, z którym się już w „Parnasie” zapoznaliśmy. Daleko jednak ztąd do wniosku, żeby one w rozwoju stylu Rafaela nowy inaugurowały kierunek, nowy zapowiadały zwrot, którego urzeczywistnieniu śmierć tylko stanęła na przeszkodzie. Widzieć w tém raczej trzeba podnoszony już kilkakrotnie w niniejszym artykule dar utrzymania silnej wewnętrznej spójni między treścią a formą: owę przedziwną łatwość z jaką mistrz ogarniał przedmiot, przejmował się nim, wnikał w głąb jego istoty, i stawszy się jego panem, traktował z całą swobodą, w najodpowiedniejszej odwarzając go formie.

Watykańskie i farnezyjskie freski Rafaela, stanowią bezspornie najświetniejszą kartę w dziejach sztuki nowożytnej. Żeby należycie je dziś odczuć i ocenić, trzeba się przenieść myślą w epokę wielkiego mistrza, uprzytomnić sobie warunki, w jakich tworzył, atmosferę świecką, którą oddychał ówczesny dwór rzymski, jego aspiracje i dążenia, słowem: pochwyć tętno ówczesnego umysłowego i politycznego życia. Wszystko to bowiem odbiło się mniej lub więcej wyraźnie w tych kompozycjach, do których, jak się domyślać trzeba, sam Pontifex Maximus treść mistrzowi podawał. Zrozumiałym stanie się wówczas dla nas charakter niejednej z nich, raz uroczysto-dogmatyczny, to znowu tendencyjno-legendowy lub historyczny, to wreszcie ostentacyjno-ceremonialny, a nierazdko, jak widzieliśmy, zaprawny przez mistrza prawdziwie dworackim pochlebstwem dla swych wysokich protektorów. Miłośnik sztuki podziwiać w nich musi zarówno stronę wewnętrzną, owe mianowicie przebłytki rozległej wiedzy, które umysł jego w ciągłym utrzymują napięciu, jak zewnętrzną, wyrażającą się w mistrzostwie formy. W freski włożył on najwięcej pracy, najlepiej znał się z ich techniką, i trzeba przyznać, że ten rodzaj malarstwa najlepiej odpowiadał naturze jego geniuszu, był najstosowniejszym do uwydatnienia najgłówniejszych zalet jego stylu. Nawet jako kolorysta, rozwinął on w freskach, naturalnie malowanych własnoręcznie, wyższe

zalety pędzla, niż w obrazach olejnych. Niestety, nieubłagany czas wyrzył na nich ślady swego niszczącego wpływu: nie zachowały się one do naszych czasów w swój pierwotnej świetności; jeszcze kilka pokoleń, kilka wieków, a może staną się już tylko świetną artystyczną legendą, o której prawdzie świadczyć będą jedynie liczne kopie i miedzioryty, które dając o tych dziełach wyobrażenie, ocalały je przynajmniej od zupełnej zagłady.

Biografowie Rafaela podnoszą wysoko jego zasługi w innej jeszcze gałęzi sztuki: w architekturze. Artyści z epoki odrodzenia, to kategoria ludzi dziwnie bogato wyposażonych, o naturze tak bujnej, że w granicach jednej jakiegóż sztuki było im zaciasno, że naraz w kilku różnych jej gałęziach z równym powodzeniem sił swych doświadczali. Wiadomo, że Leonardo da Vinci był jednocześnie malarzem, rzeźbiarzem, muzykiem, architektem, inżynierem, mechanikiem i t. d., i chociaż cenimy go dziś głównie jako jednego z największych mistrzów w sztuce, zajmuje on i w dziejach umiejętności wcale zaszczytne miejsce. Buonarrotti był tak samo rzeźbiarzem, malarzem i architektem: genialnym zarówno w każdej z tych gałęzi sztuki. Być jednocześnie złotnikiem, rzeźbiarzem i malarzem, albo malarzem, rzeźbiarzem i budowniczym, było w owych czasach, które, rzecz można, wysiliły się na wydanie specjalnie artystycznych organizacyi—rzeczą dość powszechną. Nie dziwi nas też bynajmniej, że po śmierci znakomitego Bramantego (1514), Leon X powierzył ceniowemu i umiłowanemu przez się młodemu mistrzowi naczelną kierunek budowy św. Piotra. Wspierany w pierwszych latach w tej czynności przez Juliana da San Gallo i Fra Giocondo da Verona, pod koniec sam jeden ten ciężar dźwigał. Wiadomo też i o kilku innych budowlach, wykonanych według jego rysunków, lub pod jego kierunkiem. Zasługi Rafaela, jako architekta, mogły być rzetelne. Zamiast atoli je podnosić, możeby raczej ubolewać należało, że działalność tego mistrza, i tak już przeciążonego pracą, na inne, obce mu dotąd skierowano pole, na którym, bądź co bądź, nie mógł wynagrodzić szkody, jakie przez to jego prace malarskie poniosły. Właśnie od tej chwili, współpracownictwo jego uczniów i pomocników w dziełach malarskich coraz rozleglejsze przybiera rozmiary, z oczywistym dla nich uszczerbkiem. W dwa lata potem, Leon X mianował go jeszcze naczelnym zawiadowcą wykopalisk starego Rzymu. Rafael oddał się z zamiłowaniem tym obowiązkom, które resztę lat krótkiego jego życia przeważnie mu zajęły. Zapalał się namiętnie do każdego nowego skarbu sztuki starożytnej, dobytego z pod ziemi, sam nadawał kierunek robotom kopalnianym, wyznaczał dla nich miejsce, i każdy zabytek sztuki, przez kogobądź znaleziony, musiał mu być okazany; jego wystawcy po całych Włoszech odszukiwali dawniej sztuki zabytków i przerysowywali je dla niego; posyłał w tym celu swych uczniów nawet do Grecyi. Powziął zamiar odbudowania starożytnego Rzymu i przywrócenia go do tego stanu świetności, w jakim za cesarzów się znajdował. Było to przedsięwzięcie olbrzymie, wy-

magające niesłychanego nakładu pracy i pieniędzy. Ale Leon X sam zachęcał do tego mistrza, który podobno wygotował był już w części stosowne plany.

Przy takiej różnostronności i nawale zajęć, przechodzących siły jednego człowieka, chociażby tak genialnego, posiadającego taką łatwość tworzenia, jak Rafael, zaiste trudno pojąć, jak mógł znaleźć jeszcze czas na wygotowywanie specjalnych rysunków dla swego ucznia Marka Antoniusza Raimondi, który je rył na miedzi, na wykonanie wielkiej mnogości obrazów olejnych, na sławne kartony do kobierców i t. d. Jak widzimy, poza pomnikowymi pracami ał fresco, które nas dotąd głównie zajmowały, działalność mistrza obejmuje jeszcze bardzo rozległe zakresy, niemniej dla sztuki ważne, uwydatniające bowiem niejedyn rys jego geniuszu, który w wielkich malowidłach ściennych, posiadających z natury swój bardziej dekoracyjny charakter, nie zawszystkiem się jeszcze wypowiedział. Wypada nam tedy zabrać z kolei bliższą z temi utworami znajomość.

W pierwszym rzędzie podnieść tu muszę wykonane przezeń w latach 1515—1516 głośnie kartony do kobierców, zdobiących niegdyś dolne części ścian Sykstyńskiej kaplicy, które Leon X kazał wykonać w najpierwszych fabrykach w Brukselli. Tkane ze złota, jedwabiu i wełny, były to prawdziwe arcydzieła w swoim rodzaju. Robota każdego z nich kosztowała 17000 liwrów. Wygotowane przez Rafaela kartony, których było podobno jedenaście, po zrobieniu z nich fabrycznego użytku, poszły na poniewierkę i część ich zaginęła bez śladu. Wypadkowi tylko zawdzięczać należy ocalenie tych siedmiu, które Rubens odkupił we Flandryi od jakiegoś robotnika dla Karola I, króla angielskiego. Pocięte na kawałki dla dogodności fabrykantów, zostały umiejętnie złożone i przechowują się dziś w muzeum South-Kensington w Londynie, jako jedne z najszacowniejszych jego skarbów. Z nich tylko można sądzić o wysokiej artystycznej wartości tych, co zaginęły; same bowiem kobierce, przechowywane obecnie w zbiorach watykańskich, znajdują się w stanie najsmutniejszym i nie dają nawet wyobrażenia o tém, czém kiedyś były. Doświadczyły bo też bardzo smutnego losu. Zrabowane przez Frundsberga 1527 r., po zdobyciu Rzymu przez wojska konetabla Karola Bourbona, powróciły na swe miejsce dopiero za papieża Juliusza III r. 1553, w stanie bardzo już uszkodzonym i podobno nie wszystkie. W r. 1798 przywłaszczyli je sobie Francuzi i sprzedali jakiemuś żydowi z Genui, od którego odkupił je dopiero r. 1808 Pius VII. Nie dziw, że po takich przejściach, z świetnych kobierców pozostały tylko zszarżane, wyblakłe płachty—smutne świadectwo ciemnoty i wandalizmu wieków, roszczących sobie prawo do górowania nad innemi swoją cywilizacją.

Kobierce te przedstawiają epizody z dziejów Nowego Testamentu, przeważnie z dziejów apostołskich; oto treść tych, których autentyczność nie jest zaprzeczona: Ukaranie Ananiasza; Zmartwychwstały Chrystus, powiadający do św. Piotra: Paś-że owce moje; Rzeź niewinią-

tek, w trzech sztukach; Ukamienowanie św. Szczepana; Nawrócenie św. Pawła; św. Paweł i Barnabasz w Listrze; św. Paweł w Atenach; św. Paweł w więzieniu w Filipis; św. Piotr uzdrawiający chromego; Cudowny poków; Oślepienie czarnoksiężnika Elimasa. W Watykanie znajduje się więcej kobierców, jakoby według rysunków Rafaela wykonanych, na co przecie braknie stanowczych dowodów. Co do niektórych, wiadomo nawet, że kartony do nich wygotowane były na miejscu w Flandryi; czy według nadesłanych szkiców Rafaela?—niewiadomo. Jako kompozycje (mowa tu naturalnie o oryginalnych kartonach), są to prawdziwe arcydzieła, zarówno pod względem układu, jak dramatycznej ekspresji. Niektórzy pisarze nie wahają się przyznać im najwyższej wartości z pomiędzy wszystkich dzieł Rafaela, a nawet poczytują je za najszczytniejszy wyraz nowożytnej sztuki (Quatremère de Quincy). W zdaniu tém jest wiele przesady; ale bądź co bądź, wyraża się w niém szczerzy entuzjazm, wywołany wyrazową siłą, spotęgowaną w tych utworach istotnie do wysokiego stopnia. Wielka ich wartość wynika już z samej natury traktowanego przedmiotu; jakkolwiek bowiem Rafael jest w ogólności mistrzem w rysunku, zauważyć jednak należy, że postacie kobiet, dzieci, nie stanowią najmocniejszej jego strony; rysunek jego jest zaenergiczny, koloryt zaszorstki do oddania delikatniejszych odcieni plastycznego piękna; ale właśnie z tych samych powodów jest on znakomitym, wprost nieporównanym, gdy kreśli postacie Ojców Kościoła, proroków i apostołów. W tém też należy szukać źródła tego wysokiego uznania, jakie wspomniane kartony posyskały. W zastosowaniu gry ruchów, mimiki figur, pozostaną one nazawsze wzorem: sztuki téj nigdy żaden mistrz w tym, co on, nie posiadał stopniu. Słusznie też zauważono, że z jój pomocą, zwracając się bezpośrednio do uczucia i imaginacji widzów, daje im daleko więcej do zrozumienia, niż obraz w rzeczywistości wyraża. Umié on jednym gestem, jednym szczęśliwym ruchem uprzytomnić ostatek akcji minionej i początek mającej się dopiero spełnić. Jakaż to np. porywająca prawda w postaci oślepionego przez św. Pawła Elimasa! Motyw ruchu wzięt tu mistrz z natury, która jest i pozostać musi niewyczerpaną skarbnicą artystów; ale zobaczmy, jak ten naturalny motyw, ten ruch instynktowny został przez niego pochwycony i do wartości typu podniesiony! „A natychmiast padła nań ciemura i ciemność, a tułając się, szukał, ktoby go wodził za rękę” (Dzieje Apost., XIII, 11). Rafael pochwycił przedziwnie ten moment, dając nam niejako bezpośrednio odczuć nagłą a nieprzewartą moc apostoła. Widzimy czarnoksiężnika, wyciągającego ręce przed siebie i szukającego przewodnika, a ruch ten czyni on nie jako człowiek niewidomy od urodzenia, który się ze swym stanem miał czas oswoić i oddawna do ostrożności nawykł; lecz jako człowiek, który przed chwilą jeszcze widział jasność dzienną, a oto nagle, niespodzianie został ciemnością otoczony.

Muzeum Berlińskie posiada także kolekcję kobierców Rafaela, w ten sam sposób tkanych jak watykańskie, i wykonanych prawdopo-

dobnie jednocześnie i przez tych samych fabrykantów. Różnią się od nich jedynie sposobem obramienia. Inna kolekcya takichże kobierców, z sześciu tylko sztuk złożona, znajdująca się w galeryi drezdeńskiej, jest już innego, podobno angielskiego pochodzenia. Koloryt tych ostatnich jest piękny, ale do tkaniny nie wchodzi złoto, jak w kobiercach watykańskich i berlińskich. Pokazuje się z tego że w Anglii, dokąd się ocalone kartony dostały, umiano z nich w miejscowych fabrykach zrobić użytek. Tego samego téż niewątpliwie pochodzenia muszą być podobne kobierce, znajdujące się w Wiedniu, Mantui i innych miastach.

Z innych prac Rafaela zasługują na wspomnienie piękne mozaiki, wykonane przez Aloizego della Pace według jego kartonów w kaplicy kościoła S. Maria del Popolo, fundowanej pod wezwaniem N. Panny Loretańskiej przez wspomnionego już kilkakrotnie Augustyna Chigi i zbudowanej pod kierunkiem samego Rafaela. Przedstawiają one w ośmiu obrazach stworzenie ciał niebieskich: w latarni kopuły Boga Ojca otoczonego aniołami, a na jój sklepieniu upostaciowane wyobrażenia słońca, księżyca i pięciu planet: Merkurego, Wenery, Marsa, Jowisza i Saturna (w połowie figury), z atrybutami odpowiednich bóstw mitologicznych, znakami zodyaku, i w towarzystwie unoszących się nad niemi aniołów, jakby przewodniczących im w ich biegu pozornym naokoło ziemi. Nie będę zatrzymywał się dłużej nad niemi, gdyż nie odstawiają nam żadnej nowej strony stylu mistrza. Nie mogę jednak nie podzielić się w tém miejscu z czytelnikiem uwagą, jaką mi nastęrcza wzniosłe pojęta postać Stwórcy. Surowy wogólności dla Rafaela inienik jego Mengs, głośny malarz niemiecki i pisarz zeszłego wieku,—który na dzieła sztuki zwykł był zapatrywać się z nieco ciasnego stanowiska teoryi swego przyjaciela Winckelmannna, i w poglądach swych na piękno brał zawsze za punkt wyjścia ideał plastycznego piękna starożytnych greków,—zarzuca mu zbyt ludzki, powszedni, słowem nie dość doskonały, boski charakter jego świętych postaci. Zdanie to zaryczałowe. Rafael, jak już zauważyłem, nie zawsze bywa podobnym do samego siebie; może właśnie dla tego, że nie zawsze dobrze wiemy cośmy winni jemu, a co pomocnikom. Sąd Mengsa mógłby okazać się niebezpiecznym w tym lub owym poszczególnym przypadku; ale ogólnego znaczenia żadną miarą przyznać mu nie można. To téż gdy twierdzi, że Rafael malując postać Boga Ojca, którego sztuka zwykła konwencyonalnie w postaci sędziwego starca przedstawiać, nie umiał wyobrazić go inaczej jak z wszystkimi fizycznymi ułomościami zgrybiałego wieku,—dopuszcza się niesprawiedliwości. Dowodem właśnie postać Stworzyciela w tylko co wspomnianych mozaikach. Mengs albo się nie przyjrzał jój naleźycie, albo mu wyszedł z pamięci szczytny jój charakter: inaczej niebyłby wygłosił swego zdania.

Pozostaje nam jeszcze rozpatrzyć się w jego obrazach olejnych. Technika malarstwa olejnego ma pod wielu względami niezaprzeczoną nad techniką fresków wyższość; nie mówiąc już o większej łatwości przyswojenia jój sobie. Artysta malujący obraz olejny w wygodnej,

stosownie urządzonej pracowni, może mieć ciągle wzór żywej natury przed oczyma, i radzić się jęj wedle potrzeby; gdy zaś pracuje nad freskami, na wysokim rusztowaniu, bezpośrednio z jęj wskazówek korzystać nięma sposobu. Może on tylko kartony według natury wygotować; ale przy przenoszeniu ich na ścianę, przy kolorowaniu, poprzestać musi na zasobach swęj pamięci. Rzecz prosta, że w pierwszym razie jest on w stanie z większą dokładnością odtworzyć wszystkie subtelnosci plastycznego i malowniczego piękna; gdy w drugim z konieczności na ogólnych zmuszonym jest poprzestać rysach. Zkądinąd obraz olejny, już dlatego samego że każdy ma do niego łatwy przystępn i zbliska oglądającego może, wymaga większej subtelnosci w opracowaniu szczegółów, niż kompozycje malowane al fresco, na ścianach i wysokich sklepieniach, które widz tylko zdaleka może rozpatrywać, i które tęz z tego powodu nie potrzebują być zbyt szczegółowo traktowane. Nadto technika olejna pozwala na poprawki, zmiany i przemalowania, o częm przy freskach mowy być nie może: dalej, pozwala posługiwać się farbami w różnym stopniu rozcieńczonemi, zupełnie nawet przezroczystemi, i przy ich pomocy osiągać efekta kolorytu i światłocienia, zgoła niepodobne do naśladowania w malarstwie freskowym.

Wszystko to zapewniałoby przewagę obrazom olejnym, gdyby nie jedno wielkie ale: że się mniej dobrze od fresków przechowują, że prędzej tracą świeżosc barw, i cięmnieją. Taki tęz los spotkał, niestety, wszystkie obrazy olejne Rafaela. Powtarzane przez wielu krytyków zdanie, że Rafael lepiej kolorował swe freski niż obrazy olejne, oparte jest na pozorach, i za dobrą monetę brane być nie może. Nięma najmniejszej podstawy przypuszczać, żeby wychodzące z pod jego pędzla obrazy nie dorównywały pięknoscią kolorytu jego wielkim malowidłom ściennym. Cała rzecz w tęm, że gdy te ostatnie, mimo śladów zniszczenia, zachowały przeciez swój koloryt naturalny; obrazy olejne wszystkie mniej lub więcej poczerniały, i dziś nie dają pojęcia już o stanie, w jakim pracownię mistrza opuściły. To tęz jeden z powodów, dla czego wiele osób, nawykłych do efektów kolorytowych, doznaje niemięłego rozczarowania na widok sławnych obrazów Rafaela. Każdy, kto stając w obec dzieł tego mistrza, pragnie go z właściwego ocenić stanowiska, powinien mieć na pamięci krzywdę, jaką im czas wyrządził.

Trzeba tęz mieć na względzie, że zastosowanie farb olejnych do malarstwa w epoce Rafaela było jeszcze rzecz można nowoscią, artyści nie mogli znać tak jak dziś ich własności, nie wszyscy tęz stosownie ich używali. Sam Rafael gdyby był pożył dłużej i widział ujemne skutki, jakie wpływy atmosferyczne na jego obrazy wywierały, postarałby się pewno w przyszłości ztemu zapobiedz. Najbardziej nad tęm ubolewać trzeba, że w robotach olejnych mistrz właśnie najwięcej do pomocy swych uczniów się odwoływał: sam wykonywał tylko rysunek, zaś podmalowanie obrazów, a często nawet ich wykończenie, im było powierzane. Choćby nawet sam mistrz znalazł dość czasu do przejrzenia każdej roboty i poprawienia jęj własną ręką; zawsze udział w nich jęgo

pomocników był szeroki. Samo podmalowanie obrazu jest wielkiej wagi: przebija ono bowiem zawsze przez pokrywającą je cienką warstwę farb, przy ostatecznym wykończeniu nałożonych, i przeto podnosi ich siłę, świeżość i przezroczystość: ale zdarza się też, że wskutek zastosowania niewłaściwych środków technicznych przyczynia się ono z biegiem czasu do ich poczernienia. Zależy to najbardziej od własności farb używanych przy podmalowaniu obrazu.

Najznakomitszy bez wątpienia uczeń Rafaela, wspomniany już wielokrotnie Giulio Romano, który podmalowywał wszystkie znakomitsze obrazy mistrza, wykończył je nawet, a podobno i w rysunku nieraz go zastępował, był właśnie nieosobliwym kolorystą. Miał on zdaje się zwyczaj posługiwać się zanadto czarną farbą, która ma tę własność, że choćby w najdrobniejszej, zrazu niedostrzeżonej nawet proporcji zmieszana z innymi farbami, z czasem zawsze ich poczernienie powoduje. Ostatecznie Rafael sam wprawdzie obrazy przeglądał i poprawiał, ale zazwyczaj z lekka tylko, powierzchu się ich pędzlem dotykał, co skutkiem podmalowania zapobiedz nie mogło. Jeśli czasem się zdarzyło, że niezadowolony z głowy lub innej jakiej części obrazu, sam z gruntu ją przemaalował, nakładając farby grubiej niż zwykle; części takie zachowały się lepiej i dziś odróżniają się od reszty obrazu lepszym tonem kolorytu. Otóż zastanawiając się nad obrazami Rafaela, musimy zwracać uwagę nie tyle na ich koloryt, ile na kompozycją i wyrazową ich strong; na nich to bowiem głównie ich niespożyta wartość artystyczna polega. Liczba olejnych obrazów przypisywanych temu mistrzowi jest tak olbrzymia, że jedynie na bliższym poznaniu kilku najznakomitszych będziemy musieli porzesać.

Dzięki licznym kopiom i reprodukcjom sławnych jego obrazów Najśw. Panny, Rafael powszechnie bardziej jest znany z nich, niż ze swych pomnikowych malowideł ściennych. Maluje on w nich istotnie z niewypowiedzianym powabem gorącą miłość macierzyńską: jego Madonny, to matki wzruszające tkliwością swych pieśczoł, wyrazem błogości i uszczęśliwienia; ale Rafael, malując te postacie, staje raczej na stanowisku naiwno-legendowem niż religijno-dogmatycznym. Traktuje on je może w sposób zarealny, zaziemski, pozbawiając je nawet tego oroku dziewiczej czystości, jakim tchną jego dawniejsze Madonny, w których mistrz może mniej czynił zadość wymaganiom stylu, mniej nastęrczał sposobności do podziwiania zalet formy, techniki; ale umiał wlać w nie więcej serdecznego ciepła, więcej głębokiego uczucia. To też o owych entuzyastycznych opisach jego obrazów Najś. Panny, z którymi się w pismach i książkach spotykamy, możnaby powiedzieć, że są to retoryczne ćwiczenia na temat ich boskości, ale rzetelnego o nich pojęcia nie dają. Jedną z najbardziej idealnych jest sławna Madonna di Foligno, której wcale dobrą kopię olejną pędzla Kaniewskiego widzieliśmy na wystawie w Salonie Ungra. Mimo niezaprzeczenie wysokich zalet układu, rysunku i modelacji, nie odtwarza ona jednak w całej wzniosłości boskiego majestatu Bogarodzicy; chociaż mistrz wyobra-

ził ją nie wśród ziemskiego otoczenia, lecz w gloryi, w obłokach, okoloną niebieskimi chórami cherubinów. Rafael malował ten obraz około r. 1514 na zamówienie Zygmunta Conti, sekretarza Juliusza II, dla kościoła S. Maria in Araceli, z kąd później przeniesiono go do kościoła S. Anna della contesa w Foligno. Dziś znajduje się w galerii Watykanu. Rafael pozostał wierny współczesnemu sobie zwyczajowi wprowadzania do obrazów religijnych osobistości wysokich protektorów lub tych, dla których obraz był malowany. Tak samo postąpił i w Madonnie di Foligno, co ujmuje jej wiele z idealnego uroku, bo myśli widza niejako przemocą z nieba na ziemię sprowadza. Po lewej stronie N. Panny widzimy śś. Jana Chrzciciela i Franciszka, po prawej klęczącą postać wspomnianego wyżej Zygmunta Conti i ś. Hieronima, który go łasce N. Panny poleca. Na przodzie pośrodku mistrz umieścił aniołka z tablicą a w głębi krajobrazu, stanowiącego tło, widać miasto Foligno, na które spada ognisty granat.

Madonna della Sedia, przechowująca się w galerii pałacu Pitti we Florencji, jedna z najświetniejszych i po Madonnie Syxtyńskiej najwyższej przez znawców ceniona, ma jeszcze bardziej świecki, ziemski charakter. Obraz przedstawia N. Pannę siedzącą na krześle (z kąd jej nazwa) z młodzieńcem Chrystusem na kolanach, którego czule rękami obejmuje, pochylając ku niemu swe oblicze; u kolan jej mały ś. Jan ze złożonymi rączkami, w części tylko widziany. Piękność układu, słodycz wyrazu matki, naturalny ruch dziecięcia tulącego się do jej łona, nieprzeparty wdzięk całości: wszystko to aż nadto usprawiedliwia wysoką wartość tego arcydzieła, jaka mu powszechnie przyznana została. Każdy tu szczegół przedziwnie wykończony, plastyka oddana z prawdziwie Rafaelowską dzielnością pędzla; nie ma też wątpliwości, że jest to jeden z bardzo niewielkiej liczby obrazów, które Rafael sam od początku do końca wykonał. Czuć w nim wszędzie prawdę żywej natury, którą mistrz miał przed oczyma; ale właśnie czuć ją może zabardzo, jak na idealny wizerunek N. Panny. Samo Dzieciątko Jezus malowane wytwornie ale oczywiście z nienajlepszego wzoru, o spojrzeniu inteligentnym, jest jednak, jak na dziecko, zapoważne: zamało ma tego naiwne-go, czysto dziecinnego wdzięku, z jakim tak często spotykamy się w dzieciakach Tycyana; nie posiada ono w sobie nic idealnego, nie odznacza się nawet szczególną pięknnością. Lecz jeśli zmienimy punkt widzenia, jeśli w obrazie nie będziemy szukali idealnej postaci opromienionej aureolą świętości Matki Zbawiciela i jej Boskiego Syna; jeśli przypuścimy, że obraz przedstawia zwykłą śmiertelnicką tulącą czule do piersi swe ukochane dziecko, wówczas chłód wrażenia zmieni się nagle w podziw i entuzjazm dla tego dzieła, łączącego w sobie rzecz można wszystkie doskonałości formy, cechujące pędzel mistrza.

Gdy uprzytomnimy sobie wiele innych obrazów N. Panny, mniéj głośnych, choć może niemniej pięknych, jak np. Madonna z rybą w muzeum del Rey w Madrycie, della Casa Aldobrandini w National Gallery w Londynie, della Casa d'Alba w petersburskim Ermitażu, La vierge

au voile w Luwrze i t. d.; to niepodobna nam nie podziwiać téj swobody i łatwości, z jaką ten mistrz jeden i ten sam przedmiot w coraz to innéj przedstawia formie. Nie widzę jednak potrzeby zastanawiać się tu nad każdym z nich szczegółowo; témbardziej, że uwalnia mnie poczucie od tego powyższa charakterystyka Madonny della Sedia, z którą wymienione Madonny rzec można jedyną stanowią grupę. Zachwycające pięknoscia formy, naturalnością i prostotą układu, serdeczną rzewnością uczucia; nie mogą one jednak rościć pretensyi do wywoływania podnioslejszych wrażeń, nie usposabiają do pełnego nabożeństwa skupienia; mistrz traktuje bowiem w nich motyw religijny nie w sposób uroczysty, dogmatyczny, lecz w formie czysto ludzkiej. Jego Madonny, to postacie niewymownie piękne, pociągające uczuciem miłości, czarujące urokiem swego cichego, niczem niezakłóconego macierzyńskiego szczęścia; ale postacie zawsze mniej lub więcej z tego świata...

Była to najulubieńsza forma, jaką swym Madonnom nadawał, ale nie jedyna. Posiadamy bowiem obrazy Najśw. Panny jego pędzla, w których nie samą tylko czystość dziewiczą, jak w Madonnie del Granduca, i nie samą miłość macierzyńską jak w Madonnie della Sedia nam maluje; lecz przedstawia ją jako świętą Bogarodzicę, w jej niebieskiej chwale. Madonny del Baldacchino i di Foligno, należą właśnie do téj kategorii; ale dopiero w Madonnie zwanéj Syxtyńską mistrz w malowaniu boskiego majestatu Najśw. Panny wzbił się w szczytne sfery religijnego ideału, stwarzając nowego rodzaju arcydzieło, nie podobne ani duchem ani formą do zwykłych jego Madonn. Stanowi ono może jedyny w dziejach malarstwa przykład tak wzniosłej interpretacji motywu, tylokrotnie i przez najrozmaitszych mistrzów obrabianego. Któż nie zna tego arcydzieła, choćby z kopii lub rycin? Najświętsza Panna z Dzieciątkiem Jezus na ręku, otoczona promienną jasnością, z której jakby z poza mgły świetlanej wynurzają się główki całego legionu cherubinów, — uroczysta, majestatyczna, święta, — prawdziwa Niebios Królowa, zstępuje z nieba na obłoku. Z lewej strony mistrz wyobrazil ś. Syxtusa papieża, klęczącego w zachwycie, z obliczem zwróconém ku promiennemu zjawisku, z prawej św. Barbarę, także na klęczkach, ze spuszczone mi oczyma, których jakby na Niebios królowę podnieść nie śmiała. Piękna ta postać świętej męczennicy jest raczej uosobieniem skromności i czystości niż świętości; która to okoliczność, uważana ze stanowiska estetycznego kontrastu, przyczynia się niewątpliwie do spotęgowania wrażenia świętości, jakie sprawia sama postać N. Panny. Dzieciątko Jezus w tym obrazie, to już nie owo rozkoszne, tulące się naiwnie do łona matki, lub igrające u jej kolan pacholę; to przyszły świata Odkupiciel. Powaga, może nawet pewna surowość jego dziecinnego oblicza, tym razem jest na swoim miejscu; owszem, jest jedną z tajemnic uroku, jakim tchnie ten obraz. Widz powinien zatopić w nim swój wzrok, przez wzrok utonąć w nim własną duszą, jeśli pragnie odczuć całą wzniosłość téj religijnej kompozycyi. Kto stanawszy przed tym obrazem, zechce analizować go, szukać w nim źródła owych uroków, badać

poszczególne jego artystyczne zalety; ten odkryje ich bezwątpienia bardzo wiele, ale w końcu zawsze dopatrzy się jakichś stron ujemnych, których, jak wiadomo, przy dobrej woli zawsze i wszędzie dopatrzeć się można; a choćby mimo to zmuszonym był przyznać dziełu wysoką wartość, choćby go ono szerszym nawet przejęto podziwem, nie odczuje w duszy jego wielkości. Bo w podziwie nie streszcza się jeszcze natura jego wrażenia; ziemską drobiazgowość skali okazuje się niewystarczającą wobec tego dzieła wionącego na nas błogim, niebiańskim spokojem, nie mającym z ziemią nic wspólnego. Mistrz, może właśnie w zamiarze uwidocznienia tej wzniosłości wrażenia, wymalował u spodu obrazu dwóch aniołków o prześlicznych, wspartych na rączkach główkach, z podniesionymi, jakby w niebo zapatrzonymi oczami; jakoż istotnie, w obrazie tym niebo się widzowi otwiera.

Według Vasarego, Rafael wykonał ten obraz do głównego ołtarza klasztoru Benedyktynów pod wezwaniem św. Sykstusa w Placency, gdzie też pozostawał do r. 1753, w którym go mnisi za marny kruszec przefrymarczyli. Nabył go za pośrednictwem swego agenta August III król polski i elektor saski za 40000 skudów (20000 dukatów) i sprowadził do Drezna, gdzie się i obecnie znajduje. Włosi nie umieli uszanować skarbu. Data wykonania obrazu jest niepewna. Według Juliusza Hübnera, autora katalogu Galeryi Drezdeńskiej, Rouen posiada podobny zupełnie obraz, także za oryginał Rafaela uchodzący. Miejskowa tradycja mówi, że przełożona klasztoru św. Amanda w témże mieście, zwróciła się z prośbą do kardynała d'Amboise w r. 1508 o sprawienie obrazu Bogarodzicy, a tenże miał zamówić go u Rafaela, który pracując właśnie podówczas nad obrazem dla Placency, wykonał go w dwóch egzemplarzach, z tą tylko różnicą, że w obrazie przeznaczonym dla Rouen, zamiast św. Sykstusa umieścił św. Amanda, i tyarę papieską stojącą na ziemi zamienił na mitrę biskupią. Wypadłoby z tej opowieści, że Rafael malował Madonnę Sykstyńską w r. 1508, a zatem na krótko przed, albo zaraz po przybyciu do Rzymu; przypuszczenie, które ze względu na wewnętrzne i zewnętrzne zalety obrazu odrzucić musimy. Należy on z pewnością do dzieł z lat późniejszych, nosi bowiem cechy największego wydoskonalenia stylu mistrza, stając pod względem inwencji jak wykonania obok fresków i kartonów, nad którymi nawet, jako obraz olejny, pewną delikatnością pędzla góruje. Sądzę że nie mylą się ci, którzy za datę jego powstania podają rok 1517. Co do wspomnianego duplikatu w Rouen, jest on najprawdopodobniej kopia, wykonaną przez któregoś z uczniów Rafaela, a może nawet znacznie późniejszą. Według Hübnera, który ją na miejscu oglądał, odznacza się ona ciężkim, czerwonym tonem kolorytu i nie posiada zgoła tej wytworności i czystości, cechującej najdrobniejszy rys oryginału drezdeńskiej galeryi, tak że nawet nieznosi z nim porównania. Można temu wierzyć; inaczej bowiem z pewnością więcejbyśmy o niej słyszeli. Niestety, czas nie oszczędził i tego arcydzieła Rafaela; jak wiele innych jego obrazów, poczerniało i ono częściowo. Przysłużyli się

mu téż i liczni kopiści, którzy dawniej, dla dokładniejszego rozpoznania szczegółów poczerniałego obrazu, posługiwali się bez skrpułów najszkodliwszemi środkami, jak np. przecieraniem niewyraźnych części olejem lub śliną; z czego czasem potworzyły się rażące plamy, szczególniej dokoła głowy N. Panny. Dopiero w r. 1827 obraz został oczyszczony starannie i przywrócony do stanu, w jakim się dziś znajduje.

Madonna Sykstyńska świadczy, że ziemską atmosfera, jaką tchną zwykle jego wizerunki Najśw. Panny, nie dowodzi bynajmniej w Rafaelu braku głębszego uczucia religijnego, lub wyższego polotu natchnionej wiary fantazyi, której to arcydzieło jest tak wzniosłym objawem; lecz że Rafael, który taką mnogość obrazów N. Panny wykonał, uważał za najwłaściwsze przedstawiać ją w powszedniego życia otoczeniu. Jest w tém jakby przebłysk właściwego temu mistrzowi poczucia estetycznej miary, tego mianowicie artystycznego taktu, z jakim unikał emfazy. Przemawiając pospolicie do zmysłów i wyobraźni językiem szlachetnym, umiarkowanie podniosłym, ale powszechnie zato zrozumiałym i przekonywującym; zachowywał na wyjątkowe tylko momenta potężniejsze środki swój plastycznej retoryki, i nastrojając wówczas swój pędzel na ton podniosły, prawdziwie cudowne wywoływał wrażenie.

Z podobnie wysokim nastrojem religijnym spotykamy się jeszcze w jego „Świętej Cecylii,“ będącej i pod względem ekspresyi jedném z największych jego arcydzieł. Mistrz przedstawił św. dziewicę, patronkę muzyki, w pobożnej ekstazie, z oczyma wzniesionemi w niebiosa, dokąd i myśl jój się wzbija, jak to z jój twarzy czytamy. Przed chwilą grała jeszcze na organku; teraz trzyma instrument w opuszczonych dłoniach, bo do jój uszów, niby cudowne echo jój nabożnej muzyki, doleciała uroczysta harmonia chórów anielskich w niebie, które podchwyconą melodyą dalej śpiewają. Z lewej strony widzimy przesliczną męską postać ś. apostoła Pawła, wspartego na mieczu, z twarzą przytuloną do dłoni. I on zastuchał się w cudowne głosy rajskiego śpiewu i o świecie zapomniał; tylko że jego wrażenie jest inne. Na pochyloném obliczu maluje się skupienie; oczyma nie utonął w niebiosach, jak ś. Cecylia, lecz wzrokiem ducha zdaje się jakby w pozaświatowych bujać sferach. Za niemi widać jeszcze częściowe postacie: młodego ś. Jana ewangelisty i drugiego świętego z godłem biskupiej godności; na proździe leżą porozrzucane na ziemi różne instrumenta muzyczne, a u góry w obłokach sześciu aniołów śpiewających. Obraz wykonany w r. 1513 dla kościoła S. Giovanni in Monte w Bolonii, znajduje się obecnie w Pinakotece tegoż miasta.

Wzniosłe kompozycye religijne Rafaela to mają do siebie, że nie przemawiają do nas zimną a wymuszoną retoryką form konwencyjonalnych; lecz tchną prawdą i szczerością uczucia. Uwydatnia się to może najlepiej w owój różnorodności nastroju, różnorodności że tak powiem stylu, zastosowanego trafnie do wewnętrznej natury tego lub owego motywu. Nigdy żaden mistrz nie posiadał w tak wysokim jak on stopniu daru wcielenia danėj treści w najodpowiedniejsze jój kształty. Wyborny

tęgo przykład mamy w jego „Widzeniu Ezechiela“ (w galerii pałacu Pitti), wykonanem w tym samym roku co i ś. Cecylia. Rafael staje się w niem natchnionym malarzem majestatu Jehowy w duchu fantastycznych a znisztych pojęć proroków Starego Testamentu. Twórca jego wyobraźnia, mająca zawsze na zawołanie najstosowniejszą formę, wprowadza nas tu w świat widzeń iście apokaliptycznych, które z porwijącą odtwarza siłą. Niewielki ten obrazek, dzięki potędze inwencji i surowej eurytmii linii, sprawia wrażenie wielkiej kompozycji, którą też jest niezawodnie. Rzecz można, że rośnie on w oczach widza w miarę wpatrywania się wń; nie bo istotnie niemasz w nim małego, drobiazgowego, każdy tu szczegół dostrojony do uroczystego tonu Proroka (Ezechiel Rozd. I.).

Pomijając inne obrazy religijnej treści, wspomnę jeszcze o Rodzinie świętej, którą Rafael wielokrotnie za przedmiot swego pędzla obrał, malując w niej zwykle raj tchnącego miłością, cichego szczęścia domowego. Ztąd kompozycje jego na ten temat spokrewnione są bardzo swem wrażeniem z jego Madonnami. Ta sama w jednych jak w drugich atmosfera, serdeczna, ciepła, ale dosyć ziemska. Dodanie niekiedy jakiejś postaci idealnej, jakiego anioła, nie zmienia tego ich charakteru. Jako przykład wymienię tu Rodzinę Świętą jedną z najgłośniejszych, znaną pod nazwą „La Vierge de François I,“ przechowywaną się dziś w galerii Luwru. Jestto kompozycja z sześciu figur złożona. Postać N. Panny zachwyca swoją pięknoscia; przyklekła ona i podtrzymuje Dzieciatko Jezus, wychodzące z kotyski i rwące się w objęcia matki. Z prawej strony widzimy ś. Elżbietę z młodzieutkim ś. Jauein, któremu składa rączki, ucząc go religijnej czci dla przyszłego Zbawiciela świata; z lewej, nieco w głębi, ś. Józef podparty na dłoni i przypatrujący się w zamyśleniu tej scenie; zaś poza N. Panną i ś. Elżbietą dwóch aniołów, z których jeden sypie kwiaty na matkę z dziecięciem. Całość pełna zachwycającego wdzięku. Zródłem jego jest ujmująca prostota w rozwinieciu przedmiotu, naturalność akcji, wyrazowa piękność twarzy— ale w wyższym może jeszcze stopniu jest niém owa szlachetna eurytmia linii, będąca jedną z dominujących cech rysunku Rafaela. W wrażeniu, jakie obraz sprawia, uczucie czysto religijne najmniej ma udziału.

W ogólnosci w kompozycjach mistyczno-religijnych Rafaela, jak to już wyżej zauważyłem, w miarę jak mistrz ulegał wpływowi szkoły florenckiej, żywioł idealny zaczyna ustępować przed przewagą prawdy przedmiotowej, realnej. Wpływ Rzymu wprowadza w prawdzie do stylu Rafaela szczęśliwą równowagę dwóch tych pierwiastków, piękność jego form zyskuje na tém nieskończenie; wszakże w sposobie traktowania przedmiotów religijnych nie trudno dostrzedz, że czasy panowania w sztuce wzniosłych natchnień gorącej wiary już mijać zaczynały, ustępując miejsca nowym pojęciom, które wiek odrodzenia z sobą przyniosł; sztuka nieznacznie wchodziła na tory, mające ją ostatecznie sprowadzić z wyżyn religijnego ideału na grunt powszedni,

praktyczniejszy, bardziej odpowiedni umyśлом trzeźwiejącym pod wpływem krytyki. To téż i sam Rafael, jako nieodrodny syn swego wieku i jeden z najgenialniejszych przedstawicieli nowożytnej sztuki, lubo zdobywa się jeszcze na wielkie dzieła religijnego natchnienia, najpotężniejszym wszelako bywa wówczas, gdy rodzaj kompozycyi pozwala mu na uwydatnienie w niej głównych jój znamion: zycia, ruchu i psychologicznej prawdy. Taka już jest kolej rzeczy; każda wydatniejsza doba dziejowa wytwarza swoje ideały, którym dawne ustępować muszą. Już w epoce Rafaela rozpoczęła się była owa reakcyja w sztuce, która po różnych kolejach, wydała jój dzisiejsze kierunki.

Przechodzę właśnie do obrazu, w którym pierwiastek dramatyczny z większą może niż w którymbądź innym wypowiada się siłą. Znany jest on pod nazwą „Spasimo di Sicilia.” Wykonany pierwotnie dla kościoła N. Panny Bolesnej w Palermo (z kąd jego nazwa), znajduje się obecnie w Museum del Rey w Madrycie. Rafael wykonał go około 1516 roku. Wspaniała ta kompozycya przedstawia epizod z drogi Chrystusa na Golgotę, którą widać w oddaleniu—tę mianowicie chwilę, kiedy Chrystus upadł poraz pierwszy pod ciężarem dźwiganego krzyża. Najświętsza Panna, której serce krwawi się na widok udręczeń syna, przykłęka, zwracając się do tłumu, jakby go o miłosierdzie błagała. Ta postawa błagalna Maryi, jest może niekoniecznie stosowną, może zanadto po ludzku pojętą,—ale jeśli zamiarem mistrza było wyrazić w niej wielką a bezsilną boleść—osiągnął to najzupełniej. Święty Jan, ś. Marya Magdalena i kilka innych jeszcze towarzyszących jój niewieścich postaci, śpieszą jój z pomocą i pod ramiona podtrzymują. Jeśli jednak w Maryi mamy porywający obraz matki bolejącej nad dolą syna, traktowany w sposób właściwy ludzkiej naturze; o ile zato wznioślejszą wydać się musi postać samego Chrystusa, który choć upadający pod brzemieniem krzyża i maltretowany przez pachołków, najmniejszym rysem nie zdradza słabości ducha i moralnego złamania. Pojęcie postaci Syna Człowieczego, pełnej słodczy i majestatycznej godności, jest ściśle ewangeliczne. Jego oblicze, to oblicze raczej sędziego, niż prowadzonego na męki skazanego: rozpromienia je owo natchnienie prorocze, w którym przewidując przyszłe losy Jerozolimy, zwrócił się do towarzyszących mu niewiast z temi słowami: „Córki jerozolimskie, nie płaczcie nademną, ale same nad sobą i nad dziećmi waszemi płaczcie.” (Łukasz, XXIII, 28). Dosa dna i pełna różnaitości charakterystyka pachołków sądowych, wyborna jest zarówno jako dramatyczny kontrast z grupą Chrystusa, i jako jeden z czynników ożywienia kompozycyi. Ten mianowicie, który przewodnicząc orszakowi, trzyma w ręku koniec powroza, na którym wiesz Chrystusa, zwrócony do widza plecami, kreślony jest z wielką psychologiczną prawdą. W całej jego postaci czytamy, że to natura pospolita, upośledzona moralnie, brutalna, z wszelkich uczuć ludzkich wyzuta. Zdaje się on być jedną tylko zajęty myślą: żeby jaknajrychlej stanąć ze swą ofiarą na miejscu kaźni. Odwrócił głowę poza sie-

bie—a tym jednym ruchem, mistrz wybornie zcharakteryzował dziką jego niecierpliwość z powodu zatrzymania się orszaku. Jeden z jego towarzyszków, ten co podtrzymuje krzyż, jakby chciał ulżyć ciężaru skazanemu, snać nie przestał być jeszcze człowiekiem, skoro litość znajduje przystęp do jego serca. Zato ów drugi żołdak, tuż obok niego, popychający krzyż na ramiona Chrystusa, żeby go nim bardziej przygnieść—to wstrętne uosobienie złości i niegodziwości.

Trudno tu rozbiierać każdy szczegół téj pięknej, tak wzruszająco wymownej kompozycji, chociaż każdy ma tu swoje równie głębokie psychologiczne uzasadnienie. Wszystko to świadczy, że jedność i konsekwentność idei i myśli przewodniczyły mistrzowi w chwili tworzenia tego arcydzieła, i dlatego tak udzielają się z niego widzowi. Lo Spasimo stwierdza tę estetyczną zasadę, wysnuwającą się zresztą z wszystkich dzieł Rafaela, że najistotniejszą stroną obrazu, jego duszę, stanowi zawsze inwencya — ów pierwszy ogólny pomysł całości, jaki się w duchu artysty w chwili natchnienia rodzi; kompozycya w właściwym znaczeniu stanowi stronę zewnętrzną. W utworach Rafaela obie one najściślej zawsze sobie odpowiadają. Ztąd taka znakomita równowaga jego kompozycji, takie mistrzowskie grupowanie figur. W obrazie tym każdy ruch, gest, wyraz twarzy, wynika konsekwentnie z moralnej natury każdej postaci i z roli, jaką jój mistrz w obrazie przeznaczył.

Układ obrazów Rafaela ma to do siebie szczególnego, że wzrok widza po nich nie błądzi, lecz od pierwszego rzutu oka zatrzymuje się na rzeczy głównej; posiada on bowiem rzadki dar ściągnięcia na nią jego uwagi. I w Spasimo di Sicilia jest nieinaczej. Ta zaś okoliczność, że w ruchu figur mistrz najczęściej nie przedstawia nam akcyi dokonanej, lecz że tak powiem w pół drogi do jój spełnienia,—sprawia, że widz z pomocą podnieconej tym sposobem wyobraźni dopełniającej, wystawia sobie w myśli to co widzi w związku z tém czego nie widzi: co dany moment poprzedzić musiało i co w następnej dopiero stać się ma chwili. To właśnie użycza jego postaciom wysoki stopień życia i ruchu — zdają się one bowiem jakby istotnie poruszać w naszych oczach. Nie zawsze udaje się i Rafaelowi rozwinąć wszystkie te zalety; ale w Spasimo mamy najwspanialszy ich przykład, i dlatego utwór ten uważany być musi za jedno z największych jego arcydzieł. Rafael Mengs, jako krytyk niezmiernie wymagający, a dla Rafaela często niesprawiedliwy, nie może mówić bez entuzjazmu o tym obrazie, godnym zaiste zająć miejsce obok „Przemienienia Pańskiego,” uchodzącego powszechnie za największe jego arcydzieło wykonane olejnymi farbami.

„Przemienienie Pańskie” składa się właściwie z dwóch części, dość luźno z sobą związanych; górna część przedstawia zdarzenie zaszłe na górze Tabor, dokąd się udał Chrystus, wzięwszy z sobą trzech tylko uczniów: Piotra, Jakóba i Jana (Mateusz, XVII, 1—3). Widzimy tu Chrystusa unoszącego się w obłokach i promieniącego olśniewającą jasnością; po lewej stronie Eliasza, po prawej Mojżesza z tabli-

cają praw, unoszących się również w powietrzu; a niżej, na wierzchołku góry owych trzech uczniów, którzy z przestachu padli na ziemię: jeden z nich przytulił do niej twarz na widok otwierających się niebios, dwaj inni zasłaniają sobie rękami oczy od oślepiającego światła. Ta mistyczna część obrazu jest owocem prawdziwie religijnego natchnienia, a surową wielkością stylu i, co za tēm idzie, uroczyością wrażenia przechodzi wszystko, co w tym rodzaju nowożytno wydało malarstwo. Sprawia ona wrażenie odmienne od doznawanego na widok Madonny Syxtyńskiej, mniej może błogie, ale niewątpliwie wznioślejsze, potężniejsze. Sprawia je mianowicie postać Chrystusa, której równie pięknej, boskiej, daremniebyśmy gdzieindziej szukali. Postacie Eliasza i Mojżesza, ustępujące w obec niej na plan drugi, stylizowane w duchu pojęć biblijnych, pełne majestatycznego uroku, przyczyniają się też nie mało do ogólnego wrażenia, jakie ta część obrazu na widzu sprawia. Wszystko tu w doskonałej z sobą harmonii; zbytecznymi wydają się jedynie owe dwie figury mężkie klęczące na uboczu, z lewej strony, tuż przy krawędzi obrazu, a mające podobno być podobiznami dwóch Medyceuszów: Wawrzyńca i Juliana. Ale z tego rodzaju niespodziankami już nas oswoiły utwory z owiej epoki. Jeżeli tę część obrazu uważać można za najwyższy wyraz tego, co sztuka wydała w zakresie malarstwa mistyczno-religijnego, to znowu w dolnej części Rafael dał może najświetniejszy przykład kompozycji rozwiniętej w duchu przedmiotowo-dramatycznym. Przenosząc nas ze sfer niebieskich na ziemię, przedstawia okolicę u podnóża góry, gdzie nad brzegiem rzeki czy jeziora, reszta uczniów Chrystusa oczekuje jego powrotu. Gromadka ludzi przywiodła do nich opętanego chłopczynę żeby go uzdrowili. Nieszczęśliwy ojciec, na którego twarzy piętnuje się zgnębienie, trzymając w pół rzucającego się i wywracającego oczy chłopca, spogląda błagalnie ku apostołom; kobieta klęcząca pośrodku (zwrócona do widza plecami) i wskazująca ręką na chłopca, zdaje się być jego matką. W towarzyszącym im tłumie ludzi panuje wzruszenie, wszyscy się za nieszczęśliwymi wstawiają, błagając tych, w których cudowną moc wierzą. Na apostołów (zajmujących lewą stronę tej części obrazu) wstrząsający widok boleści rodziców i opętanego ich dziecka sprawia silne wrażenie: radziby pomódz, ale czują swoją bezsilność. Jeden z nich, siedzący na brzegu nad otwartą księgą, instynktownym ruchem ręki wyciągniętej przed siebie, zdradza przerażenie, które się i na jego obliczu maluje; w postawach innych, w ich twarzach, piętnuje się to litość, to boleść lub uczucie bezsilności. Ci i owi wymieniają między sobą uwagi; jeden z nich, wskazując ręką na górę, zdaje się tłumaczyć matce, że tylko od ich mistrza spodziewać się może cudownego uzdrowienia dziecka. Cała ta scena, pełna nieopisanego ożywienia, odznacza się wyborną charakterystyką figur i tą wyrazistą, łatwo zrozumiałą, wymową mimiczną, z którą się tylko w dziełach Rafaela spotkać można.

Obraz, z dwóch tak różnych części złożony, łączy w sobie nieja-

ko wszystkie cechy wszechstronnego geniuszu Rafaela; ztąd może pochodzi to wysokie, wyróżniające stanowisko, jakie mu w szeregu dzieł tego mistrza przyznano. Wprawdzie niektórzy krytycy to rozdzielenie obrazu na dwie różne części poczytują za wielki błąd kompozycyi, pozbawiający ją jedności. Prawda, że dość słabo są z sobą związane; ale mi się widzi, że powyższy zarzut trąci zanadto doktryną; cóż bowiem przeskadza nam zapatrywać się na każdą z tych dwóch części, jako na osobną, w sobie zamkniętą całość? Dlaczego mamy je koniecznie z sobą łączyć? Czyż sąsiedztwo jednej może w czémkolwiek wpłynąć na zmniejszenie artystycznej wartości drugiej?

„Przemienienie Pańskie,” znajdujące się obecnie w galerji Watykanu, malowane było dla kardynała Juliusza Medyceusza, który zamierzał z tego obrazu uczynić podarek Franciszkowi I. Z tej okazji odbył się w Rzymie konkurs. Do współzawodnictwa z wielkim malarzem stanął Michał Anioł, który za przedmiot kompozycyi wziął „Wskrzeszenie Łazarza.” Wykonał sam rysunek, malowanie zaś powierzył znanemu kolorystyce Sebastyanowi del Piombo, wykształconemu w szkole Giorgiona. Jakkolwiek współzawodnictwo w tych warunkach było trudne, Rafael wyszedł z niego zwycięzcą. Obrazowi wystawionemu na widok publiczny jeszcze przed jego skończeniem, przyznano jednomyślnie pierwszeństwo: sam wielki Michał Anioł uznał się za zwyciężonego w obec dzielnego rysunku i wyjątkowo pięknego kolorytu tego arcydzieła. Niestety, Przemienienie było ostatniem dziełem mistrza: nie miał nawet czasu go skończyć. Śmierć wytrąciła pędzel z jego ręki, właśnie gdy nad nim pracował. Tylko górną część obrazu własnoręcznie wykończył: mianowicie wzniosła postać Chrystusa ma być jego pędzla; resztę obrazu, rysowanego tylko przez Rafaela, malował Giulio Romano, co widać nawet po szarych, zeczerniałych tonach. W ogóle postacie męskie celują nad niewieściami; głowy apostołów pełne ekspresyi, traktowane są szeroko — co mogłoby nasunąć przypuszczenie, że sam mistrz dotykał się ich pędzlem. Grupa osób otaczających opętanego wyszła już bezspornie cała z pod ręki Giulio Romano; podobnie też postać klęczącej kobiety, jak o tém świadczy najlepiej jej szary, mętny koloryt. Ale obraz jako całość, pozostaje témniemniej wielkiem, budzącem podziw dziełem.

Nie dałbym zupełnego obrazu wszechstronnej działalności Rafaela, gdybym pominął utwory w rodzaju portretowym, które lubo z samej natury rzeczy nie mogą być porównywane z wielkimi jego kompozycyami, odznaczają się tém niemniej wysokimi jego pędzla zaletami. Z pomiędzy wielu wymienię tu portret Juliusza II w galerji degli Uffizi i w pałacu Pitti we Florencyi: niewiadomo bowiem, który z dwóch jest oryginałem, a który jego powtórzeniem; portret Leona X z dwoma kardynałami, także w pałacu Pitti; kardynała Bernarda di Bibbiena w muzeum madryckim; hr. Baltazara Castiglione w Luwrze; Skrzypka (Suonatore di violino) w pał. Sciarra w Rzymie. Portret cesarza Borgia w pał. Borghese, jak się okazało, był mu niewłaściwie

przypisywany. Z rozrzuconych po różnych zbiorach Europy wizerunków kobiet, interesującemi szczególniejszemi są te, które uchodziły lub uchodzą jeszcze za portreta Fornariny, mniemaniej czy istotnej kochanki Rafaela, która miała mu jakoby służyć za wzór do jego Madon. Nie wydaje się prawdopodobnem, żeby jakaś piekarka tak miała owładnąć umysłem i sercem młodego mistrza, iżby w jej oczach czerpał natchnienie do swych wzniosłych arcydzieł. Wobec zupełnego braku autentycznych świadectw, cały ów romantyczny z jego życia epizod, czyniący prostą kobietę z ludu jego ideałem i władczynią serca, zaliczony być musi do utworów wyobraźni. Zwykła to rzecz, że wielkie, popularne osobistości przechodzą do legendy, która niby bluszcz pnący się dokoła kolumny, czepia się ich i fantastycznemi dodatkami przystraja, uzupełniając niemi luki w ich życiu. Do takich fantastycznych wymysłów należy też prawdopodobnie i Fornarina. Serce wielkiego malarza mogło skłaniać się chwilowo ku jakiejś wybrance; niejedna służyła mu bezwątpienia za model do obrazów, w ich liczbie mogła się znaleźć i owa Fornarina z Via S-ta Dorotea; niewiadomo jednak nic o takiej kobiecie, któraby sprawiła głębsze na nim wrażenie i nazaawsze przykuć go do siebie zdołała. Jeśli Rafael poznał rzeczywiście taką kobietę, nie należała ona z pewnością do pospółstwa.

Mniemany portret Fornariny (Margerity) w galerji pał. Barberini w Rzymie (kopia w gal. Borghese) przedstawia zdaje się istotnie kobietę z ludu, ale nie odznaczającą się szczególniejszą pięknoscia; nie mogła tedy służyć Rafaelowi za wzór do jego obrazów N. Panny. Zdana też z tych ostatnich nie przypomina jej rysami twarzy; zresztą w ogólnosci nie są one podobne jedna do drugiej, owszem, najrozmaitsze przedstawiają typy. Inny portret jakoby Fornariny, znajdujący się w gal. Uffizi i noszący datę r. 1512, nie jest nawet pędzla Rafaela. Jeden z przypisywanych mu wizerunków kobiet w pałacu Pitti, z rysów przypomina rzeczywiście Madonnę Sykstyńską; ale przedstawia oczywiście kobietę z wyższej towarzyskiej sfery. Jeżeli więc kochał jaką kobietę i rysy jej utrwał w swych dziełach, to nie żadną piekarkę. Zajmując wybitne w Rzymie stanowisko, obracając się w wyższych sferach społecznych, jeżeli gdzie, to w nich chyba najprędzej znalazłby kobietę, któraby go pojął i serce jego zjednać potrafiła. Są pewne wskazówki, że tak nawet było. Do krewnych swych, którzy mu proponowali bogate ożenienie się w Urbino, sam pisze, że mu do tego nie śpieszno; że gdyby chciał, mógłby poszukać sobie żony w najpierwszych rodzinach Rzymu. O miłości do jakiejś piekarki niema wzmianki.

Wiadomo też, że kardynał Bibbiena zaręczył go był ze swoją synowicą, Maryą; ale z poślubieniem jej ociągał się Rafael, któremu, jak wieść niesie, Leon X przybiecywał godność kardynała. Być może, że perspektywa wysokiego zaszczytu stała się powodem oziębienia jego stosunków z narzeczoną, z którą go podobno nigdy serdeczniejsza nie łączyła sympatya. Śmierć usunęła mu wreszcie z drogi tę zawadę; ale niestety, w kilka miesięcy po zgonie narzeczonej umarł i Rafael (16 go

kwietnia 1520 r.), licząc zaledwie 37 lat życia. Zwłoki obojga spoczywają w kościele S. Maria Rotonda w Rzymie, dawnym Panteonie.

Śmierć mistrza sprawiła w Rzymie przynębiające wrażenie. W istocie strata, jaką poniosła w nim sztuka, była wielka, niepowetowana. Szkoła rzymska, której on był twórcą, i która ledwie powstawszy, zaćmiła swym blaskiem wszystkie inne szkoły malarstwa, po jego śmierci prędko upada. Uczniowie, których tak wielu przy sobie zgromadził, których umiał natchnąć swym geniuszem, ożywić zapałem, i dzielnie ich pracą pokierować, gdy go niestało, zaczynają tracić wielkie przymioty pędzla w jego szkole nabyte, rozpierzchają się na wszystkie strony. Zanim dziesięć lat upłynął, nie pozostał w Rzymie żaden wybitniejszy z pomiędzy nich talent.

Rafaela poprzedził cały szereg znakomitych mistrzów różnych szkół, z których każda swe specjalne posiadała zalety; brakło jednak dotąd geniusza, któryby wychodząc z ciasnych granic téj lub owéj szkoły, wszystkie je niejako ogarnął, i na przygotowanym przez poprzedników gruncie dźwignął wspanialszy, doskonalszy gmach sztuki. Doniosła ta rola przypadła właśnie Rafaelowi w udziale. Studyował on utwory dawniejszych i współczesnych sobie mistrzów, przyswoił sobie wielkie ich zalety i stosownie do swych widoków spożytkował. Nie znaczy to bynajmniej, żeby utwory jego pędzla były bezwzględnie ich streszczeniem; w takim bowiem razie działalność tego mistrza ograniczałaby się do roli zimnego eklektyka, nie dającej się pogodzić z pojęciem wielkiej artystycznej indywidualności. Rolę taką wzięta na siebie w 50 lat późniéj szkoła bolońska (Caracci), a w półtrzecia wieku spełnił ją ponownie i lepiej Rafael Mengs (1728 – 1779); ale właśnie utwory tego ostatniego najwymowniej dowodzą, że na téj drodze nic wielkiego zdobyć się nie da. Rafael zachował swoją indywidualność; ale w jego utworach obok genialnéj inwencji, kompozycyi, ekspresyi, wytwornego rysunku, spotykamy się z pięknoscią kolorytu, plastyką modelacyi i prawdą natury, których to zalet razem żaden mistrz przed nim w tak wysokim stopniu nie posiadał. Nie we wszystkich celował on jednako: właściwie tylko pod względem inwencji, udratyzowania przedmiotu, mimiki figur i ogólnéj ekspresyi, był on i pozostał dotąd nienaśladowanym. W tych przymiotach streszcza się istota jego geniuszu. Jego koloryt, jakkolwiek często niezaprzeczonej piękności, ma znaczenie podrzędne, dodatkowe; Rafael nie obmyślał nigdy zgóry jego efektów, czego najlepszym dowodem, że wszystkie jego kartony były tylko rysowane; wyjątek stanowią jedynie sławne kartony do kołbiarów, które ze względu na swoje przeznaczenie musiały być kolorowane.

Rysunek jest zawsze głównym żywiołem jego kompozycyi, jedynym środkiem ekspresyi. Correggio, który nawet układ figur i ich grupowanie do wymagań oświetlenia i harmonii barw stosował, pod względem piękności tonów i ujmującego wdzięku ma niezaprzeczoną nad Rafaelem przewagę. W malowaniu natury, w plastyce ciała, w od-

tworzeniu znamion życia indywidualnego i w świeżości kolorytu, musimy przyznać Tycyanowi pierwszeństwo. Głowy piękniejsze malował Guido Reni. Podobnie co do światłocienia, dzieła Rafaela ustąpić muszą utworom Rembrandta, który uczynił z niego główny środek ekspresji i jego poezją, jego magicznymi efektami prawdziwie oczarować widza potrafi. Można by i wielu innych wymienić mistrzów, z których każdy miał w czémś nad Rafaelem przewagę, lub mu przynajmniej dorównywał, jak np. współczesny mu Sodoma, którego freski w Farnezy nie tchną wdziękiem prawdziwie Rafaelowskich kompozycyji. Atoli gdy artystyczna wartość utworów każdego z nich polega głównie na jednym jakimś specjalnym, a choćby i na kilku przymiotach, Rafael niedościgniony w jednych, umiał we wszystkich zresztą osiągnąć wysoki stopień doskonałości i to właśnie tak go wysoko ponad wszystkich współczesnych mu i późniejszych mistrzów stawia. Szukał on wszędzie tego, co istotny rys piękna i prawdy stanowi, wyróżniał go od naleciałości czasu i miejsca, i obracał na własność swego ducha, wytwarzając tym sposobem styl własny, indywidualny, styl dlatego właśnie tak wielki, że się w nim pełen naiwnego uroku romantyzm średnich wieków, i szlachetny swoją prostotą klasycyzm, i wreszcie realna prawda życia i natury, tak harmonijnie z sobą kojarzą.

Mając do zapełnienia daną przestrzeń, obmyślał i zgóry przewidywał wzajemny związek pojedynczych postaci i grup całych; niejednokrotnie w widokach ekspresji zmieniał tę lub ową część obrazu, lub figurę, jak np. Dyogenesa w Szkole Ateńskiej, którego postać kilkakrotnie przerabiał. Świadczą o takich zmianach przechowujące się po różnych zbiorach własnoręczne jego rysunki. Miał zawsze na względzie, czy akcja, którą w obrazie rozwijał, streszcza się cała w chwili obecnej, czy też w myśli widza znaleźć powinna potrzebne dopełnienie; w tym ostatnim razie starał się zaznaczyć zlekka w ruchu figur zdarzenie, które ją poprzedziło, lub podsunąć zręcznie widzowi jej następstwo. Ztąd postawa, jaką każdej nadaje figurze, niema w sobie nic obliczonego na malowniczy efekt, nic dowolnego, przypadkowego; na pierwszy rzut oka odgadujesz stan jej ducha; jeśli przedstawił ją mówiącą lub działającą, widzisz, czy namiętność, będąca sprężyną jej akcji, jest w całej sile wybuchu, czy też dopiero się budzi, lub już przycichnąć zaczyna. Nikt tak, jak on, nie potrafił potęgą inwencji nadać stosownej formy przedmiotowi, wysunąć naprzód to co stanowiło główną rzecz kompozycyji, utrafić właściwą liczbę figur do akcji wprowadzonych, wyznaczyć każdej odpowiednią rolę, obmyśleć dla każdej najstosowniejszą mimikę. Pod tym względem pozostanie on bodaj zawsze największym, trudnym do naśladowania wzorem. Niektórzy z znakomitych tegoczesnych malarzy, jak Cornelius i Kaulbach, próbowali wskrzesić wielkie tradycje malarstwa z XVI wieku i w kompozycyjach swych szukali środka estetycznej ciężkości w rysunku. Stworzyli na tej drodze dzieła imponującej siły, żaden atoli z nich nie umiał, tak,

jak Rafael, pochwycić w samą porę właściwego momentu akcji, i tak ją naturalnie, zajmująco, a prawdziwie przedstawić.

Zwróćmy w jego utworach uwagę choćby na rzecz pozornie tak małej wagi, jak ubranie figur, draperye. Dzisiejsi malarze traktowali je zwykły konwencyonalnie, raczej z krawieckiego, niż estetycznego stanowiska: poznasz po ich draperiach rodzaj tkaniny, jój gatunek; atłasy, aksamity i t. p. oddane bywają z łudzącą prawdą. Ale zato zaginęła, rzecz można, sztuka dysponowania niemi, jako jednym z środków ekspresyi, wyzyskiwanym z tak pomyślnym skutkiem przez Rafaela. W jego obrazach wtórują one zawsze ruchowi figury, dopowiadają go, gdzie trzeba, uzupełniają. Po kierunku i charakterze fałd poznasz, czy dana postać jest w spoczynku, czy w ruchu; odgadniesz z nich nawet, jaką przed chwilą zajmować musiała postawę. Jego draperye powiewające swobodnie, zdają się tak naturalnie falować w powietrzu, jakby niemi istotnie wiatr poruszał; piękniejszych nad te, jakie widzimy w Madonnie Sykstyńskiej i w postaci Chrystusa (w Przemienieniu), nie można sobie wystawić. Niemasz w nich nic konwencyonalnego, szablonowego; w ruchu każdej fałdki taka prawda, że z nich widzisz wyraźnie, czy postać wznosi się do góry, czy na dół spuszcza.

Stanowiskiem swém w dziejach malarstwa Rafael wyróżnia się zarówno od Leonarda da Vinci, jak od Michała Anioła. Wszyscy trzej górują ponad innymi mistrzami z doby odrodzenia; wszyscy trzej równie wielcy, ale każdy z nich idzie odrębną drogą, zachowując swoją indywidualność. Leonardo da Vinci jest z pomiędzy nich geniuszem najwszechstronniejszym, inteligencją wyprzedził swój wiek, a talenta jego były tak liczne, że się wzajemnie obezwładniały. Nazbyt od siebie wymagający, szukający ciągle dróg nowych, lubił zapuszczać się w drobiazgi; łatwo się też zniechęcał i beczynnie czas trawił. Niema drugiego przykładu w dziejach sztuki, żeby tak wielka sława opierała się na dziełach tak nielicznych, tak źle zachowanych i tak mało udowodnionych, jak utwory tego mistrza. Michał Anioł to geniusz najoryginalniejszy w świecie, a zarazem charakter prawy i szlachetne serce, ale najniezszczęśliwszy człowiek. Był on uosobieniem pilności i sumienności, lecz zła wola, intrygi i kaprysy, stawiały mu często na drodze zawady, które go na wielką stratę czasu naraziły. Tylko dzięki swój wytrwałości, stanowczości i energii, jakoteż wyjątkowo długiemu życiu, zdołał doprowadzić do skutku te wielkie, pomnikowe dzieła, któremi się unieśmiertelniał. Co do Rafaela, umysłem i charakterem nie odbiegał on od poziomu swego wieku. Był to przedewszystkiem człowiek szczęśliwy; umarł tak młodo, że nie miał nawet czasu rozczarować się do życia, nabrać do niego niesmaku. Liczba jego utworów, w porównaniu z krótkością życia, jest olbrzymia: według niektórych, dochodzi do 600; samych obrazów N. Panny, znanych dziś, liczą do sześćdziesięciu. Przymyśląc sobie nawet niewyczerpaną płodność wyo-

braźni, łatwość tworzenia, trzeba przyznać, że nigdy chyba żaden artysta nie umiał lepiej swego czasu spożytkować.

Leonardo pierwszy zastosował do kompozycji obrazu akcyę motywowaną w sposób zgodny z życiową prawdą, na psychologicznej charakterystyce figur opartą, przez co osiągnął wysoki stopień ekspresyi; Michał Anioł pierwszy uwzględnił studia anatomiczne, podniósł przez to rysunek nagiego ciała, szczególniej skurczów, do niebywatej przedtém doskonałości, zaś wielkością pomysłów, śmiałością wykonania i wzniosłą surowością stylu otworzył sztuce nieznaną dotąd drogę. Obaj zarówno są wyobrazicielami nowych idei, są nowatorami. Przeciwnie Rafael wielkie swe znaczenie w rozwoju malarstwa zawdzięcza może nietyle nowości dróg, któremi do celu zmierzał, ile wszechstronnej doskonałości swego pędzla i temu dobroczynnemu wpływowi, jaki na współczesnych artystów bezpośrednio, a przez wiekopomne swe dzieła i na wszystkie późniejsze ich pokolenia wywarł. Leonardo da Vinci tworzył z namysłem, powoli; Michał Anioł z energią i zapałem; Rafael z upodobaniem. Indywidualna natura każdego z tych mistrzów wypiętnowała się nawet w ich powierzchownym wyglądzie. Leonardo da Vinci przedstawia się nam na wizerunku jako mężczyzna pięknej budowy, o fizyognomii wytwornego, giętkiego dworaka; w całej jego postawie maluje się pewność siebie, płynąca z poczucia własnej umysłowej wyższości; widać, że to człowiek rozumny i roztropny, który bez namysłu żadnego nie postawi kroku. Na twarzy Michała Anioła gorczyce życia liczne wyryły bruzdy: jest ona myśląca i surowa, prawie ponura. Portret Rafaela przedstawia nam go jako pięknego młodzieńca. Na jego obliczu namiętności nie odbiły się ani jedną zmarszczką. Gładkie jest ono i przejrzyste, jak całe jego życie. I w jedném i drugiem psycholog niewiele znalazłby materiału do studyów. Ujmująca ta postać młodzieńcza, o wielkiem, spokojném oku, tchnie jakąś anielską pogodą ducha. Jak sam on przeszedł do legendy, tak znowu typ jego twarzy odbił się w utworach sztuki z jego epoki. Ztąd pochodzi ta mnogość jego portretów, autentycznych lub fikcyjnych, rozrzuconych po miastach środkowej Italii, gdzie częstokroć obraz anioła uchodzi za podobiznę Rafaela i przeciwnie, portret jego brany jest za wizerunek anioła.

O B R A Z EKONOMICZNO-STATYSTYCZNY

ARCHIDYECEZYI GNIĘZNIENSKIEJ W XVI WIEKU.

NAPISAŁ

Stanisław Maroński.

Jana Łaskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego: „Liber Beneficiorum“ archidyecezyi gnieźnieńskiej etc. Gniezno, 1880 i 1881.

Ludność. Obraz topograficzny archidyaconatów w w. XVI-tym w stosunku do województw z r. 1768. Wiadomości historyczne, biograficzne, genealogiczne, numizmatyczne, lingwistyczne, prawne, ekonomiczne (różne klasy ludności), miary, nazwy techniczne i t. p.

Zdając w roku zeszłym relacją o wartości naukowej wydania dzieła noszącego tytuł: Jana Łaskiego „Liber beneficiorum,” nie mogliśmy przedstawić wielu nabytków historycznych, które dzieło to dostarcza badaczom dziejów przeszłości naszej w rozmaitych kierunkach wiedzy historycznej. Ponieważ jednak taki materiał źródłowy nie powinien się kryć w obszernych woluminach, wyprowadzamy go na widownię pisma peryodycznego, aby mógł pobudzić badaczy przeszłości naszej do wszechstronniejszego rzeczy rozbioru.

Ks. Korytkowski, kreśląc topograficzne swoje zapiski, miał głównie na oku jeografią kościelną; dlatego podał spis dekanatów i kościołów w poszczególnych archidyaconatach, zaznaczając, które kościoły znikły, albo na filialne zamienione zostały, a które nowo urządzone. Na podstawie „Libri Beneficiorum“ można też do pewnego stopnia dobiec, jak liczną była w czasie sporządzenia księgi tej ludność archidyaconatów, i wykazać tychże obszerność w milach kwadratowych jeo-

graficznych, w stosunku do dawniejszych województw z r. 1768, w którym to roku nowo ustanowione zostało województwo gnieźnieńskie, jak wiemy, efemerycznego tylko istnienia.

Zataić jednakowoż nie mogą wielkich trudności co do obliczenia ludności. Gdyby komisarze arcybiskupi, jeżeli nie chcieli z każdej parafii podawać liczby dusz, co też zresztą z ich celem się miało, byli konsekwentnie w każdej wsi zaznaczali ilość osiadłych włók, sumę zbiorową kolendy; gdyby w każdej parafii byli zapisali szacunek do świętopietrza: byłibyśmy w stanie z łatwością narysować obraz populacji ówczesnej archidiecezyi. Albo gdyby przy każdej wsi byli czynili notatki jak te, że w Imielinku ¹⁾ „kmiecie płacili z każdego gruntu po 3 grosze, co razem wyniosło pół kopy groszy; że w Ruszenicach ²⁾ dziesięcinę konopną po 2 grosze kmiecie płacą, przez co się 20 groszy zbiera; że w parafii kuczkowskiéj ³⁾ 3 wsie dają kolendy 12 groszy; że w Jeżowie ⁴⁾ z łanu po fertonie płacąc, składano rocznie 1½ grzywny; że w Stępushowie ⁵⁾, w miejsce dziesięciny snopowej, mieszczanie z włóki po 7 groszy, a razem 9 fertonów płacili; tedybyśmy z tą samą łatwością, ale i ścisłością obliczyć mogli ludność każdej miejscowości, z jaką obliczamy, że w Imielinku i Ruszenicach po dziesięć mieszkało kmieci, że w 3-ch wsiach parafii kuczkowskiéj 12 przebywało gospodarzy, że w Jeżowie osiadłych łanów 6 było, że miasteczko Stępushowo na 15½ włókach zasiało. Niestety, inaczej się stało; musimy zatem wziąć do pomocy pewne kryteria, by, oparci na nich, jakiśkolwiek pomysły, ma się rozumieć tylko zbliżony, uzyskać rezultat. Kryterya zaś i zasad któreśmy do poszukiwań naszych zastosowali, znaczenie i uprawnienie wyświetlamy i uzasadniamy w sposób następujący.

Najprzód braliśmy pod rozwagę świętopietrze. Pobór ten papięzki z różnych względów niektóre budzi wątpliwości, mianowicie co do trybu, jakim go składano, czy od głowy, lub czy z domu albo rodziny. Gdy zaś wyświetlenie kwestyi téj niejasnéj, a przez naszych pisarzy jeszcze przynależnie nie zbadanéj, obliczeniom naszym dość przydatną daje podstawę; dlatego wplątamy w wątek uwag naszych następujący mały ustęp objaśniający.

Ks. Łukomski twierdzi ⁶⁾, że wysokość kontrybucyi 40000 florenów „stósowała się do sumy świętopietrza od dawna pobieranego.“ Jednakowoż, jakoby na dowód, że twierdzeniu temu sam nie dowierza, dodaje zaraz: „Stałej zasady i proporcji między oszacowaniem ogólném kościoła, a wysokością poboru trudno się rzeczywiście dopatrzeć. Kodrąb np. oszacowany na 5 marek, a świętopietrze płaci 2 skojce, gdy

1) Lib. Benef. L. I, 91.

2) Tamże, I, 555.

3) Tamże: I, 563.

4) Tamże, I, 709.

5) Tamże, I, 143.

6) Tamże, II, str. XXXV.

znów Dmenin płaci 3 skojce, chociaż tylko na dwie marki taksacya wypadła." Aleć bo taksa kontrybucyjna w żadnym nie stała związku z poborem świętopietrza. Kontrybucyą oddawali plebani z dochodów swoich kolektorowi arcybiskupiemu dla skarbu publicznego; świętopietrze zaś składali parafianie plebanowi dla kolektora papieżkiego. Dlatego też kanonikaty, altarye i tym podobne prebendy, z którymi się nie wiązało dusz pasterstwo, co do ś. Pietrza nie są w księdze naszej otaksowane. Jako przykład cytujemy z opisu pierwszego kanonikatu kolegiaty łowickiej, jak następuje: „Taxata est eadem praebenda ad unam marcam cum media argenti, et similiter omnes alii et singuli canonicatus eandem taxam habent ¹⁾.“ O świętopietrze żadnej niema wzmianki. Jeżeli zaś o wicedziekanie kolegiaty kurzelowskiej powiedzianem jest ²⁾, iż składa świętopietrza 16 skojców, to stało się z tego powodu, że wicedziekan ten był zarazem rządcą parafii kurzelowskiej. Zresztą przy wielu kościołach zapisano wyraźnie, że parafianie płacą ową daninę, a pleban ją kolektorowi oddaje ³⁾; a dość często czytamy, iż pleban, gdy przynależnej summy świętopietrznej od parafian zebrać nie mógł, z własnej kieszeni dodawał, ile potrzeba było ⁴⁾. Wobec takowego zatem wyrozumienia rzeczy, wyjaśnia się też przyczyna owój, przez ks. Łukomskiego zaznaczonej rozmaitości stosunku pomiędzy kontrybucyą a świętopietrzem. Skoro liczba parafian małą była, to mimo to, iż beneficium dawno było, szacunek na świętopietrze skąpo wypadł; przeciwnie z ludnej parafii obficie pobór ten płynął, chociaż uposażenie, w wielkiej części akcydensami, taksie niepodlegającymi, zastąpione, chudem było.

Usunięcie zatem powyższej wątpliwości dość było łatwem. Trudniej jest wyświecić niejasność i niepewność, już powyżej zaznaczoną, co do osób, pociąganych do składania podatku tego. Bogufał, biskup poznański, autor cennej kroniki w XIII wieku spisanej, powiada ⁵⁾, że za czasów Kazimierza Odnowiciela z powodu, że tenże rzekomo od ślubów zakonnych przez papieża uwolnionym został, zobowiązali się byli Polacy na lampę ś. Piotra i fabrykę od każdej głowy po jednym denarze płacić. Wedle zaś bezimiennego autora „Kroniki polskiej“, na początku XIV lub pod koniec XIII wieku sporządzonej, miano oddawać z k a ż d é j p a r a f i i po jednym denarze, mającym na sobie głowę ś. Jana, albo też po dwie miary owsa ⁶⁾. Anonim, pisarz „Kroniki ksią-

¹⁾ Lib. Benef. II, 242.

²⁾ Tamże, I, 549.

³⁾ „A qualibet persona pro denario sanoti Petri per unum denarium; et contribuit collectori camerae apostolicae octo scotos et unum grossum pro quittantia.“ Tamże, I, 622.

⁴⁾ Cogitur de propriis apponere, quia non proveniunt quinque grossi, quos cogitur solvere.“ Tamże, I, 563.

⁵⁾ Silesiacorum Rerum Scriptores, ed: Sommersberg, II, 24.

⁶⁾ Chronica Polonorum, ap. Stenzel, Scriptores Rer. Siles, I, 10.

żat polskich” z połowy XIV wieku, idąc za Bogufałem, pisze, że po denarze głowa każda płaciła ¹⁾. To samo podaje Długosz, opisując panowanie Kazimierza wzwyż wymienionego; szlachtę jednakowoż od poboru tego uwalnia ²⁾. W częściowej sprzeczności z temi zapiskami, donosi tenże na inném miejscu ³⁾ swojej „Historji Polskiej,“ iż za czasów Piastowskich, aż do Władysława Łokietka płacono z każdego domu i familii po trzy denary i po przetaku owsa; że jednakowoż, gdy w ciągu czasu danina owa poczęła iść w zapomnienie, król, pragnąc pozyskać pozwolenie na koronacyą u Jana XXII, papieża, onę w r. 1318 odnowił z tą odmianą, iż odtąd od każdej głowy wieśn i a cy płacić mieli jeden denar kursującej monety; i że takim trybem za jego téż czasów podatek ten składano. W liście zaś papieża Grzegorza XI z r. 1375, mocą którego Mikołaja Strosberga, proboszcza katedralnego gnieźnieńskiego, mianuje kolektorem świętopietrza w dyecezyach gnieźnieńskiej i chełmińskiej, czytamy, że daninę owę składają mają wszelakie osoby, szlachta i nieszlachta, mężczyźni i kobiety, dzieci i czeladź ⁴⁾. W téj samej myśli zdaje się wyrażać archidyakon Góra, gdy w opisie archidyakonatu kurzelowskiego stale używa tego zwrotu: „et denarium sancti Petri a qualibet persona;” ale i w opisie archidyakonatu uniejowskiego spotykamy się z następującemi słowami: „juxta consuetudinem a persona per denarium ⁵⁾. Wobec tak licznych sprzeczności ocenić nam wypada wiarogodność i znaczenie wszystkich powyższych wersyi. Z góry nam podnieść trzeba, że wiadomość, jakoby od każdej głowy płacić miano grosz ś. Piotra, jest z gruntu fałszywą. Sprzeciwia się ona bowiem wiadomym rezultatom rocznego owego poboru. Kolektor papieżki, Gelhardus de Carceribus zapisuje ⁶⁾, iż w r. 1338 arcybiskup gnieźnieński złożył świętopietrza z całej swéj archidyecezyi 76 grzywien i 6 skojców małych groszy, która to suma w monecie krakowskiej wynosi 50 grzywien, 18 skojców i 22 denarów. Wedle tego samego źródła złożyła dyecezya poznańska 22 grzywien

¹⁾ Chron. Princip. Polon., tamże, I, 58.

²⁾ III, 211: „de quolibet capite, nobilium capitibus circumscrip-tis, usualem denarium annis singulis solvere.”

³⁾ X, 91, 5: Licet enim ab exordio institutionis de domo et familia qualibet tres tantummodo denarii usuales, et avenae cribrum solverentur, huiusmodi tamen consuetudine abrogata, sancitum est, ut de quolibet capite, coloni et rustici homines unum denarium usualem annuatim exolvant. Quae etiam in diem hanc, et usque in aetatem nostram continuatur.

⁴⁾ Codex Dipl. mai. Pol. III, 431, 432 „nobiles et ignobiles, mares et mulieres, pro se et suis natis et domesticis huiusmodi denarium.”

⁵⁾ Lib. Ben. L. I, 363.

⁶⁾ Theiner, Monum. Hist. Polon. I, 444. Recollectio denarii beati Petri facta sub anno 1338.

liczby krakowskiej ¹⁾ a zaś kujawska 21 grzywien i 21 skojców ¹⁾. Ponieważ za Kazimierza W. 16 denarów szło na grosz, a 48 groszy na grzywnę, wypadłoby, gdy każda głowa płacić miała po denarze, iż powyższe dycezye miały ludności odnośnie 38,990; 16,984; 16,800 głów, co naturalnie oczywistym jest błędem. Tak samo nie miałyby sensu zapiski archidyakona Góry co do świętopietrza, gdybyśmy powyższą normę uznali być prawdziwą. Jako dowód starczy, gdy wskażemy na parafią wyśmierzycką, która wedle jego opisu ²⁾ składała się z jednego miasteczka, 7 wsi i jednego mlyna, w której obok plebana pracował jeszcze i wikaryusz, a z której kolektor papieżki dwa tylko grosze świętopietrza pobierał. Gdy zaś w czasie spisania księgi naszej 18 denarów na jeden liczono grosz, wynosiłaby liczba owęj parafii $2 \times 18 = 36$ głów, czego ma się rozumieć, na seryo brać nie można. Zresztą i w innych krajach, jak np. w Anglii nie było zwyczaju płacić podatek ów od głowy, ale raczej płacono go z każdego domu. Czém się to stało, iż tak niewiarogodne wiadomości płyną z źródeł nawet urzędowych, jakimi są bule papieżkie? Bogufał odnosi wiadomość swoją, jakęś to już powyżej zaznaczyli, do czasów Kazimierza I. Zważywszy jednakowoż, że on ją wiąże z rzekomém mnichowstwem księcia tego, które nowsza krytyka, historyczna dowodnie do bajek policzyła; że wedle świadectwa Dytmara ³⁾ już Bolesław Wielki świętopietrze z państwa swego do Rzymu wysyłał; stawić możemy wniosek wcale nie błahy, że z tego samego mętnego źródła, z którego powyższą fałszywą Bogufał zaczerpnął wiadomość, wcisnęły się pod pióro jego słowa: *de quolibet capite*. Bula zaś papieżka jeżeli nie jest falsyfikatem, to jest zredagowaną na podstawie całkiem fałszywej informacji. Wystawioną ona została 3 lutego, r. 1375 w Awenionie, pod koniec zaś r. 1374 przebywał tamże Mikołaj z Kurnika, kanonik poznański, człowiek niespokojny, podłego charakteru, lubieżnik ⁴⁾, który przez intrygi i gorszące fakty w gronie kapituły poznańskiej obrany został nieprawnie biskupem poznańskim. Gdy tak król Ludwik, jak arcybiskup gnieźnieński na wybór ten godzić się nie chcieli, pobięł on na dwór papieżki, by tutaj wyrobić sobie potwierdzenie wysokiego swego urzędu pasterskiego ⁵⁾. Nie za śmiałym więc będzie, wedle mego zdania, domysł, że on to właśnie, chcąc się przypodobać papieżowi Grzegorzowi IX, znajdującemu się wówczas w wielkich pieniężnych kłopotach, by pozyskać jego względy i łaskę, temuż kłamliwie w najkorzystniejszych warunkach, przedstawił zwyczaj i tryb poboru świętopietrza w Polsce. Że on tym chytrym był informatorem, i że jakoweś poczynił obietnice

¹⁾ Lib. Benef., I, 445.

²⁾ Tamże.

³⁾ Tamże, I, 664—666.

⁴⁾ Bielowski, Monum. Hist. Pol. I, 292.

⁵⁾ Jan z Czarnkowa, Arobid. Gnieźń., ap. Somersberg, Scriptor. Rer. Siles. II, 132.

⁶⁾ Tamże, II, 113.

na niekorzyść swoich dyecezyan, można się i z tego domyślać, iż, zostawszy biskupem, uciążliwemi podatkami, na rzecz skarbu papieżkiego w r. 1378 w niezwykły cisnął sposób dyecezyą swoją, w skutek czego arcybiskup gnieźnieński i inni biskupi do Stolicy apostolskiej protest zanieśli ¹⁾. A spółnikiem jego brudnych sprawek był ów osławiony proboszcz katedralny gnieźnieński, Mikołaj Strosberg, co na mocy w mowie będącej buli, zapewne za wstawieniem się Mikołaja biskupa, kolektorem papieżkim mianowany został, a który potem, skradłszy pieniądze i sfałszowawszy rejestra, okuty w kajdany, na wieczne więzienie skazanym został ²⁾. Długosz z dwóch źródeł wypisał notatki swoje o świętopietrze, przyczem się nie spostrzegł, iż sprzeczności zapisuje. Jednym źródłem był mu Bogufał, z którego mylną notuje wiadomość co do płacenia podatku od głowy; reszta zaś odnośnych wiadomości zgadza się z rzeczywistością, i pomówimy o nich poniżej, gdyż nam przyjdzie w części téż i na nich dalsze nasze oprzeć wywody. Co do archidyakona Góry, któremu zapisywania absurdów imputować nie możemy, sądzimy, że pisząc: „a quolibet persona,” nie miał na myśli wszystkich żyjących osób wszelakiego wieku, stanu i płci wszelakiej, ale tylko pewną kategorią ludzi; którą zaś, to powiemy niżej.

Gdy więc próba rachunku, którąśmy na podstawie przypuszczenia uczynili, jakoby głowa każda świętopietrze płaciła, nonsens wykazała, gdy bezimienny autor kroniki polskiej zapisał, że od każdej familii składano ową daninę ³⁾, gdy na to również wskazuje buła papieża Marcina IV z r. 1285, gdzie powiedziano: „licet terras et possessiones excolant, quorum ratione consuevit solvi denarius beati Petri ⁴⁾,” gdy wszystkie świadectwa w przeciwnym sensie się wyrażające, okazały się niedowodnemi, nie możemy z tych wszystkich argumentów wyprowadzić innego wniosku tylko ten, że płacenie świętopietrza od głowy zmyśloną jest bajką. Ale téż ani z domu ani od familii w czasach połokietkowych takowego nie płacono, jak to stwierdzają powyżej cytowane wiarogodne świadectwa Długosza, co do jego czasu na autopsyi oparte. On téż świadczy, że szlachta od ciężaru tego wolną była, co zresztą i *Libere Beneficiorum* stwierdza, gdzie się tylko zapisuje, że kmiecie tyle a tyle płacą świętopietrza, o szlachcie zaś żadnej niéma mowy ⁵⁾. Ten sam Długosz podaje nam wskazówkę, kto właściwie podatek ów płacił. Powiada on, że „osadnicy i wieśniacy od każdej głowy płacili ro-

1) Lib. Benef. 119.

2) Tamże, II, 128; „ad perpetuos carceres tanquam furem, falsarium, mendacem.”

3) Porów. wyżej.

4) Theiner, Mon. Hist. Pol. I, 94.

5) „*Cmethones de eiusdem parochiae villis... et similiter tabernatores... pro denario sancti Petri a qualibet persona per unum denarium.*” Lib. Ben. E. I, 611.

cznie jeden denar ¹⁾." Otóż wyrażenie, osadnicy i wieśniacy, „coloni et rusticani” wyklucza kobiety i dzieci; z czego wnioskować wolno, że tylko dorośli mężczyźni, zarabiający na swoje utrzymanie, do składania daniny owój pociągani byli, tak iż starców odliczyć wypada. Płacili ją zatem kmiecie, zagrodnicy, rataje, osadnicy, chatupnicy, karczmarze, młynarze, rzemieślnicy, mieszczenie i t. p. i ich czeladź dorosła mężka. Nie płacili jej prócz powyżej wymienionych osób, i szlachty, czeladź dworska, dworscy urzędnicy i ludzie folwarczni. Wedle sprawdzeń statystycznych, kategoria ludności męskiej od 24 do 70 roku tworzy w przecięciu 21 procent całej ludności ²⁾. Na jedną rodzinę szlachecką liczymy 6 osób, na dworszczyznę zaś i lud folwarczny 14, razem 20 osób z dworu szlacheckiego do składania świętopietrza nie pociąganych. To są pierwsze kryteria naszych obliczeń. Otóż i przykład. Parafią Lipa ³⁾, w archidjakoconacie kurzelowskim położoną tworzyło 7 wsi, świętopietrze wraz z pokwitowaniem wynosiło 7 groszy, czyli 126 denarów. Liczba ta podaje 21 procent reszty ludności, tak iż ta w całości 600 dusz liczyła. Prócz tego było w parafii owój dziewięć dworów szlacheckich; przybywa zatem 180 dusz, tak iż w przybliżeniu liczyła 780 mieszkańców.

Ale kryteria owe w wielu bardzo razach nie dopisują. Pominąwszy, że mnóstwo jest parafii, gdzie szacunek świętopietrza nie jest opisany, dość często nie odpowiada rzeczywistości. Dawniejszemi czasami, w innych warunkach populacyjnych ustanowiony, nie odpowiadał on często późniejszej proporcji ludności parafią zamieszkującej, która albo się pomnożyła, albo też zmniejszyła. W pierwszym razie pozostawiano pierwotną niską taksę; w drugim zaś pleban z papieżkimi kolektorami o nowy się układał szacunek (ex compositione), który pod naciskiem skarg plebańskich na spustoszenie wiosek, na ubytek parafian ⁴⁾, zwykł był nisko wypadać, mianowicie, że jeden dziedzic miejscowy niechętnym okiem patrzący na przeciążanie kniotków swoich daninami zagranicę wysyłanemi, po stronie plebana i knieci, a nie kolektora stawał. Z tego zatem też poszło, że natrafiamy wiele taks, wykazujących zanizką proporcją; dla czego przy obliczaniu naszym tej zasady się trzymamy, iż liczba taksacyjna świętopietrza na deuary zredukowana, nie na piątą, ale tylko na siódmą część odnośnej ludności wskazuje.

¹⁾ „De quolibet capite, coloni et rusticani etc.,” IX, 96, 5.

²⁾ Taki stosunek np. w obwodzie regencyjnym gdańskim się wykazuje. Wedle urzędowego obliczenia wynosiła w r. 1861 ludność całego tego obwodu 475,570 głów, a mężczyzn powyższej kategorii było 100,739. Oelrichs Statistische Mittheil. u. d. Reg. Danzig., str. 33.

³⁾ Lib. Benef. Ł., I, 597—599.

⁴⁾ Pleban w Januszewicach skarży się (Lib. Ben. Ł., I, 612), że: vix dimidium partem (świętopietrza) colligit, cogitur de propriis apponere, et supplere, quia desertatae sunt villae.

Prócz powyższej roztrząśnietego kryterium, znaczącą jest także ilość łańów osiadłych, które na liczbę familii kmiecych wskazują. Szkoda tylko, że autorowie opisów, zaniedbali one zapisywać, wyjątkowo tylko to czyniąc. Chodzi więc o to, by na podstawie tych zapisków, które księga nam podaje, wykombinować liczbę przeciętną łańów osiadłych we wsi. Otóż z porównania blisko 270 miejscowości wypadło nam, że w tychże było około 2100 włók kmiecych osiadłych; z czego liczba ośm, jako liczba przeciętna wypada, którą zastosowaliśmy w obliczaniu tych miejscowości, gdzie bliższych nie ma dotychczas danych. Co do kmieci wyliczyliśmy, porównawszy 65 odnośnych miejsc w księdze, iż na półłanie 39, na całym łańie 24, a tylko 2 na 2 łańach siedziało, co nam wskazuje, we względzie dwóch pierwszych kategorii na liczby proporcjonalne 5 : 3, tak iż, licząc we wsi po 8 łańów osiadłych, 13 familii kmiecych nam wypadło. Familiją zaś kmiecia po 5, a czeladź jego po dwie osoby biorąc, czyni osób 91. Prócz tych liczyliśmy we wsi po trzy familie zagrodników, po jednej karczmarzkiej i po dwie rzemieślniczych, razem 6 familii o 30 osobach. Przypadło więc nam na każdą wieś jako liczba zasadnicza 120 osób, prócz rodzin szlacheckich i dworszczyzny. Tę liczbę przypuszczalnie-normalną miarkowaliśmy wskazówkami, któreśmy nie tylko z szacunku do świętopietrza, ale też z liczby wikaryuszy, młynarzy, karczmarzy, ze zbioru i wartości dziesięciny, z proporcji terażniejszego zaludnienia odnośnych parafii brali.

Co do wikaryuszy, to wedle rubrycel nowszych czasów dodaje się plebanowi do pomocy w dyecezyi gnieźnieńskiej jeden wikary w parafiach liczących przecięciowo 2200 dusz. W dyecezyach chełmińskiej, warszawskiej, kujawsko-kaliskiej i płockiej, oblicza się cyfra ta odnośnie na 2540, 2720, 3130, 3500 głów. Przepiętna zatem liczba wynosi 2650. Takię jednakowóz przeciętnę co do czasów Łaskiego przyjąć nie mogliśmy. Poniżej wykażemy, że w tym właśnie czasie wielki był natłok do stanu duchownego, i że wielka liczba księży, stosunkowo daleko większa, niż terażniejsza pociągała za sobą konieczność ustanowienia wikarych w parafiach daleko mniejszych. Sądzimy, żeśmy się z rzeczywistością nie wiele minęli, gdyżmy z reguły przyjęli, że parafie niżej 800 głów bez wikarego się obywały, od 800—1800 po jednym, a ponad tę liczbę po dwóch miały księży pomocniczych.

Mnogość lub brak młynów i wiatraków wskazuje na gęstą nasiedłość ludności, lub na średnie zaludnienie. Wedle zasad statystycznych liczy się 1 młyn na 1500, a 1 wiatrak na 980 osób ¹⁾. Bacząc zatem na ilość onych, regulowaliśmy także odnośną liczbą mieszkańców. Otóż i przykład: parafia pātuwska obejmuje tylko 2 wsie królewskie:

1) Taki stosunek wypadł, gdyżmy wedle Oelrichsa, Statistische Mittheilungen, str. 113, 114, znaleźli w powiecie Kartuzkim o 51,371 mieszkańcach 32 młynów, a w powiecie o 56205 mieszk., 5 młynów i 47 wiatraków.

Pątnow i Bieniec ¹⁾. Wedle naszych norm, musielibyśmy na parafią tę tylko 240 głów liczyć. Gdy jednak czytamy, że w Pątnowie trzech było młynarzy, domyślamy się, że okolica ta dobrze musiała być zaludnioną, i że ludność wiejska przechodziła liczbę naszą przypuszczalnie normalną, dlatego też podnieśliśmy cyfrę ludności, w każdej z powyższych wsi na 200, razem na 400 głów.

W celu objaśnienia metody naszej co do miarkowania liczby ludności uwzględnieniem terażniejszego zaludnienia odnośnych parafii, niechaj następujący posłuży przykład. Parafia bogdanowska ²⁾ składała świętopietrza 6 groszy, co wedle naszych zasad, wyjąwszy szlacheckie rodziny i dworszczynne, wskazuje tylko na 640 głów. Temu jednakowoż sprzeciwia się dwóch wikarych i 22 wsi, tworzących parafią. Wzgląd na obecną liczbę, 6402 parafian, zmusił nas ignorować szacunek ów do świętopietrza, i nakazywał podnieść cyfrę powyższą do 2000.

Wyłómaczywszy się z zasad i metody naszej przy obliczaniu ludności, przystępujemy do skreślenia obrazu topograficzno-statystycznego archidiecezyi.

Archidyaconat gnieźnieński opierał się od strony północnej o południowy brzeg Noteci, począwszy od punktu na wschód miasta Szamocina aż do zgięcia rzeki téj powyżej Nakła. Tylko mały skrawek przy témże mieście z osadą Paterek, należy do archidyaconatu kamieńskiego po prawej stronie Noteci położonego ³⁾. Zapewne dostał się na lewą jej stronę w skutek zmiany pierwotnego koryta. Granica owa północna skręciwszy się przy wymienioném zgięciu w południowo-wschodnim kierunku, by wschodnią archidyaconatu tworzyć granicę, postępuje łożyskiem Noteci aż do Wałownicy; określiwszy miejsce to, odbiega potem korytem rzeki dopiero co wymienionéj, w zachodnim kierunku, ku wsi Drogosławice podążając; tutaj zwróciwszy się na południe, powyżej miasta Łabiszyna, znów wchodzi w koryto Noteci ⁴⁾, którem teraz bez przerwy aż do jeziora trłagskiego postępuje, a wykluczając z niego miasto Gębice, biegnie linią prowadzącą obok południowego końca Gopła na Brdów, aż do zgięcia Warty pomiędzy Grzegorzewem i Chełmem. Tutaj obok rzeki téj na

1) Lib. Benef. Ł., II, 128, 129.

2) Tamże, II, 218—220.

3) *Visitatio Generalis Archid. Camenensis per Mathy*, p. 102. Manuskrypt w archiwum kancelaryi biskupiej w Pelplinie. Na mapie archidiecezyi gnieźnieńskiej, którą ks. Korytkowski sporządził, nie ściśle granica owa północna narysowaną została, biegnąc błędnie bez przerwy korytem Noteci.

4) Ks. Korytkowski i tutaj mylną na mapie rysuje granicę, która także bez przerwy idzie wzdłuż Noteci, mylnie połowę parafii łabiszyńskiej, należącój do biskupstwa kujawskiego, do archidyaconatu włączając. Tak samo mylnie umieścił miasto Łabiszyn po prawej, zamiast po lewej stronie Noteci.

krótkiej przestrzeni postępując, przekracza ją powyżej ujścia Neru, a wygiąwszy się na zachód, w pobliżu źródeł Teleszyny, na linii pomiędzy Turkiem a Pyzdrami, dobiegłszy Proсны, powyżej jej ujścia do Warty, południową stanowi granicę. Poczem, tworząc granicę zachodnią, skręca się na północ, a odciawszy miasto Pyzdry od archidyakonatu ¹⁾, prostopadle podąża ku miastu Wrześni, gdzie w stronę północno-zachodnią się obróciwszy, ku Pobiedziskom się ciągnie, które to miasto określwszy wprost na północ Noteci biegnie, by się tutaj z północną zetknąć granicą. Granice te rozdzielały różne terytorya polityczne i kościelne, jak następuje: krawędź północna w poprzek przerywając województwo gnieźnieńskie, odłączyła archidyakoniat nasz od kamieńskiego, z wyjątkiem już wspomnianej wsi Paterrek, należącój do archidyakonatu ostatniego. Rozgranicza ona zarazem Pałuki od Krainy. Wschodnia granica dzieliła archidyakoniat gnieźnieński od biskupstwa kujawskiego, archidyakoniatów łęczyckiego i uniejowskiego, tworząc zarazem granicę archidiecezyi gnieźnieńskiej i biskupstwa kujawskiego. Przystaje ona także z małemi wyjątkami do granic wojewódzkich. Od Nakła bowiem aż do Wałownicy dzieliła ona województwo gnieźnieńskie od inowrocławskiego; wszedłszy zaś do pierwszego, wyłącza z niego klin pomiędzy Notecią a Drogosławiem dla biskupstwa, jak wiemy kujawskiego. Poniżej Barcina, zetknąwszy się znów z granicą województw powyższych, biegnie z nią wspólnie aż po za Pakość, a pod wsią Trlągiem powtórnie na małej przestrzeni wkroczywszy w województwo gnieźnieńskie, rozgranicza następnie pomiędzy jeziorom trlągskiem a miastem Kwieciszewem, województwo gnieźnieńskie od województwa brzesko-kujawskiego. Pomiedzy miastem tém a Gębicami wszedłszy do tegoż województwa, podąża w okolicę Skulska, odkąd bez przerwy stanowiła zarazem granicę województwa kaliskiego z brzesko-kujawskiem, aż pod Brdów. Od Brdowa zaś aż do Chełma z łęczyckiem, a odtąd aż do końca z sieradzkiem. Południową krawędzią przypiera archidyakoniat gnieźnieński do archidyakoniatów uniejowskiego i kaliskiego. Granica ta, idąc najprzód od Warty aż do źródeł Teleszyny pomiędzy województwem kaliskiem a sieradzkiem, przerywa następnie w poprzek pierwsze. Zachodnia granica przechodzi najprzód także przez owo województwo od Proсны aż do Bieganowa, odkąd aż pod Wrześnię zarazem stanowi granicę pomiędzy niem a województwem gnieźnieńskiem. Poza tém miastem ciągnie się w okolicę Wierzenicy, gdzie się spotyka z granicą woje-

¹⁾ Ks. Korytkowski błędnie umieścił miasto Pyzdry w archidyakonacie gnieźnieńskim. Należało bowiem miasto to do diecezji poznańskiej; dlatego téż opisu parafii pyzdrowskiej w księdze Łaskiego nie ma. Tak samo Constitutiones Synodi Archid. Gnesn. s. Szembek, r. 1720 nie znajdują ani w dekanacie słupeckim, ani w innym, Pyzdr. To téż mapa Wielkopolski do kodeksu dyplomatycznego wielkopolskiego, dobrze Pyzdry w diecezji poznańskiej umieściła.

wództwa poznańskiego Na krótkiej przestrzeni pomiędzy wsią tą, a Dąbrówką, dzieląc toż województwo od gnieźnieńskiego, wstępuje w pierwsze; poczem, podążywszy pod Żoń, dawniejszy gród kasztelanii, a dzisiejszą wioskę, powraca do drugiego, w której powstawszy, północnej dobiega granicy. Taż zachodnia granica archidyaconatu, stanowi zarazem granicę pomiędzy archidyecezyą a biskupstwem poznańskim.

Archidyaconat gnieźnieński rozkładał się na 10, nie na 9, jak to mylnie zapisuje ¹⁾ ks. Korytkowski, Wyrzyski opuściwszy powiat, teraźniejszych powiatów W. Ks. Poznańskiego, i na 4 Królestwa Kongresowego. Wyliczamy je wedle kolei, miarkowanej wielkością obszaru, z jakim w skład archidyaconatu weszły.

1. Powiat ²⁾ Gnieźnieński. Mieści się całkowicie w archidyaconacie z 24 milami □, z 10 miastami: Gniezno, Witkowo, Czarniejewo, Kłeczek, Kiszkowo, Powidz, Mielżyn, Łubowo, Żydowo, Sławno. Z tych trzy ostatnie miejscowości wsiami teraz tylko są. Wsi było 210; ogółowa ludność chrześcijańska wynosiła w przybliżeniu 29,340 głów. Powiat ten obszarem 19,2 mil □ wchodził w województwo gnieźnieńskie z miastami: Gniezno, Witkowo, Czarniejewo, Kłeczek, Łubowo, Żydowo, Sławno, z 187 wsiami, 25,160 mieszkańcami; 2,1 mil □ należały z miastem Kiszkwem, z 11 wsiami, 1,560 mieszk. do poznańskiego; 2,2 mil □ z miastami: Powidz, Mielżyn, z 10 wsiami, z 2,380 mieszk. do kaliskiego; 0,5 mil □ z 2 wsiami, 240 mieszk. do brzesko-kujawskiego województwa.

2. Powiat Koniński. Wszedł całkowicie w skład archidyaconatu z obszarem 23,5 mil □, z 7 miastami: Konin, Golina, Rychwał, Śleszyn, Tuliszków, Grzymiszew, Licheń. Z tych sam tylko Konin ostał się przy godności miasta; Grzymiszew i Licheń już dawno zdegradowane na wsie, a reszta na osady zamieniona. Wsi było 141; ludność chrześcijańska liczyła około 24,870 głów. Powiat ten w samem tylko się mieścił województwie kaliskiem.

3. Powiat Słupski. Dostarczał do archidyaconatu 20,8 mil □ z 7 miastami, 103 wsiami i ludnością 24,700 głów. Miasta były: Słupce, Kazimierz, Łądek, Kleczewo, Królików, Wilczyn, Zagorów. Prócz Konina wszystkie te miejscowości teraz są osadami. Cały powyższy obszar mieścił się wyłącznie w województwie kaliskiem.

4. Powiat Szubiński. Z niego wchodziło w archidyaconat 19,5 mil □, z 5 miastami, 126 wsiami i ludnością 18,500 głów. Miasta: Szubin, Kognia, Rynarzewo, Żnin, Gąsawa. Cały obszar wchodził w skład województwa szubińskiego.

5. Powiat Wągrowiecki. 19 mil □ z 11 miastami: Wągrowiec, Łopienno, Janowiec, Mieścisko, Żekno, Gotańcza, Żerniki, Czeszewo, Stępushowo, Srebrne Górki, Smogulec. Z tych na wsie zamienione

¹⁾ Lib. Ben. Łaskiego, I, 4.

²⁾ Mówiąc o powiatach, rozumiemy powiaty nowoczesnego układu.

zostały 5 ostatnich miejscowości. Wsi było 145, ludności 22,600 głów. 16 mil □ z wszystkimi miastami, prócz Wągrowca, z 121 wsiami, 17,800 mieszk., mieściło się w województwie gnieźnieńskim; 3 mile □ z miastem Wągrowcem, 24 wsiami, 4,000 mieszk., w poznańskim.

6. Powiat Mogilnicki. 17 mil □ z 7 miastami: Mogilno, Trzemeszno, Wylatowo, Rogowo, Pakość, Kwieciszewo, Orchowo. Ostatnie oddawna już wsią jest. Wsi było 125, ludności 17,100 głów. 15,5 mil □ z wszystkimi miastami, prócz Orchowa, z 115 wsiami, z ludnością 16,000 głów, szło z województwa gnieźnieńskiego; 1,5 mil □ z miastem Orchowem, 10 wsiami, 1,100 mieszk., z brzesko-kujawskiego.

7. Powiat Kolski. 15,2 mil □ z 4 miastami: Koło, Brudzewo, Sampolno, Grzegorzewo (3 ostatnie miejscowości teraz osadami), z 95 wsiami, z ludnością 19,170 głów. Wszystko należało do województwa kaliskiego.

8. Powiat Wrześniński. 4,6 mil □ z miastem Wrześnią, 44 wsiami, 6,250 mieszk. Na obszar ten złożyło województwo kaliskie 3,3 mil □ z 27 wsiami, 2,850 mieszk.; gnieźnieńskie zaś 1,3 mil □ z miastem Wrześnią, 17 wsiami, 3,400 mieszk.

9. Powiat Turecki. 4 mile □ z miastem Turek, 38 wsiami, 5,280 mieszk. Obszar ten należał do województwa kaliskiego.

10. Powiat Średzki. 2,6 mil □ z miastem Pobiedziskami, 27 wsiami, 3,750 mieszk. Wszystko w województwie gnieźnieńskim.

11. Powiat Chodzieski. 1,5 mil □ z 6 wsiami, 1,460 mieszk. Obszar ten leżał w województwie gnieźnieńskim.

12. Powiat Inowrocławski. 1,4 mil □, z 15 wsiami, 1,800 m. Areał ten należał do województwa brzesko-kujawskiego.

13. Powiat Wyrzyski. 0,5 mil □, mieszczących się w województwie gnieźnieńskim, z 2 wsiami, 600 mieszk.

14. Powiat Obornicki. 0,3 mil □, położonych w województwie poznańskim, z 1 wsią, 150 mieszk.

Zawierał zatem archidyakoniat gnieźnieński 153,9 mil □, na którym obszarze się mieściło 54 miast, 1,105 wsi, 174,770 mieszk. Z tego szło na województwo gnieźnieńskie 76,1 mil □, 30 miast, 601 wsi, 86,670 głów; na kaliskie 68,9 mil □, 21 miast, 441 wsi, 79,250 głów; na poznańskie 5,4 mil □, 2 miasta, 36 wsi, 5,710 głów; na brzesko-kujawskie 3,4 mil □, 1 miasto, 27 wsi, 3,140 głów.

Ludność powyższa jest tylko chrześcijańską. Obok niej mieszkali w czasie spisania księgi także żydzi. Holsche ¹⁾, oparty po większej części na urzędowych sprawozdaniach, zapisuje, że na końcu wieku przeszłego w województwie sieradzkiem, w ziemi wieluńskiej, w większej wschodniej połowie województwa kaliskiego, 24-ty lub 25-ty, a zaś w reszcie tegoż województwa, w województwach poznańskim i gnieźnieńskim, 16-ty lub 17-ty człowiek był żydem. Przyjmując

¹⁾ Geographic und Statistik von West-, Süd- und Neu-Ostpreussen, II, 432, 433.

wedle tego przeciętną liczbę 20, t. j. 5%, jako miarę obliczenia ludności żydowskiej, znajdziemy, że w archidyakonacie mieszkało 8,738 żydów. Wynosiła zatem ogólna ludność 183,508 głów, a stosunkowo na milę kwadratową 1,192. Na tęż milę wypada 7,2 wsi, a jedno miasto na 2,9 mil □; jeden kościół na 0,9 mil □; 981 dusz na jedną parafię.

Archidyakonat Uniejowski. Opis tego archidyakonatu, którego autorem, zdaje się, był Jan z Poznania, archidyakon uniejowski ¹⁾, większa jeszcze cechuje niedbałość i niedokładność, jak opis archidyakonatu gnieźnieńskiego. Podczas gdy ten, opisując dziesięciny, regularnie każdą wieś w parafii położoną z osobna wymienia, ów po największej części kilka wsi razem zaznacza. Otóż i przykład ²⁾: „Moyaczowicze, Szczawno, Grabowka, Szczawyenska Volya, Lgotha, Vythow, villae sub eadem parochiali, in quibus villis decimae manipulares post omnes et singulos agros praediales provenientes spectant ad eandem parochialem et plebanum, quorum partem assignat pro vicariis et ministro et partem pro se tollit, conducunturque opera et impensa illas percipientium; ex agris vero emethonalibus provenientes spectant et pertinent ad canonicatum et praebendam Gnesnenses.” Znachodzą się też dość często zapiski wprost fałszywe, jak, że Przedwój Grądzki, proboszcz gnieźnieński, jako administrator archidiecezyi, erygował kościół w Rychłocicach r. 1455. Tymczasem już od r. 1454 rządził archidiecezyą prymas Jan Sprowski ³⁾. Tak samo mylną jest wiadomość ⁴⁾, że w Borownie kmiecie z ról dworskich dziesięcinę snopową do gumien plebańskich zwozili. Z ról folwarcznych rzeczą było plebana dać sobie zwozić dziesięcinę; tylko na kmieciach rolach ciążył obowiązek zwozki.

Opisanych jest kościołów 90. Po rozbiore Polski odpadły wszystkie te kościoły do nowo zorganizowanej diecezyi kujawsko-kalińskiej, gdzie rozdzielone są na 8 dekanatów i powiatów: Łęczycki z 2, Sieradzki z 19, Łaski z 8, Piotrkowski z 5, Radomski z 21, Turecki z 18, Częstochowski z 2 i Wieluński z 5 kościołami parafialnymi. Z pomiędzy tych 90 kościołów, było za czasów Łaskiego 14 murowanych, reszta zaś w liczbie 76 drewniane. Dziś jest 56 murowanych, a 34 drewnianych. W 13 parafiach nie jest zapisana taksa kontrybucyjna, w 36 zaś świętopietrze, a w 71 kwitancya, czyli opłata za pokwitowanie, nie są podane. Patronatu królewskiego było 14, duchownego 16, prywatnego, czyli szlacheckiego 60 kościołów. W biegu dalszych wieków powstało nowych parafii 16, z dawniejszych kościołów parafialnych zamieniono 5 na filialne, tak, iż dzisiaj 9 kościołów jest więcej, jak za czasów prymasa Łaskiego.

Kolatorzy po imieniu nazwani następujący: Jan Gniady w Chwał-

¹⁾ Roczniki Tow. Przyj. Nauk Pozn., X, 34.

²⁾ Lib. Ben. Łaskiego, I, 427.

³⁾ Tamże, I, 471 n., 472.

⁴⁾ Tamże, I, 521.

borzycach; Jan ze Świnic, Jan Chebda Niewieski w Niewieszu i Grodzisku; Maciej Czołczyński i Piotr, podkomorzy sieradzki, w Lutomiersku; Maciej Skęczniewski w Skęczniewie; Świętosław Ostrowski, kasztelan spicimirski, w Jeziorsku; Jan Rudnicki w Tubadzinie; Wojciech, Wincenty i Dobrogość Malscy w Wróblewie i Charłubni; Majaczewski w Stolcu; Mikołaj Potocki w Kamionaczu; Jarosław Łaski, wojewoda sieradzki, Michał, wojski sieradzki, w Łasku; Paweł Buczkowski w Buczku; Jan Kawiecki w Wygietzowie; Stanisław Druzbicki, Mikołaj Kargulski w Druzbicach; Grabieński w Grabnie; Mikołaj Siemek i Adam z Brzykowa Brzykowscy, Piotr Wroński, Gabryel Kociński w Brzykowie; Maciej (Stroński), chorąży sieradzki, w Strońsku; Mikołaj, Stefan i Piotr Karczowscy, Jan, Mikołaj, Stanisław Lipniccy w Korczewie; Piotr Stawiski, Adam Krzywański w Wiewiecu; Piotr Dziad w Sulmierzycach; Jerzy, Stanisław Goleńscy, Mikołaj Zaleski, Marcin Wolski w Ligocie; Andrzej Pukarzewski w Kamieńsku; Jan Dąbrowski w Dąbrowie; Gidzielski w Gidlu; Marcin Trębaczewski w Trębaczewie; Jan Kobylński, podkomorzy wieluński, Stanisław Siemkowski, Marcin Radoszewski w Siemkowicach.

Północna granica archidyakonatu, nieznacznej rozciągłości, opierała się po lewej stronie Warty o zachodnią krawędź archidyakonatu gnieźnieńskiego od Chełmu do źródeł Teleszyny; po prawej zaś stronie rzeki wzmiankowanej, biegła korytem Neru od jego ujścia do Warty, aż do zgięcia onegoż przy Grodzisku. Tutaj wykręciwszy się na południe, wschodnią kreśli granicę, która tém samém korytem Neru aż do Pabianic idzie; poczem odszczepiwszy się od niego, spuszcza się prostopadłą linią na południe, aż poza miasto Żytno. Linia ta znaczy się miastami, w archidyakonacie w pobliżu onej położonemi: Grocholicami, Kamińskiem, Radomskiem i Żytnem. Pomiedzy Przyrowem a Seceminem, w pobliżu Secemina pod ostrym kątem w stronę północno-zachodnią się obróciwszy, przekracza ona na północ Przyrowa Wartę, podążając ku Liczwarcie, którą w pobliżu Wąsosa dobiega. Linia ta stanowi granicę południową archidyakonatu. Na zachodnim końcowym jej punkcie opiera się linia graniczna zachodnia, która w północnym kierunku wijącym się biegiem idzie aż do Unikowa, odkąd prosto, włączając miasta Wartę i Dobre do archidyakonatu, i tworząc to szerszy, to węższy pas po lewej stronie Warty, do źródeł Teleszyny biegnie, by się z północną połączyć granicą. Granica ta północna oddziela po lewej stronie Warty archidyakonatek uniejowski, ale i województwo sieradzkie od archidyakonatu gnieźnieńskiego, zarazem i od województwa kaliskiego; po prawej zaś stronie, od archidyakonatu i województwa łęczyckiego. Granica zachodnia stanowi od ujścia Neru aż w okolice Pabianic granicę pomiędzy temi dwoma terytorjami a archidyakonatem naszym i województwem kaliskim. Opuściwszy tamże, pomiędzy miastem powołaném a Rzgowem, granicę polityczną, wkracza w województwo sieradzkie, by od tegoż na rzecz archidyakonatu łęczyckiego odciąć klin, wsunięty pomiędzy owę granicę polityczną i Pilicę. W pobliżu Żyt-

na, od wschodniej strony zetknęła się znów z granicą województwa, dzieląc je wraz z archidyaconatem od województwa sandomierskiego i archidyaconatu kurzelowskiego. Południowa zaś granica bez przerwy przystaje do granicy województwa sieradzkiego, które tak samo, jak i archidyaconat i archidiecezya, dzieli od biskupstwa i województwa krakowskiego. Środkowa część zachodniej linii granicznej leży w województwie sieradzkim, odłączając od niego dla archidyaconatu kaliskiego wązki pas z miastem Błazkami; południowa zaś część dzieli one od ziemi wieluńskiej i archidyaconatu wieluńskiego, a północna zaś od województwa i archidyaconatu kaliskiego.

Gdy tedy granice archidyaconatu albo do granic województwa sieradzkiego przystają, albo też wyłącznie tylko do niego wchodzą, to też archidyaconat w samym tylko województwie sieradzkim się mieści. Powyżej wymienione powiaty wchodzą w skład pierwszego z obszarem i ludnością jak następuje:

1. Powiat Łaski. Dostarczył do archidyaconatu 35 mil □, z 5 miastami, 214 wsiami, z ludnością 30,150 głów. Miasta były: Łask, Pabianice, i terazniejsze osady: Lutomiersk, Szczerców i Widawa.

2. Powiat Sieradzki. Z niego: 27 mil □, z 3 miastami: Sieradzem, Szadkiem, Burzeninem, 2 ostatnie miejscowości obecnie osady; z 256 wsiami, 31,650 ludn.

3. Powiat Radomski. 23,5 mil □, z 4 miastami; 178 wsiami, 25,870 miesz. Miasta: Radomsk, i terazniejsze osady: Brzeźnica, Pajeczno, Żytno.

4. Powiat Turecki. 21,5 mil □, z 3 miastami, 166 wsiami, 21,270 miesz. Miasta: Warta, i terazniejsze osady: Uniejów, Dobre.

5. Powiat Piotrkowski. 9 mil □, z 2 miastami: Kamieńsko i Grocholice, teraz osady; z 72 wsiami, 8,810 miesz.

6. Powiat Wieluński. 2,5 mil □, z miastem, a terazniejszą osadą Działoszynem, z 11 wsiami, 2,820 miesz.

7. Powiat Łęczycki. 1,6 mil □, z 22 wsiami, z 2,600 miesz.

8. Powiat Częstochowski. 1,4 mil □, z 7 wsiami, 1,180 miesz.

Cały archidyaconat obejmował: 121,5 mil □, 18 miast, 925 wsi, 124,150 mieszkańców. Doliczywszy 6,208 żydów, czyni 130,358 miesz. Liczba stosunkowa na 1 milę □ wynosi 1,086 głów; jedno miasto przypada na 7 mil □; 7,8 wsi na 2 milę □; jeden kościół paraf. na 1,5 □ mil, i na 1 parafię 1,379 dusz.

Archidyaconat Kurzelowski. Góra, domniemany autor opisu kurzelowskiego, który dziełu swemu nadał napis: „Inwentarz kościołów parafialnych w oficjacie i archidyaconacie kurzelowskim i innych beneficjów ¹⁾,” wziął się z większą, niż wszyscy jego koledzy, starannością i ścisłością do poruczonej mu pracy. On jedyny poda-

¹⁾ Inventarium parochialium ecclesiarum in officialatu et archidiaconatu Curzeloviensi et aliorum beneficiorum sub eisdem consistentium, videlicet proventuum.” Lib. Ben. L. I, 558.

je konsekwentnie wartość dziesięciny; opis budynków plebańskich, liczby łanów, osiadłych i pustych ról, ich wielkość, granice i położenie najdokładniej układa. Mimo tego i opisy jego wiele bardzo do życzenia pozostawiają. I tutaj obok niedokładności i ogólnikowości, którążemy już w powyżej przytoczonym przykładzie poznali, dość liczne biegają błędy. W nagłówku opisu secemińskiego zapisuje takse, jakoby wynosiła 5 $\frac{1}{2}$ grzywien, a w taksie o 5 tylko mówi ¹⁾. Wyliczając przy opisie wsi Błogie przynależne wsie parafialne, zalicza do nich wsie Końskie; w dalszym jednak toku opisu, gdy mu przychodzi z każdej wsi dziesięcinę zaznaczać, w miejsce wsi powyższej zapisaną jest miejscowość Radun ²⁾, prócz tego opuścił wieś Gajkowice ³⁾.

Archidyakoniat ten liczył 73 kościołów, z tych było 23 muryanych; miał zatem z wszystkich archidyakonatów stosunkowo najwięcej. Nowych kościołów powstało 7, zniesiono zaś lub na filialne zamieniono 3. Taksa kontrybucyjna, świętopietrze i kwitancya dość regularnie zaznaczone. Miał archidyakoniat ten także stosunkowo najwięcej kościołów patronatu szlacheckiego, bo 56, na 8 królewskich, a 7 duchownych. Patroni wymienieni: Stanisław Przedbór w Chrzęstowie; Piotr i Andrzej Olsztyńscy w Włoszczowie; Odrowąż w Piękorzewie; Rafał z Chedmców w Chedmcach; Włodzisławski w Krasocinie; Szafrańiec Chotowski w Chotowie. Widzimy, że zapiski co do patronów bardzo skąpo wypadły; zato skrupulatnie notowanem jest, który pleban szlacheckiego był pochodzenia.

Granicą zachodnią i północną archidyakonatu była Pilica, dzieląca go nie tylko od archidyakonatów uniejowskiego, łęczyckiego i łowickiego, ale także województwo sandomierskie od województw sieradzkiego, łęczyckiego, rawskiego i mazowieckiego. Wschodnia granica, leżąca w pierwszym województwie, wychodzi powyżej ujścia rzeki Pilicy do Wisły, na południe Warki, idzie potem korytem Radomki, następnie w południowym kierunku przebiegłszy suchą drogą kilka mil drogi, przekracza źródła Kamienny, i w równoległej z Pilicą linią zdąża ku górnej Nidzie, by w pobliżu Jędrzejowa, wyłączając miasto to z archidyakonatu, a wygiąwszy się ku stronie zachodniej, południową tworzyć granicę, która prosto w okolice Secemina podążała, a przebrnąwszy tutaj błota seckie, u brzegów Pilicy z granicą zachodnią się zetknęła. Odłączała ona województwo i biskupstwo krakowskie od województwa sandomierskiego i od archidyakonatu kurzelowskiego ale i od archidiecezyi.

Do archidyakonatu, leżącego, z wyjątkiem wsi Koniecpola, wyłą-

¹⁾ Inventarium etc., I, 563.

²⁾ Tamże, I, 627, 628.

³⁾ Tamże, I, 628, II, 185. Ks. Polkowski twierdzi wprawdzie, że na podstawie opisu kurzelowskiego obliczyć się można szczegółowo z dochodami i uposażeniem plebana. Jak mylnem twierdzenie, już sam opis parafii bukowiejskiej wykazuje.

cznie w województwie sandomierskiém, dostarczyły areалу powiaty następujące:

1. Powiat Opoczeński. 34 mil □ z 9 miastami, 204 wsiami, ludnością 32,690 głów. Miasta były: Opoczno, Białaczów, Drzewice, Nieznamirówice, Odrzywół, Gielniów, Skrzywno.

2. Powiat Koński. 30 mil □, z 5 miastami: Końskie, Fałków, Gowarczów, Radoszyce, Przedbórz, z 82 wsiami, 15,600 mieszk.

3. Powiat Radomski. 12 mil □, z 3 miastami: Wyśnierzycy, Pętworów i Przytyk, z 112 wsiami, 17,790 mieszk.

4. Powiat Jędrzejowski. 9 mil □, z miastem Małogoszczem, 33 wsiami, 6,460 mieszk.

5. Powiat Włoszczowski. 8 mil □, z 3 miastami: Nowopole, Kurzelów, Secemin, z 63 wsiami, 10,660 mieszk.

6. Powiat Kielecki. 6 mil □, z miastem Chęcunami, 43 wsiami, 6,950 mieszk.

7. Powiat Noworadomski. 0,4, z 1 wsią, 400 mieszk. Obszar ten mieścił się w województwie krakowskiém.

Cały archidyaconat obejmował 99,4 mil □, 22 miast, 538 wsi, 90,550 mieszkańców. Z tego szło na województwo sandomierskie 99 mil □, 22 miast, 537 wsi, 90,150 mieszk.; na krakowskie, 0,4 mil □, 1 wieś, 400 głów. Doliczywszy 4,527 żydów, czyni ogólnęj ludności 94,677 głów. Liczba stosunkowa téjże na 1 milę kwadratową wynosi 948, na milę □ przypada 5,5 wsi, a jedno miasto na 4,5 mil □, 1 kościół parafialny na 1,4 mil □; na jedną parafię 1,242 dusz.

(d. c. n.).

Z CZARNEJ GODZINY.

POWIEŚĆ Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI *).

PRZEZ

Feliksa Śrzeniawitę.

XII.

Każdych wakacyi, kiedyśmy jeszcze byli w szkołach, starałem się pomagać podczaszemu w jego gospodarskich pracach; uważałem nawet że ta pomoc bywała mu czasami użyteczną. Tém mocniej więc w ciągu owego roku, poświęconego wypoczynkowi moralnemu i umysłowemu, wyłączałem go dosyć często w doglądaniu robót w polu i prowadzeniu rachunkowości. Moje zdrowie dziwnie prędko przyszło do normalnego stanu; za dnia jeździłem po polach, lub razem z Janem do kniei, wieczorem zaś, kiedy pan Śliwiński dosyć już zgrzybiały, i żyjący u podczaszego, jako stały gość, czyli mówiąc właściwiej jako rezydent grywał z nim w rumel-pikietę lub w maryasza, my z Janem siadaliśmy do fortepianu, już to z zamiłowania w muzyce, już też dla rozerwania pani podczaszyny, która nie lubiąc czytywać, wiecznie się nudziła albo sama, albo też w towarzystwie swojej dalekiej krewnej panny Katarzyny, osoby wcale nie młodej, i niemniej nudnej, jak nasz były preceptor, pan Śliwiński.

Każdej zaś niedzieli i to bez względu na zmiany pogody, jeździliśmy o pół mili do kościoła parafialnego, gdzie pan podczaszy służył Mszy Ś-tój; a potem siedł na probostwo, pił kieliszek jałowcówki, zakąsał wędliną, i wraz potem wychodził z księdzem proboszczem, którego sadzał do karety obok pani podczaszyny. Panna Katarzyna i pan Śliwiński siedzieli na przodzie, my zaś, to jest młodzież, jechaliśmy razem z panem podczaszym w powozie odkrytym, albo nawet bryczką.

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za czerwiec r. b.

Lecz pewnego święta w lutym r. 1828, zdaje mi się na Najświętszą Pannę Gromniczną, pojechaliśmy tylko we dwóch z podczasym do kościoła: bo ani samej pani, ani też Jana w domu nie było. Zasiadliśmy obok siebie w pierwszej ławce z prawej strony, i natychmiast, aby nie tracić czasu otworzyliśmy książki do nabożeństwa, ma się rozumieć łacińskie, Officium quotidianum, gdyż nie modliliśmy się inaczej jak po łacinie. Spóźniliśmy się trochę z przyjazdem, i jak tylko usiedliśmy, ksiądz wyszedł ze Mszą. Organy zabrzmiały, i o dziwy! zamiast zwykłego fałszywego dyszkantu organisty, punktowanego basowém odchrząkiwaniem, usłyszałem cudny i miły głos kobiety.

Śpiew organisty sprawiał dystrakcyą, odrywał myśl od modlitwy, i słuchany co tydzień stawał się tak nieznośnym, że nawet pan podczaszy, człowiek wielce nabożny, mawiał do mnie czasami:

— Może to jest grzechem, co ci powiem: ale jakby to było pożądaniem, gdyby Jegomość ksiądz proboszcz odprawiał Mszę Świętą pochichu, nawet w niedzielę i dni świąteczne! Wierni zgromadzeni w świątyni Pańskiej mogliby się modlić bez przeszkody, z przyzwotém skupieniem ducha. Co do mnie grzesznego, ofiarowałbym chętnie naszemu organście dwieście złotych polskich rocznej indemnizacyi za to, iżby nie śpiewał wcale; bo i jak też to on dziś śpiewał:

„Ave maris stella
Dei Mater Alma.”

Rzecz zaiste osobliwsza! Ten człek zdaje się mieć bas całkiem donośny, ale śpiewać nim nie chce... trzeba mu koniecznie, i jak na złość, popisywać się z dyszkantem; chrząka jeno swym naturalnym głosem. Cóż znieć wszelako? Suma śpiewana być musi... i ty mój chłopcze, przepomnij lepiej o tém coś odemnie usłyszał we względzie onego śpiewu... przepomnij mówię; bo i cóż jest śpiew ludzki w obec chwały Bożej?

Dusiłem się czasem od śmiechu słuchając takich i tym podobnych uwag, wypowiedanych seryo i bez żadnej żartobliwej intencji, ale z rzeczy takiego rodzaju nie wolno było śmiać się w obecności pana podczaszego. Czcigodny starzec wylewał się przedemną pod pieczęcią tajemnicy, i nigdy księdzu proboszczowi swych uwag co do téj kwestyi nie udzielał, z obawy zaszkodzenia organście.

Tymczasem, w dniu o którym mówię, usłyszałem na chórze śpiew zachwycający, przenikniony uczuciem religijném, odrywający myśl i serce od wszystkiego co było ziemskie. Znając muzykę, mógłem być ocenić, że ten głos nie był artystycznie kształconym, ale takim, jaki wrodzone uczucie muzyki stwarza w niektórych szczęśliwie obdarzonych śpiewakach lub śpiewaczkach. Było to precudne kontralto. Im dłużej go słuchałem, tém żarliwiej moja myśl wznosiła się ku niebu: zdawało mi się że słyszę chóry aniołów i serafinów otaczających tron Przedwiecznego! Jeżeli zaś i dziś jeszcze wspominam o owym dniu z takim przejęciem, to jedynie dlatego, że z natury miał skłonność do egzaltacyi religij-

nój. Bywały nawet takie w mojej młodości chwile, że tylko w ciszy klasztoru widział bezpieczną przystań od burz i przeciwności tego świata. W takichto chwilach brałem do rąk książkę Tomasza a Kempis, i natychmiast ekstazyzna postać jakiegoś świętego zakonnika, klęczącego w swój celi, ze wzrokiem zatopionym w wieczności, z gorącą modlitwą na ustach, stawała przed moją wyobraźnią.

Gdy jednakże zachwycenia duszy prędko przemijają, to nic dziwnego, że pod koniec nabożeństwa, zstąpiłem z nieba na ziemię, i dawszy się opanować ciekawości, zapragnąłem dowiedzieć się kto śpiewał na chórze? Ale siedząc obok pana podczaszego, nie śmiałem obejrzeć się za siebie. Poprzestałem więc na domysłach, co się tyczy wieku i postaci pobożnej śpiewaczki. Ale nabożeństwo było skończone; gdy zaś dowiedzieliśmy się, że ksiądz proboszcz zabierał się gdzieśjechać, a zatem, nie wstępowałyśmy na probostwo.

— Cóż robić? — rzekł pan podczaszy kiedyśmy już wsiedli do sań — Będziemy jedli we trzech. Ale patrz, Henryku! Dzisiaj śpiewał ktoś inny, nie organista: śpiewał nawet z wielkim a chrześcijańskim ferworem, i dobrze było modlić się... Czyś uważał?

— Uważałem, panie podczaszy.

— To zapewne syn organisty? — zauważył mój poważny towarzysz podróży.

— Prędzej córka — odrzekłem.

— I co też ty mówisz? Znam przecież jego dzieci, bom je wszystkie do chrztu ś. trzymał. Nasz organista nie ma córki w takim wieku. Małgosi lat siedm, a Joasia jeszcze młodsza: stąd zaś konkluduję, że śpiewał zapewne jego jedynak, któremu także na imię Jan, jak memu. Toż to chłopiec szesnastoletni, i może już swym śpiewem chwale Panu Bogu oddawać. Mówiąc między nami — dodał znizonym głosem, ażeby go furman nie usłyszał — byłoby to wielce pożytecznem dla służby Bożej, gdyby go organista nasz wykwalifikował na kantora. Ba! Ale dlaczego to tenże organista dzisiaj ani pisał?

Z temi słowy, pan podczaszy obejrzał się dokoła i nakoniec dojrzał swojego pisarza prowentowego, który także wracał do domu.

— A mój panie Onufry! — rzekł doń — dowiedz się też, proszę, co się tam dzieje z naszym organistą? Czy nie ochryzł czasem, a może i zachorował? gdyż dzisiaj nie słyszeliśmy go wcale. Wypadłoby mu coś posłać... jeżeli niezdrów.

— Wyznaję się całkiem szczęśliwym i fortunym, iż mogę JW. pana uspokoić w tej mierze — odrzekł pan Onufry człowiek stariej daty, i starający się górnice wystawiać, albowiem ongi był u OO. Benedyktynów w szkołach.

— Mój panie Onufry! Nie tytułujże mnie jaśnie wielmożnym, bo wiész, że tego nie lubię.

— Lapsus linguae, JW. panie! chciałem rzec panie podczaszy, a mój osobliwszy dobrodzieju!

— Więc cóż z naszym organistą?

— Dzisiejszój nocy Pan Bóg dał mu syna, a panu podczaszemu chrześciański przywilój ojca chrzestnego.

— To dobrze, panie Onufry! Ale powiedz nam waszmość, jeżeli tylko wiész, co to za chłopiec śpiewał dziś Mszėj Świętą?

— Nie był to chłopiec, dostojny panie podczaszy, ale jakaś panielka wielce młoda, skromna i bogobojnie wychowana. Widziałem ją jak schodziła z chóru; aczkolwiek nieznanomy, ukłoniłem się jój na znak wdzięczności za to, że wedle swoich sił i zdolności, acz nieudolnie starała się zastąpić naszego pana organistę.

Na tém zatrzymały się informacje, których ustami pana podczaszego udało mi się zasięgnąć.

Widzicie tedy, że jedna i taż sama rzecz wcale różne na umysłach sprawia wrażenia: słuchając czarownego śpiewu niewidzialnej śpiewaczki, ja byłem zachwycony, pan podczaszy zadowolony, a pan Onufry stęskniony za talentem nieobecnego organisty: w jego umyśle, nabożna intencja i fałszywe tony, były to dwie rzeczy nierozdzielne i jednę całość stanowiące.

Następnój niedzieli i wielu po nią idących, daremnie oczekiwałem czarującego śpiewu nieznanomój: Kto ona była i zkąd? Nikt mnie nie umiał objaśnić. Naszego zaś księdza proboszcza pytać o to nie śmiałem.

— Oh! gdybym był na miejscu tego pana Onufrego! — mówiłem do siebie.

— Gdybyś był na jego miejscu, tobyś tak samo nic nie wiedział, jak i on nie wié—odpowiadał mi jakiś głos wewnętrzny. — Cóżby zresztą było, gdybyś się i dowiedział, kto ona i zkąd? Najzupełniej toż samo, co i teraz, kiedy nie wiész.

Lecz zdrowy rozsądek jest najnudniejszym ze wszystkich pedantów. Powstałem więc przeciw niemu z całą energią dwudziestoletniego serca, i zakochałem się prawdziwie platonicznie, ale w kim? W osobie która istniała rzeczywiście, albowiem jój śpiew słyszałem, lecz której nie znałem z postaci, i mogłem wcale nie poznać. Na szczęście jednak uczucie, któremu brak przedmiotu wyraźnie określonego i które z zewnątrz nie otrzymuje żadnej podniety, gaśnie samo przez się. Po upływie dwóch miesięcy uspokoiłem się zupełnie, tém więcój, zem się nie spodziewał nic innego słyszcć w naszym kościele parafialnym prócz szeregów fałszywych tonów dochodzących do mnie z chóru. I znowu kilka tygodni upłynęło: czas mojego odjazdu zbliżał się, kiedy pan podczaszy pewnego rana rzekł do mnie:

— Uważałem, że masz żytkę do koni, i że się znasz lepiej na nich, niż mój Jan. Proszę cię więc, Henryku, wyświadczyć mi jednę usługę!

— Racz pan tylko rozkazać! Jestem w każdej chwili gotów.

— Dziękuję, mój chłopcze, dziękuję — odrzekł starzec. — Posłuchaj zatem co ci powiem. O parę mil od nas, mieszka na swojej części w Siennie, wcale ciepły szlachcic, pan Dąbski, człek wytrawny

i zawołany handlarz na konie. Ma on być rzetelnym i uczciwym, ale dziwnie twardym w targu, i niejednemu już ręce popuchły od uderzania po nich, kiedy się o cenę umawiali. Mówię ci o tém, iżbyś wiedział z kim będziesz miał do czynienia. Wiész sam, tak dobrze jak i ja, że nam potrzeba ze sześć koni roboczych. Jedźże do niego, Henryku, i kup mi te konie. — Oto masz pieniądze.

Zaopatrzony w taką instrukcyą, pojechałem do Sienna, konno, i stanąłem tam około 11 przed południem. Przywiązawszy mojego wierzchowca do słupa, wszedłem do domu. Drzwi od sieni do pierwszego pokoju stały otworem; było to bowiem w gorący dzień czerwca: obejrzałem się dokoła, i nie spostrzegłszy nikogo ze sług, u którego mógłbym się dowiedzieć czy pan Dąbski jest w domu, wszedłem do pokoju; ale gdy się namyslałem co z sobą zrobić, albowiem i tam nikomu nie zastałem, usłyszałem w drugim pokoju, którego dzwi były tylko nawpół przyknięte, naprzód kilka pocałowań a następnie bardzo czułą przemowę wyrzeczoną głosem kobiecym, słodkim, pieszczotnym, którego każdy dźwięk przenikał w głąb duszy. Głos ten mówił:

— O, mój drogi, mój najmilszy! Tyś moim skarbem prawdziwym. Nikt cię tak nie kocha jak ja, i byłbyś czarnym niewdzięcznikiem, gdybyś mnie kiedykolwiek porzucił. Ale ty tego nie zrobisz... wszak prawda. Poczekaj, kochanie! Nie słyszałeś jeszcze dzisiaj mojej arfy. Zagram ci i zaśpiewam, bo lubię patrzeć jak ty się przysłuchujesz.—

— W chwilę potem usłyszałem krakowiaka przy towarzyszeniu arfy.

„W tę stronę, gdzie kocham,
Tam nie patrzeć muszę,
I udać, że nie dbam,
Choć kocham nad duszę.
Leć głosie po rosie
Do kochania mego!
Powiedz mu odemnie,
Że tęsknię bez niego!“

Ten śpiew przejął mnie rozkoszą i niewysławionym smutkiem, poznałem w nim od razu toż samo czarowne i lube kontralto, które na cztery miesiące przedtém w naszym kościele słyszałem. Ale niestety, pocóż miałem się mu dłużej przysłuchiwać, kiedy jój serce nie było już wolne. Jakże być musiał szczęśliwym ten, którego ona tak gorąco kochała! Nie wypadało mi podśluchiwać dalej tych wyznań, nie mogłem ich nawet słuchać bez żywego bólu. Przeszedłem się więc do pokoju, aby odgłos moich kroków oznajmił jój, o nadejściu natrętnego gościa.

W téjże chwili otworzyły się na oścież drzwi od drugiego pokoju, i na progu ukazało się siedmnastoletnie dziewczę, wysmukłej kibici, w całym przepychu swych wiosennych wdzięków, białe i świeże, z błę-

kitnemi jak błękity nieba oczyma, i wspaniałemi włosami, koloru złoto-ktosój niwy. Żywy rumieniec oblał lica i szyję młodej najady, na widok nieznanego, który ją zaskoczył na gorącym uczynku pieśszcrot z małym kozłkiem sarny, gdyż jemu to dostawały się pocałowania i do niego ściągaly się czułe słowa, które na chwilę przedtém słyszałem. Było to już jak sobie dziś tłumaczę, występujące na jaw wskazówki żywości uczuć i tajemnej potrzeby kochania, które ukrywały się jeszcze w cieniu, nawet przed jęj własnym okiem. Ale podówczas nie sobie nie tłómaczyłem, i niemniej zmieszany jak ona, uklóniłem się w milczeniu, nie wiedząc co do nięj przemówić. Na szczęście przypomniałem sobie, że trzeba się jęj przedstawić. Powiedziałem jęj więc moje nazwisko, a ona poprosiła mnie iżbym przeszedł do bawialnego pokoju, z którego sama razem z koziołkiem przed chwilą wyszła.

Wszystko mnie w nięj czarowało. Pamiętam ją jak dziś w skromnej, świeżej, jak ona sama sukience z różowego perkaliku. I otoczenie także odpowiadało harmonijnie jęj własnej osobie... krzewiny róż, mirtów i heliotropu w wazonach, i to szlachetne zwierzę z małym dzwoneczkiem na szyjce.

Tymczasem leniwa i tępa imaginacya, któręj pomocy rozpacziwie przywoływałem, nie poddawała mi najmniejszego przedmiotu do rozmowy. Spuściłem oczy w ziemię, i mój wzrok upadł przypadkowo na jęj małą nóżkę obutą bronzowym safianowym trzewiczkiem z różową kokardką. Podniósłem go natychmiast na kwiaty stojące w oknie, ale i tam żadnego natchnienia nie zacerpnałem. A jednakże nie byłem nieśmiały z natury. Tyle pań i panien u państwa podczasostwa bywało, i znajdowałem zawsze przedmiot do rozmowy z niemi. Nakoniec panna Helena, takie bowiem było jęj imię, przyszedłszy do siebie, rzekła:

— Nigdy jeszcze tak pięknej i pogodnej wiosny nie było, jak w tym roku, ja przynajmniej nie pamiętam.

— I ja także, panil!—odpowiedziałem, i rzuciwszy okiem na dziedziniec spostrzegłem mojego wierzchowca, który bił ziemię kopytem, i opędzał się przed bakami. Wówczas to dopięro przypomniałem sobie, że przyjechał kupować kowie.

— Czy pan Dąbski jest w domu?—zapytałem wówczas.

— Mój ojciec pojechał w pole... ale za parę godzin wróci. Zapewne pan się z nim zna?

— Nie, panil! Gdybym znał ojca pani, to zapewne i ją samą także miałbym zaszczyt widywać przynajmniej od czasu do czasu...

— Znajomych i przyjaciół mojego ojca znam bardzo niewiele—bo przez lat cztery byłem w klasztorze na pensyi, i niedawno ztamtąd wróciłam do domu.

— A jednak—odezwałem się znowu przezwyciężywszy nieśmiałość, która mną zawładnęła—poważam się myśleć, że chociaż nigdy nie widziałem pani, znam ją od kilku miesięcy...

— Jakto, panie?—zapytało dziewczę spojrzawszy na mnie z zadziwieniem.

— Pamięć zapewnia mnie o tém i jestem przekonany, że się nie mylę.

Utonąwszy w moich wspomnieniach, nie uważałem wcale, że moja odpowiedź była niesłychanie ciemna i zagadkowa.

— Pan darujesz—rzekła młodzianka gospodyni domu, albowiem nie miała już matki—że go zapytam o objaśnienie?...

— Dzisiejszy śpiew paui przypomni mi żywo zachwycające tony, które kilka miesięcy już temu słyszałem, bo i ja także, pani, lubię muzykę. Tąto przecudne kontralto było zupełnie toż samo, które i dziś, przed chwilą słyszałem.

— Ale i gdzież pan mógłś słyszeć mój śpiew, wcale nieuczony?—zapytała Helena.

— W dzień Najświętszej Panny Maryi Gromnicznej śpiewałaś pani całą mszę w naszym kościele w Bukowie. Słyszałem śpiew wówczas, a osobę która śpiewała... dziś dopiero... ujrzałem.

Helena zarumieniła się, jeszcze mocniej niż przedtém.

— W rzeczy samej, panie, śpiewałam wtedy w kościele Bukowskim. Byliśmy tam razem z moim ojcem, bo ksiądz proboszcz, to nasz daleki krewny.

Zatrzymała się na tych kilku słowach, i po niejakiem wahaniu mówiła dalej:

— Ale i dziś śpiewałam także, z towarzyszeniem arfy. Nie wiem co pan mógłś słyszeć i wnioskować, racz mi jednak wierzyć, że śpiewała bez celu, bez myśli i jedynie dlatego że mnie bawi, kiedy widzę, jak to biędne sarniątko strzyże uszkami i przysłuchuje się... Wyznaję sama, że było to dzieciństwo, którego po osobie dorosłej nie mógłś się pan spodziewać.

Ukłoniłem się pannie Helenie, uznając szczerze, że to strzyżenie uszkami było ze wszech miar godnym studyów, zapewniłem ją oraz, że wcale nie przywiązywałem żadnej skrytej myśli do jej śpiewu.

— Uważam się tylko za szczęśliwego, że i tę piosenkę słyszałem—rzekłem po pewnej chwili—tyle w niej było słodkiej melodyi...

— Zanadto pan pobłażliwie sądzisz o moim biędnym i skromnym śpiewie.

— Sądzę o nim tak, jak mi własne uczucie... muzyki dyktuje—odpowiedziałem w głos; do siebie zaś, w skrytości serca rzekłem: Słuchałbym go do końca życia; słuchałbym patrząc na ciebie, czytając twe myśli w błękanie twych słodkich oczu.

Przygastę, na głos zdrowego rozsądku, uczucie dla nieznamomój, ożyło na nowo w mém sercu z gwałtowną energią, i była taka chwila, że chciałem upaść jej do nóg, i wypowiedzieć wszystko, co mi ciążyło na duszy. Ale przewartościowałem się; i było to jedyne zwycięztwo w moim życiu, które mogę sobie policzyć za zasługę.

Pocóż zakłócać pogodę jój myśli takiem wyznaniem? — mówiłem do siebie z goryczą. — Nie mam nic za sobą, a tém mniej jeszcze przed sobą; i nic prócz nędzy nie mógłbym jój ofiarować, przypuszczając nawet coś nieprawdopodobnego, to jest, że i jój serce odpowiedziałyby mojemu.

Nasza rozmowa ożywiła się coraz bardziej. Podczaszy był najznakomitszym obywatelem w tych stronach Płockiego; wszyscy go poważali i cenili za jego prawość i życie bez skazy, za ciche cnoty domowe i obywatelskie. Był to przedmiot do rozmowy dla mnie najmilszy; rozwiązały mi się usta, tém więcej, że i Helena była nim żywo zajęta. Nakoniec w ciągu rozmowy zapytała mnie, jakie pokrewieństwo łączyło mnie z tym zacnym człowiekiem?

— Nie mam wcale krewnych — odpowiedziałem jój — pan podczaszy jest moim prawdziwym dobroczyńcą; ale nie krewnym. Jemu to wszystko winienem: on był mi ojcem, i dzięki wychowaniu, które pod jego czułą opieką odebrałem, mogę już teraz puścić się w świat i szukać sobie losu. Bolesne będzie dla mnie rozstanie się z nim, ale cóż czynić? Zachowam w głębi serca szacunek, wdzięczność, przywiązanie i wszystkie najświętsze uczucia dla czcigodnego starca, którego już zapewne nigdy nie zobaczę.

— To pan opuszczasz te strony? — zapytała Helena, smutnie spojrzawszy na mnie.

— Muszę opuścić, bo czas pomyśleć o przyszłości.

— Żywo wyobrażam sobie żal pański, w chwili pożegnania się z tym szlachetnym obywatelem, z jego opiekuńczym dachem, a nawet z ustroiem, na które pan przez lat tyle spoglądałeś..

Te kilka słów, wyrzeczonych tonem prostym szczerego współczucia wykazywały serce szlachetne i rozmowa przybierała kierunek taki, że lada chwila moje postanowienie panowania nad sobą mogło stopnieć, jak śnieg wiosenny topnieje pod ciepłem słońca w godzinie południa. Nie wiedząc jak się bronić od pokusy biorącej górę nad moją wolą, poprosiłem iżby mi panna Helena cokolwiek zaśpiewała.

— W domu tak możnym jak pana podczaszego, najnowsze kompozycje muzyczne, o których ja nawet nie słyszałam, muszą być znane — odpowiedziała. — Cóż ja panu zaśpiewam? Nie mamy nawet fortepianu: jest tylko arfa. Prócz tego o moim śpiewie nie trzymam wcale wysoko. Ale ponieważ pan żądasz, nie będę się drożyć. Cóż więc mam zaśpiewać?

— Wszystko, cokolwiek pani zechcesz.

Helena wzięła arfę i po kilku akordach zaśpiewała arję z „Precyoyz:”

„Ty ożywasz te pustynie,
Z tobą w przyszłość patrzeć śmiem:
I ten księżyc w tój godzinie
Lśni się także w oku twém.”

Wynaleziony przezemnie środek obrony był jeszcze niebezpieczniejszy od samęj rozmowy. Nie umiem nawet wysłowić wrażenia i niepokoju, które ten czuły śpiew zaniósł aż do głębi méj duszy. Zastłuchany i oczarowany słuchałem jeszcze, chociaż już ona śpiewać przestała, kiedy tentent konia dał się słyszeć na dziedzińcu.

— To mój ojciec—rzekła młodziutka piękność.

W chwilę potem wszedł do pokoju szlachcic dosyć dobrej tuszy, wysokiego wzrostu, w szaraczkowej kapocie, przepasany jedwabnym pasem. Praca, skrzętność i jakaś mieszanina otwartości z przebiegłością koniarza, odbijały swoje piętno na jego ogorzałej, pięćdziesięcioletniej twarzy.

— Pan Henryk Pokrzywnicki, mój ojczel! — rzekła córka przedstawiając mnie.

— Pan Pokrzywnicki! — powtórzył ojciec! — Miło mi powitać pana.

Wyłuszczyłem mu powód mojego przybycia.

— Więc to pan podczaszy raczył zwrócić się do mnie? Wdzięczny mu jestem za ten honor i na moję uczciwość, nikt nie powie, żem zawiódł jego zaufanie i złe lub narowiste konie żebym mu miał sprzedać: to się bynajmniej po mnie nie pokaże, tak jakem Stefan Dąbski... Ale pozwól pan, iżbym kazał je z pola przypędzić... to kilkaset kroków ztąd. Wybierzesz pan jakie się spodobają. Nie będą to konie rasowe, jak np. wierzchowiec pański... ale zdrowe, młode i mocne, do robót gospodarskich jedyne. Lecz cóż to? — dodał, zwracając się do swojej jędynaczki z wyrzutem, w którym przebijała się czułość. — Cóżto moja dziewczeczko? Nie kazałaś, jak widzę, podać naszemu miłemu gościowi żadnej przekąski? Przejechał się dwie mile konno: czy myślisz, że młodzi żyją powietrzem? A! moja Helciu, każno co prędzej podać wódeczki gdańskiej, pierników, wędlin, chleba i masła. Nic tak dalece młodym nie szkodzi jak czczość. Kiedym był w wieku pana Pokrzywnickiego, to przejechawszy się dwie mile, zjadłbym był ćwiartkę baraniny...

— Przepraszam, mój ojczel! ale pan Pokrzywnicki wymówił się od śniadania...

— To każ-że natychmiast podawać obiad!

Siedliśmy do stołu. Pan Dąbski zachęcał mnie do jedzenia słowy pełnemi serdeczności, a gdy to poskutkowało tylko w naturalnej mojego apetytu skali, zagrzewał także przykładem. Pocziwy szlachcic przechował jak kosztowną pamiątkę zdolności swoich lat młodych. Po obiedzie wyszliśmy na dziedziniec oglądać konie. Nie będę opowiadał naszych targów, powiem tylko, że pan Dąbski sprzedał mi z nich sześć po cenie wcale umiarkowanej, mówiąc:

— Nie mogę marnować towaru mojego, ale też tém bardziej nie wypada mi krzywdzić pana podczaszego, obywatela nad obywatelami i patrona szlachty, dlatego tak tanio sprzedaję: a przytém też,

miły gościu, mam dla pana afekt i szacunek osobliwszy, gdyż widzę, że się znasz na koniach. A teraz litk up, drogi panie!

Pod tym względem pan Dąbski był wielkim rygorystą... i chociaż nie pijałem trunków, musiałem wypić dwie spore szklenice bardzo wytrawnego i starego miodu.

Wieczór nadszedł, księżyc jasno przyświecał, kiedym siadł na koń a zmrok ukrył w swym cieniu wzruszenie moje w chwili pożegnania się z gościnną strzechą w Zaborzu.

Serce Heleny było wolne, i nic więcej nad to wiedzieć nie chciałem. To przeświadczenie wystarczało mi do szczęścia. Mogłem się kochać w jej wspomnieniu, w tym poetycznym obrazie, który się odbił na zawsze w mojej pamięci, mogłem być nawet wyobrażać sobie, że i ona mnie kocha, ale wyznać jej moją miłość, i dla jednej chwili szczęścia, którąby mi to wyznanie przyniosło, obudzić w niej niepokój a może być i długie żale na przyszłość, uważałem za egoizm.

Tymczasem pan podczaszy zadowolony z mojego kupna, zapytał mnie w kilka dni potem, czyby nie można było dostać u pana Dąbskiego koni powozowych?

Bałem się wprawdzie jechać do Zaborza, ale niepodobna było kłamać: odpowiedziałem tedy, że pan Dąbski handlując ciągle końmi, miał parę wcale nieszpetynych szpaków.

— A, mój Henryku! — rzekł podczaszy — kup téż, proszę ciebie, i tę parę szpaków u niego.

Ten pan Dąbski, muszę mu oddać sprawiedliwość, to szlachcic nielada! Nigdy ci konia z wadami nie kupi ani téż sprzeda: a mimo to robi pieniążki, i pełno téż go na wszystkich jarmarkach. Jedź do niego, Henryku, i kup ową parę, jeżeli mnie kochasz!

Musiałem pojechać: i gdym znów przywiązywał konia na dziedzińcu, usłyszałem przez otwarte okna dworu, tenże sam śpiew z Precyozy, z towarzyszeniem arfy, z tą tylko różnicą, że Helena śpiewała ostatnią zwrotkę:

„Nie dosięgły, jak te światy,
Lecz pogodny, jak ich twarz,
Kaząc tracić, słodzisz straty,
Szczęście dajesz w tém, co dasz!”

Serce mi się ścisnęło, na myśl że tego śpiewu nigdy już nie usłyszę. Zatrzymałem się przed gankiem, aby jej nie przerwać, a zarazem ochłonąć z potężnych wrażeń, które mną wstrząsały, i nakoniec wszedłem.

— Pan Pokrzywnicki! — rzekła radośnie, ujrzawszy mnie wchodzącego. — Witam pana.

W jednej chwili, jakby na skinienie laski czarnoksiężkićj uleciały odemnie wszystkie smutki, i przejęty jedynie szczęściem obecnej chwili, zbliżyłem się do niej, i drżąc jak liść, dotknąłem lekko ustami jej białej rączki, którą mi na powitanie podała. Nie zapominajcie, moi

przyjaciele, że mówię o r. 1828, i że w owym czasie panował jeszcze po domach obywateli szlachty, zwyczaj całowania w rękę pań a nawet pańien znajomych.

— Pan nie wiesz wcale—mówiła Helena—jaką mi wyświadczyłeś usługę, chwalać mnie ze śpiewu... mój ojciec sprowadza dla mnie fortepian.

— Jakże się cieszę z tego!—odpowiedziałem—Nie zaniedbasz pani swojego talentu... i będziesz śpiewała, chociaż ja twojego śpiewu już nie usłyszę.

Zapytałem po kilku chwilach o jej ojca.

— Nie ma go w domu: pojechał do Płocka... jestem więc znowu gospodynią domu, i jako taka, proszę pana przyjąć śniadanie, zanim moja ciotka powróci z miasteczka, i usiądziemy do stołu...

— Więc ciocia pani mieszka także u państwa?

— Nie, panie! Moja ciotka mieszka u siebie na drugiej części Zaborza: ale za każdym razem, kiedy mój ojciec wyjeżdża z domu na dni kilka, poczciwa ciocia rozciąga nademną swoją opiekę.

Opowiedziałem Helenie interes w jakim przyjechałem: i dowiedziałem się, że pan Dąbski poprowadził z sobą konie na jarmark do Płocka. Tymczasem ciocię jakiś interes zatrzymał w miasteczku: siedliśmy więc do stołu we dwoje, i po obiedzie wyszliśmy na ganek ocieniony po obu stronach topolami.

Helena zasięgała mojej rady co się tycze nut, które miała sprowadzić z Płocka lub Warszawy, i w zapale rozmowy położyła przy sobie na ławce różę białą, którą w rękę trzymała. Następnie prześliśmy do pokoju. Czułem, że nic już w Zaborzu nie mam do czynienia, że sama przyzwoitość nakazywała mi skrócić odwiedzinę. Mimo to prosiłem jej, iżby mi coś jeszcze i jeszcze śpiewała. Czas upływał z przestraszącą bystrością, każda chwila zbliżała mnie do kresu ostatniego pożegnania: наконец, blady jak trup, z rozpaczą w sercu powstałem, i zbliżyłem się do niej.

— Pozwól, pani, iżbym cię na zawsze pożegnał. Bądź zdrowa, szczęśliwa i wesoła! Nigdy nie zapomnę przyjęcia, którego w tém ustroju doznałem!

Nie śmiałem spojrzeć na nią, i w milczeniu jej rękę do ust przycisnąłem.

Wyszedłem na ganek, i mój wzrok nieprzewycięzoną siłą pociągany upadł na różę, która jeszcze na ławce leżała; uchwyciłem ją śpiesznie, zbiegłem na dziedziniec, i tam z rozpacznym zapałem ucałowałem ten kwiat blizki już zwiędnięcia, i również biedny, wątki i znikomy, jak te kilka chwil szczęścia, które już przeżyłem. Idąc w zamysleniu do swojego konia, rzuciłem raz jeszcze wzrokiem na okna dworu. Helena stała w jednym z nich, i dwie łzy płynęły jej po licach.

— „Wróć się” — wołał do mnie jakiś głos wewnętrzny—„wróć się do twojego szczęścia; póki jeszcze pora. Dwa razy w życiu nie będziesz szczęśliwym!”

Pokrzywnicki zamyślił się, jak gdyby chciał przypomnieć sobie wszystkie okoliczności swojego pożegnania.

— I cóż, czyś wrócił, panie Henryku? — zapytał nareszcie Leon.

— Nie — I nigdy już jój potem nie widziałem.

— Smutny twój stoicyzm! — zawołał major. — Szlachetność srozsza od okrucieństwa. Wyobrażam sobie rozpacz, smutki i żale was obojga po takiém rozstaniu się. Taka miłość, to tylko długa męczarnia!

XIII.

W parę tygodni potem, czterej przyjaciele zjechali się znowu w Ciechanach u Leona Zakrzewskiego, i Henryk Pokrzywnicki ciągnął dalej swoje opowiadanie.

— Rozstanie się z panem podczaszym i z Janem wiele mnie strapienia kosztowało.

Czcigodny starzec ujął mnie za głowę, i pobłogostawiwszy jak syna, zalał się łzami. Jan pojechał ze mną aż do Pułtuska, i tam przyrzekłszy sobie nawzajem dozgonną przyjaźń, i częste pisywanie do siebie, rozstaliśmy się nareszcie. Wiedziałem, że go nieraz w Warszawie zobaczę, z powodu interesów ojca, który coraz częściej cierpiąc na nogi, nie mógł wyjeżdżać z domu.

W chwili pożegnania pan podczaszy doręczył mi 6,000 złotych, dowodząc, że taką sumę oszczędził sobie na mojej edukacji, dając w szkołach i uniwersytecie korepetycje i lekcye muzyki.

Z takim funduszem przyjechałem do Warszawy, i wkrótce potem umieściłem się jako dependent przy jednym z adwokatów sądu apelacyjnego.

Pan adwokat, człowiek cierpki, zgryźliwy, nieprzyjemny w obęściu, a przytém nadzwyczaj wymagający, obarczył mnie odrazu pracą, której zaledwie mogłem podołać. Gdy jednak słynął z głębokiej znajomości prawa, postanowiłem sobie znieść wszystko, byleby nabyć praktyki, którą znałem tylko z teoryi, jako magister uniwersytetu.

— Ej! — mawiał on do mnie suchym nosowym tonem, — uważam, że brak panu koniecznych w sądownictwie przymiotów, to jest, zimnej krwi, równowagi ducha i żelaznej wytrwałości: a szkoda, bo masz zdolności. Kiedym był w twoim wieku, nie dla mnie nie znaczyło przesiedzieć nad fascykułami do północy, i wstać o czwartéj rano, ze świeżą myślą i nowym do pracy zapałem. Takim tylko sposobem człowiek rozumny przedłuza kosztowne godziny życia. A ilużto ich potrzeba na zgłębienie zastosowań teoryi do wypadków w życiu zachodzących? Teorya, mój młody kolego, o tyle się tylko przydać może, o ile w pewnych danych, wyjątkowych i wątpliwych okolicznościach rzuca swoje światło na sprawę, która jest przedmiotem roztrząsań prawnika: lecz nie nauczy cię nigdy, jakim sposobem masz się ustrzedz podstępów spółbraci, a tém mniej jeszcze, jak masz sam sidła na nich zastawić. Teorya naucza, że celem wszelkiego prawa jest sprawiedliwość; prak-

tyka zaś mówi, że najsprawiedliwsza w świecie sprawa niema żadnej wagi, jeżeli nie jest w należyte formy prawne ujęta. Taka jest zasada żywa i rzeczywista: i nie dość być magistrem, doktorem lub nawet autorem, iżby się nazwać prawnikiem. Przekonasz się o tём wkrótce, we właściwym czasie; i sam powiesz, że wielcy teoretycy, jak naprzykład: Heinecciusz i Westenberg, uznający sprawiedliwość za podstawę prawoznawstwa, byli to tylko pedanci, nic innego. Obrachuj się jednak z siłami, iżbyś nie ustał w połowie drogi! Bo czułość serca i żywość wyobraźni, to są niebezpieczne towarzyszkki dla kapłana Temidy.

Słuchając tych przestroóg, zaprawionych sarkazmem słowa, spojżenia i uśmiechu, wyobrażałem sobie czasami, że widzę dyabła w bicrecie i todze, czytającego prelekye filozofii prawa.

Mimo to, wziętem na kiel, jak to powiadają, i uzbrowiwszy się w cierpliwość, chciałem wytrwać do końca, to jest, po upływie lat kilku, dojść do stanowiska obrońcy przy jakimś sądzie pokoju. A jednakże jeszcze w uniwersytecie, w końcu drugiego kursu spostrzegłem, żem chybił swoje powołanie: ale żal mi było lat dwóch nauce prawa poświęconych. Mojem powołaniem naturalnem był stan wojskowy. Gdy jednak zostałem prawnikiem, to musiałem zapomnieć, że przebywałem w Warszawie: i stroniąc od wszelkich rozrywek, oddawałem się suchej, zmuśnej i uciążliwej pracy, tak iżby przynajmniej pod względem wytrwałości zadowolnić mojego pryncypała.

Nakoniec po upływie piętnastu miesięcy, tenże oświadczył mi dnia pewnego:

— Widzę, panie Pokrzywnicki, żeś nabrał gustu do prawoznawstwa. Rheum-barbarum tylko z początku wydaje się być gorzkim; ale kto je zażywa codzień, jak mój kolega N*, ten już nie może się od niego odzwyczaić. Widzę przytém z prawdziwą pociechą, że twój pogląd na stosowanie teoryi do praktyki sięga coraz głębiej... Szkoda atoli, że za dużo masz serca, że oburzasz się na rzeczy ściśle prawne, choć niezupełnie słuszne; szkoda, że nie powiesz sobie tego, co ja już lat 40 temu powiedziałem: Stet pro justitia ratio legislatoris ¹⁾. Prawnik powinien żyć samą tylko głową i być obojętnym na wszystko... Ale ty się nie przerobisz, panie Pokrzywnicki, bo taka już twoja natura. Szkoda jednakże, szkoda, bo masz zdolności.

Wkrótce potem mój mecenas wziął do obrony sprawę, którą można było wygrać, lecz która nawet cienia słuszności nie miała za sobą. Chodziło wprawdzie o niewielką sumę, ale wymówiłem się od pisania obrony.

— Panie Pokrzywnicki!—rzekł on do mnie.—Mówiłem ci już nieraz, że twoje serce cię zgubi... Nie dorobisz się nigdy... Wiem, że to sprawa niekoniecznie słuszna, ale prawo za nią przemawia. Podjąłbym się jéj nawet darmo, przez zamiłowanie w adwokaturze: albowiem wygranie takiego procesu, to tryumf dla adwokata... Ale nie

¹⁾ Niech miejsce słuszności zastąpi racya prawodawcy.

chcesz napisać obrony, to ja sam ją zredaguje... Radzę ci wszelako porachować się z twoją czułością i rozważyć dojrzałe, czyś właściwe obrał sobie powołanie?

Te kilka słów w przykry sposób mnie dotknęło i nie bez pewnego wstrętu zacząłem spoglądać na mojego pryncypała. Być może zresztą, nie byłem stworzony na prawnika i myśl o chybném powołaniu przychodziła mi coraz częściej do głowy. W takim stanie były rzeczy, kiedy pewnego dnia na Krakowskiém-Przedmieściu spotkałem jednego z moich koleżków szkolnych, który nawet przez rok był ze mną na wydziale prawnym, ale porzucił następnie uniwersytet i zaciągnął się do wojska. Mundur 2-go pułku ułanów zmienił go bardzo i byłbym go nie poznał, gdyby on nie uchwycił mnie za rękę.

— Henryk!—zawołał, ściskając mnie serdecznie.—Kochany koleżka!

— Tak jest, Edwardzie! I jakże się cieszę, żeśmy się spotkali... Ale wiesz ci od serca. Jesteś już oficerem...

— Tak jest. Miesiąc temu awansowałem na podporucznika po upływie lat sześciu mojej służby... Ale pójdź na moją kwaterę, niedaleko ztąd mieszkam.

Edward jechał na urlop z Lubelskiego, gdzie stała jego dywizya, w okolice Pułtusza do swoich rodziców, u których miał przebyć ze trzy tygodnie.

— Oto już lat sześć zgórą, jak nie widzieliśmy się z sobą—rzekł do mnie, kiedyśmy przyszli.—Ale powiedz mi, czém się trudnisz? Musiałeś skończyć uniwersytet ze stopniem uczonym?

— Skończyłem istotnie, jako magister obojga prawa.

— Żałuję, Henryku, że nie poszedł za twoim przykładem, choć o lat cztery jestem starszy od ciebie.

— Żałujesz?—spytałem z zadziwieniem.

— Tak jest, mój drogi! Służba wojskowa nie przysparza grosza; przeciwnie, bardzo skutecznie dopomaga do wypróżnienia kieszeni i co do mnie, chociaż nie jestem wietrznikiem, obawiam się na seryo, iż-bym mojej schedy na podporucznikostwie nie przejadł. Ale mówię tylko o sobie... nie dając ci odpowiedzi, co porabiasz w Warszawie?

— Jestem od kilkunastu miesięcy dependentem przy adwokacie sądu apelacyjnego, panu K*—odrzekłem.

— Sądząc po tonie twojej odpowiedzi—przemówił znów Edward—rzekłbym, żeś nie bardzo zadowolony z twego położenia?

— Mój drogi Edwardzie! Zapóźno opatrzyłem się, że do sądownictwa nie miałem powołania... zawsze jednak lepiej późno, niż nigdy.

— Czyż chciałbyś porzucić ten zawód?

— Tak jest.

— A jednakże na adwokaturze ludzie robią fortuny.

— Zdarza się to często, ale nie zawsze. Mój pryncypał utrzymuje, że ja nigdy do tych szczęśliwych należeć nie będę: i zaprawdę,

przyznaję mu słuszność, a nawet przemyślam nad tém, jakby naprawić moją omyłkę w wyborze zawodu.

— Jakiż więc zawód sobie wybierzesz?

— Wojskowy.

— Wojskowy?—zapytał Edward i pomyślawszy chwilę, dodał:— Nic zresztą dziwnego... masz tylko 22 lata... Cała karyera przed tobą... Powiedz mi jednak, którą broń sobie wybierzesz? Być może, przez moje stosunki familijne przydałbym ci się na coś? Szef sztabu piechoty jest naszym krewnym i przez niego możemy wiele zrobić, jeżeli zechcesz być w piechocie. Jakże się cieszę, pocciwy koleżko, żeśmy się spotkali...

— Dziękuję ci, Edwardzie! — odpowiedziałem, ściskając go serdecznie za rękę.—Życzyłbym sobie wejść do artylerji, kwatremistrzostwa, albo do korpusu inżynierów; ale poprzednio muszę się przysposobić do egzaminu. Miałem niegdyś pewne zdolności do matematyki, muszę tylko dostać sobie program przedmiotów.

Edward się zamyślił i po kilku chwilach zawołał:

— Stuchaj! Dziś wieczorem u mojego wuja, będzie znakomity profesor matematyki w uniwersytecie warszawskim p. Gar..., ten sam, który jest zarazem rektorem Szkoły politechnicznej... On ci da program, a oraz wskaże drogę, którą w twoich studiach masz postępować, aby się przygotować... Ale poczekaj jeszcze! Wojskowy daleko prędzej bywa przypuszczany do egzaminu aniżeli cywilny... wiesz co, Henryku? wejdź do naszego pułku, a ja już będę w tém, że dowódzca szwadronu, wzięwszy na uwagę twoją chęć kształcenia się w gałęzi inżynierskiej, nie będzie cię obciążał ćwiczeniami wojskowemi nad konieczną potrzebę. Nasi oficerowie, wszyscy bez wyjątku, są to ludzie dobrze wychowani, żyjemy z sobą jak jedna rodzina, do której każdy młody człowiek porządny ma wolny wstęp. Bądź zatem spokojny o dobre przyjęcie! Ja za trzy tygodnie wracać będę z urlopu i pojedziemy razem w Lubelskie.

Podziękowałem szczerze Edwardowi, i przyjąłem jego radę.

Pan Gar., któremu tegoż wieczora przedstawiono mnie, był człowiekiem pełnym serca i nadzwyczaj względnym dla młodzieży. Jego dziwnie jasne poglądy na tę gałąź, w której miałem się kształcić, otworzyły mi oczy, tak iż po przyjeździe Edwarda do Warszawy, mogłem już sam pracować nad sobą.

Takimto sposobem przywdziałem na siebie wkrótce potem mundur z białymi rabatami, który przez dwa lata prawie nosiłem. W rok po mojem wejściu do 2-go pułku ułanów, mogłem już być zdać egzamin do kwatremistrzostwa, ale nie był to czas potemu. Pozostałem więc jako kandydat w tymże pułku, gdzie wszyscy mnie znali. Nakoniec w grudniu 1830 roku, nasz major, którego tu widzicie, objął komendę nad szwadronem, w którym służyłem i wtedy zaczęła się nasza znajomość, zrazu dość daleka, jak między żołnierzem i jego dowódzcą, a następnie bliższa, kiedym został podporucznikiem.

— Więc to owego czasu sięgają stosunki panów? — zapytał Władysław?

— Tak jest. Jednocześnie ukazały się na naszym horyzoncie cztery gwiazdy, znane nam od półtora roku; między nimi zaś jedna pierwszej wielkości, prawdziwe „ognisko Al-debaranu.”

— Zapewne pan Ambroży?—rzekł Władysław.

— Tak jest. Słyszeliście zapewne, że w wojsku naszym struna porządku i subordynacji była należycie wyprężona. Nasz pułk nie stanowił pod tym względem żadnego wyjątku. Dowódca był rygorystą, oficerowie podobnie, sierżanci i wachmistrze na ich obraz i podobieństwo; ale pan Ambroży zostawszy najprzód podoficerem w naszym plutonie, a potem wachmistrem szwadronowym, miał talent nastrojenia altówki na ton jeszcze wyższy. Idea postuszeństwa klasztornego zespoliła się w jego umyśle z ideą karności wojskowej tak harmonijnie, że ścisłość z jaką żołnierze naszego szwadronu odbywali wszelkiego rodzaju służbę, była czémś matematyczném, idealném, i nic nie pozostawiała do życzenia. Oh! pan Ambroży był wachmistrem nad wachmistrzami; i jeżeli zostający dziś pod jego kierunkiem Andrzej, chłopiec kredensowy majora, nie zostanie braciszkiem u Franciszkanów, albo też gemeinem w jakim kroackim pułku piechoty, to najzupełniej chybi swoje powołanie.

(d. c. n).

Konwersya renty francuzkiéj.

NAPISAŁ

Dr. Bronisław Łoziński.

Przed kilku tygodniami niezwykłą sensacyę sprawiła w całym finansowym i politycznym świecie europejskim śmiała operacya wykonana przez francuzkiego ministra skarbu. Niespodzianie wniósł on do parlamentu projekt konwersyi renty pięcioprocentowéj na $4\frac{1}{2}$ procentową, wymógł na izbie pospieszne traktowanie sprawy jako nagłéj, przeparkł swoje wnioski z nieznacznemi tylko ustępstwami i zanim koła interesowane bezpośrednio projektem konwersyjnym mogły dokładnie rozważyć i obliczyć wszystkie szanse sprzedaży lub zatrzymania posiadanej renty pięcioprocentowéj, już znalazły się wobec alternatywy: znieść milcząco zadekretowany uszczerbek lub w myśl prawomocnego dekretu zażądać od skarbu państwa spłacenia imiennéj wartości. Alternatywa ta dla posiadających rentę była przykrą, ale wybór łatwy. Skarb państwa wypłacał tylko wartość imienną, sto za sto, a giełda tymczasem uznała i stałym kursem stwierdziła, że skonwertowana na $4\frac{1}{2}$ % renta, chociaż tylko na lat dziesięć została zabezpieczona od nowéj konwersyi lub spłaty, zawsze jeszcze w porównaniu z innemi walorami, mianowicie z trzyprocentową rentą, warta jest o 9—11 franków ponad 100. Żądać zatem spłaty od skarbu państwa znaczyłoby wobec takiego kursu giełdowego tyle, co skazywać się na stratę dziesiątęj części posiadanego kapitału. To téż z 7 miliardów kapitału pięcioprocentowéj renty zgłoszono do spłaty tylko około 95,000 franków. Chyba jakim żartem lub zakładem wytłómaczyć to można, że nawet tak mała cząstka renty pięcioprocentowéj dostała się skarbowi państwa po imiennéj cenie z widoczną stratą dla właścicieli. Gdyby w narodowym charakterze francuzkim oszczędność i rozumne szanowanie każdéj wartości nie były tak silnie wkorzenione, jak to przeszłość i terażniejszość wykazuje, możnaby chyba jeszcze to przypuszczać, że spłaty owych 95,000 franków zażądali od skarbu państwa zaciekli wrogowie republiki, któ-

rzy dosłownie wzięli wypowiedziane w izbie zdanie Cassagnaca, iż konwersya obecna będzie jednym z ciosów śmiertelnych dla republikańskiego ustroju państwa.

Budżetowy rezultat téj całej operacji jest świetny, bo skarbowi państwa ubywa z ciężarów corocznie 35 milionów. Francuzki minister skarbu oszczędza (wyraz ten trzeba brać w znaczeniu finansowo-administracyjnym), w ten sposób, corocznie więcej, aniżeli wynoszą wszystkie dochody niejednego państewka z osobnym aparatem administracyjnym, wojskowym i dyplomatycznym, oszczędza niemal tyle, ileby mieć pragnął niejedyn minister skarbu w wielkiem państwie, np. w Austrii lub w Węgrzech, aby wprowadzić równowagę budżetową i nie tylko uwolnić siebie wraz z całym gabinetem od corocznie w rozprawie budżetowej powtarzanych narzekañ, wyrzutów, nagan, nawet napaści, lecz od razu ustalić cały system polityczny. Zwłaszcza jeżeliby obecnemu gabinetowi austriackiemu mogła udać się podobna operacya, system ugodowy hr. Taaffego byłby niewzruszenie ustalony wobec wszelkich ataków centralistycznej mniejszości, na którą spada zarzut, że w czasie rządów swoich niedoboru nie usunęła, lecz owszem powiększyła go znacznie.

Żeby od razu podnieść cały blask téj najświetniejszej finansowej operacji francuzkiego rządu republikańskiego, zaznaczyć należy, że wychodzi ona zwycięzko z porównania z historycznymi antecedenjami na tém polu. Od chwili założenia wielkiej księgi długu publicznego we Francyi, téj niezrównanej kreacji rewolucyjnego ministra Cambona (1793), kilkakrotnie już renta francuzka przebywała proces konwersyjny, ale nigdy tak szybko, niejako doraźnie a mimo to z takim natychmiastowym świetnym rezultatem dla budżetu, jak obecnie. Pierwsza konwersya opierała się na ustawie z 30 września 1797, orzekającej, że wszystkie długi państwa mają być spłacone w $\frac{2}{3}$ z równoczesnym wpisaniem $\frac{1}{3}$ (*tiers consolidé*) na zawsze do wielkiej księgi długu publicznego. Wpisanie długu do księgi nie wymagało nadzwyczajnych rzeczy, więc nastąpiło ściśle według ustawy, spłata jednak pozostała przyrzeczeniem niespełnioném. Pierwsze cesarstwo, którego treścią była wojna, wymagająca, jak wiadomo, wszędzie i zawsze trzech rzeczy: pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy, nie mogło myśleć o dopełnieniu zobowiązań przyjętych w spuściźnie po pierwszej republice co do spłaty długów. Napoleon I zostawił po sobie dług państwa w pięcioprocentowej rencie na 63,307,637 franków, za czasów restauracyi, która objęła w spuściźnie po Napoleonie I ogromne ciężary, przybyło 95,938,651 franków renty, za czasów monarchii lipcowej 15,779,016 franków, za czasów drugiej republiki 41,821,020 franków. Do r. 1848 zaciążyło tedy na skarbie państwa w 5-procentowej rencie 216,846,324 franków. Z téj sumy w r. 1825 uległo konwersyi z 5% na 3 i $\frac{1}{2}$ % 31,723,956 franków renty, a później 9,458,358 franków renty umorzono. Napoleon III jeszcze jako prezydent republiki przeprowadził konwersya 175,664,010 franków renty pięcioprocentowej na $\frac{4}{2}$ procentową. Była to operacya bardzo znaczna, ale nie dokonała się tak gład-

ko jak dzisiejsza. Napozór i wtedy wszystko szło łatwo, ale za kulisami walczyły ze sobą intrzygi bankowe i finansowe, które omal nie sparałizowały całego planu konwersyjnego. Zaraz bowiem po ogłoszeniu dekretu konwersyi, renta pięcioprocentowa zaczęła spadać w kursie tak znacznie, że publiczność tłumnie spieszyła do kasy rządowej z żądaniem spłaty kapitału. Rząd mógł się znaleźć w tém przymusowém położeniu, że dla umożliwienia spłaty musiałby być wejść w zobowiązania pieniężne najuciążliwszej natury. Trzeba było koniecznie uczynić to, czego dziś rząd republikański uczynić nie potrzebował i czem właśnie najwięcej zaimponował światu finansowemu, t. j. trzeba było uciec się pod skrzydła opiekuńcze potentatów giełdowych, co zawsze pociąga za sobą pewne ofiary a tém samém uszczupla korzyści zamierzone w operacji konwersyjnej. Nad ówczesną konwersją rozciągnął skrzydła opiekuńcze—oczywiście za dobrą prowizją—Pereire, który umiał wnet podnieść kurs upadającej renty pięcioprocentowej, a tém samém skłonił publiczność do zatrzymania papieru. W dziesięć lat później Napoleon III podjął znowu konwersję pod hasłem takiej unifikacji długu publicznego, o jakiej marzył twórca wielkiej księgi długów, Cambon. W rzeczywistości jednak chodziło wtedy tylko o uzyskanie potrzebnych funduszów bez pożyczki. Niezupełnie powiodła się ta konwersya na rentę trzyprocentową, gdyż grożono tylko przymusowemi środkami bez możności ich zastosowania a publiczność po części poznała, o co właściwie chodzi.

Kiedy już dotknęliśmy historycznej części, wskażemy zarazem genezę objętej obecną konwersją renty pięcioprocentowej. Emisya jęj stanowi jeden z najsmutniejszych momentów w historii Francyi, bo w nięj streszczają się finansowe następstwa wielkiej kampanii przegranej z r. 1870. W czerwcu 1871, po kursie 82,50 a w lipcu 1872 po kursie 84,50 wydano rentę na 346,001,605 franków, z czego do tęj chwili pozostało 339,332,000 franków w posiadaniu jednego miliona właścicieli (prywatnych osób i instytucyi). Suma ta reprezentuje kapitał dłużny 6,786,650,000, t. j. około trzecią część całego obecnego długu publicznego Francyi (20,919,479,000) w rencie trzyprocentowej i w nieskonwertowanej zupełnie za Napoleona III rencie cztero i 4½ procentowej.

Jeżeli tedy rządowi francuzkiemu powiodło się tak gładko, szybko i korzystnie, bo bez najmniejszego ustępstwa prowizyjnego dla sfer giełdowych zniżyć o 1/10 coroczny ciężar procentowy od trzeciej części długu publicznego; jeżeli nadto ofiarą operacji pada właśnie papier przypominający każdemu patryocie okres straszliwej katastrofy i upokorzenia wobec całego świata, to zdawałoby się, że jestto tryumf skończony, dzieło pomnikowe na polu polityki finansowej. A jednak nietylko niemożna tego powiedzieć, żeby poza kołami bezpośrednio dotkniętych właścicieli renty, cały zresztą ogół społeczeństwa francuzkiego przyklasnął serdecznie dokonanej konwersyi, lecz owszem ze wszystkich stron ozwały się głosy nagany lub co gorsza ponure wróżby. Nie mówiąc już o monarchistach różnych odcieni, dla których konwersya była dobrym

środkiem agitacyjnym przeciw republice, jako szukającej ratunku na kłopoty finansowe w uszczupleniu dochodów całemu milionowi właścicieli renty w sposób jeżeli nie wprost bezprawny, to przynajmniej wrzeczono podstępny i nielojalny a tém samém niegodny rządu wielkiego i bogatego kraju, nie mówiąc dalej o kołach giełdowych i finansowych, dla których każdy interes tego rodzaju jest niepopularny lub nawet zdróżny, jeżeli tylko dokonał się bez ich współdziałania i w konsekwencji bez zysku prowizyjnego, jedném słowem nie mówiąc wcale o krytyce tendencyjnie niezycziwój, dyktowanej przez rozmaite partyjne lub osobiste, polityczne lub samolubne motywa, niepodobna zapoznawać faktu, że bez entuzjazmu, owszem z pewnym nawet zaniepokojeniem przyjęta została konwersya pięcioprocentowej renty także i w szerokich kołach republikańskich. Zkąd pochodzi to zaniepokojenie i o ile ono jest uzasadnioném, to okaże się z przedstawienia i rozbioru podnoszonych głównie zarzutów.

O czysto prawnój stronie konwersyi nie będziemy się rozpisywać, bo najpierw najmniej jest ona podnoszona, a powtóre rozstrzygnięta została we Francyi zasadniczo już przy uchwaleniu konwersyi za czasów Napoleona III. Oparto się wtedy na postanowieniach kodeksu Napoleońskiego i uznano, że jak każdemu dłużnikowi, tak i państwu, służy wobec wierzycieli prawo spłacenia długu, co do którego nie zastrzeżono ani pewnej systematycznej terminowej amortyzacji z naprzód ułożonym planem, ani nawet w ogóle nie zobowiązano się do niewypowiadania kapitału w pewnym przeciągu czasu. Jestto najskromniejsza argumentacja, bo ostatecznie wszelkie objekeye upadają wobec faktu, że państwo, stanowiące samo dla siebie cel najwyższy a tém samém rozporządzające mieniem, nawet życiem obywateli, może w danym razie, gdy chodzi o własną egzystencyę, zaapelować do odwiecznej maksymy: *raison d'état* i dla niej pominąć najpoważniejsze skrupuły prawne. Nawet tak modna i popularna dziś teorya o państwie praworządнім (*Rechtsstaat*), doprowadzona, jak każda modna teorya, aż do doktrynerskiej skrupulatności, nie może ostatecznie zanegować tej wyższości *raison d'état* ponad wszystkie inne względy. Państwo konstytucyjne, z swobodami i prawami politycznymi, najściślej zawarowaniami i obwarowaniami, gotowe byłoby pewnie w chwili niebezpieczeństwa dla swojej egzystencji, pod wpływem sytnacji przymusowej, ignorować wszystkie skrupuły prawne, poświęcić nietylko mienie, lecz i życie tysięcy obywateli, zabrać wszystko i podyktować wszelkie możliwe ofiary: jedném słowem postąpić tak, jakby nie miało żadnych granic swojej władzy, a pewnie nikt nie myślałby o środkach prawnych przeciw temu naciskowi. Jakież cel miałyby zresztą środki takie w tym razie, któżby miał rozstrzygać taki spór prawny? Niedobór posunięty do niemożności pokrycia najniezbędniejszych wydatków bez ofiar nadzwyczajnych, to pewnie jedna z najfatalniejszych dla państwa sytnacji, to zatém także tytuł do śmiałego kroku wobec wierzycieli. Czy skarb francuzki znajdował się w takiej sytnacji, to inna kwestya, która wy-

jaśniona zostanie w dalszym wywodzie. Rząd francuzki jednak nawet nie potrzebował tego wykazywać, bo konwersya nie naruszyła żadnych stipulacyi prawnych, bo właściciele renty nie mieli pewnych praw zastrzeżonych, np. powolnej, systematycznej amortyzacyi w pewnym przeciągu czasu. Rząd francuzki oświadczył swoim wierzycielom prosto, że nie może i nie chce płacić im nadal 5%, lecz tylko 4½% i to jedynie z gwarancją na dalszych 10 lat. Że 5% nie odpowiada już stosunkom, że nawet 4½% przewyższa stopę procentową, jaka poddyktowana być może takiemu dłużnikowi, jak skarb publiczny narodu francuzkiego, tego chyba wcale dowodzić nie potrzeba, skoro sam kurs pięcioprocentowej renty (117—120) stwierdził to wymownie. Że zaś niektórzy właściciele renty nie nabywali jej po kursie emisyjnym poniżej *pari*, lecz nawet po 120 i wskutek tego dziś stratę w kapitale ponoszą, to jako dzieło i następstwo spekulacyi giełdowej, nie może wstrzymywać rządu od ulżenia skarbowi ciężaru wygórowanego. Kto spekuluje, ten musi być przygotowany na ewentualną stratę z różnych powodów i w różnej wysokości. Państwo ma przed oczyma głównie kurs emisyjny (82,50 i 84,50), więc nie poczuwa się do żadnej niełojalności, jeżeli płacąc za kapitał ofiarowany mu w chwili katastrofy przeszło dziesięć lat odsetki zawysokie, ofiaruje dziś cenę nominalną, wyższą od emisyjnej, albo dalszy pobór zniżonego procentu z gwarancją na lat 10. Jeżeli stopa procentowa jest tak widocznie wygórowana, jak 5% we Francyi, to rząd nietylko może, lecz nawet jest obowiązany sprowadzić do właściwej miary ciężar publiczny, spadający na ogół obywateli opodatkowanych.

W materyalnym skutku tak dla skarbu państwa jak i dla właścicieli renty pięcioprocentowej, obecna jej konwersya o ½% równa się zupełnie nałożeniu 10% podatku od kuponu. Odmiennosc formy, w jakiej francuzki minister skarbu przynosi ulgę finansom państwa, ma jednak w tym wypadku wielkie, zasadnicze znaczenie. Konwersya zwłaszcza taka, jak najświeższa francuzka, sprawia niezawodnie niemiłą emocyę w szerokiém kole interesowanych obywateli, ale nie rzuca cienia na kredyt państwa, kiedy tymczasem nałożenie podatku raz na zawsze mogłoby zachwiać zaufanie pokładane w rencie i zniżyć na długi czas wartość papierów państwowych w ogóle. Fatalne doświadczenia, jakie w innych państwach zrobiono na tym niezawodnie najprostszym sposobie ulżenia sobie ciężaru, t. j. na opodatkowaniu renty, stanowią przykład odstrasżający. Austryacka renta (stara), opiekująca na 5%, ale obciążona podatkiem kuponowym w wysokości 16%, stoi dziś w kursie (78) niżej, niż trzyprocentowa renta francuzka (79). Do renty austryackiej nie zapalają się obcy kapitaliści, chociaż 4,20% od jej kursowej wartości dzisiejszej równa się 5% od całych 100 złr. z stosunkowo znacznym dodatkiem. Najświeższa emisya pięcioprocentowej, wolnej od podatku renty, która stanowi kreacyę finansową ministra d-ra Dunajewskiego, ma dziś kurs wyższy od ceny emisyjnej, a mimo to nie dosięga nawet 94. Emisya tej ostatniej renty, dokona-

na w czasie ogólnego znizenia stopy procentowej na targach pieniężnych, nałożyła na skarb państwa ciężar 5,5%, a mimo to jeszcze w danych warunkach, mianowicie wobec pewnego zdyskredytowania renty, uchodziła słusznie za szczęśliwą operacją. Na ten stan rzeczy składają się i inne okoliczności; ale jest w tém zawsze i pewien rodzaj pokuty za nieszczęśliwy dawny eksperyment podatkowy.

Przechodzimy do finansowej strony konwersyi, więc na pole, na którym panuje największa sprzeczność zdań. Rząd francuzki ma tutaj silniejsze stanowisko od swoich przeciwników, bo kiedy sam powołać się może na fakta dokonane, mianowicie ten, że bez żadnych ofiar, nawet bez pomocy świata bankowego, zniżył coroczny ciężar skarbu w rencie o 34—35 milionów, przeciwnicy jego faktowi temu przeciwstawić mogą tylko kombinacje i hipotezy, na które tak łatwo odpowiedzieć znaném przysłowiem: że lepsze bywa często wrogiem dobrego. Ale i kombinacje przeciwników konwersyi są tak uzasadnione i tak zrozumiałe nawet dla kół niewtajemniczonych w skomplikowane operacje kredytowe, że niepodobna oprzeć się co najmniej wątpliwości, czy droga dziś obrona przez rząd francuzki była najszczęśliwszą.

Najsłuszniejszym, nawet bezwzględnie słusznym jest zarzut, że dzisiejsza konwersya dokonana została bez głębszego wyrachowania i bez wyższego planu uporządkowania całego długu publicznego, że owszem nosi widoczne cechy dorywczego tylko wyzyskania środka, jaki się nastreczał w téj chwili rządowi, szukającemu ratunku na wyrastający niedobór. Nietylko stan kursów 5% i dawniej 4½ procentowej renty wskazuje, że nawet 4½% nie stanowi dziś we Francyi normalnej miary odsetków od długu publicznego. Sam rząd zaznaczył, że robi dziś tylko początek dalszej konwersyi, bo w projekcie swoim gwarantował właścicielom skonwertowanej renty 4½% na pięć lat, a chociaż izba przedłużyła ten termin o dalszych pięć lat, zawsze gwarancya ta przedstawia się jako ostrzeżenie, że po upływie ustanowionego terminu czeka właścicieli renty dalsze zniżenie pobieranego dotąd dochodu. Niepewność ta stanowi niezaprzeczenie stronę ujemną operacyi, nawet błąd, wpływający szkodliwie na sytuację finansową. Już sama świadomość, że dalsza konwersya za 10 lat nastąpi, wywoływać musi ciągłe fluktuacje w kursie renty przeznaczonéj na ponowną zamianę, a łączność między wszystkimi rodzajami renty na tém polu jest i zawsze musi być tak silna, że na tém ucierpią pewnie i inne papiery publiczne. Gdyby jeszcze właściciele renty mieli przed oczyma tylko to samo ostrzeżenie, że za lat dziesięć poświęcić muszą znowu ½% ze swojego dochodu, to kurs mógłby się ustalić. Ale trwożliwy świat finansowy, snując wątek do pesymistycznych kombinacyi, łączyć będzie z tą tymczasowością stopy procentowej także ponure horoskopy na przyszłość finansowo-polityczną kraju, do czego, jak później wykazemy, sytuacja obecna dostarcza aż nadto wiele punktów oparcia.

Czy był inny sposób konwersyi stanowczej i trwale normującej stopę procentową renty? Że był, to nie ulega wątpliwości; że nie sta-

nowił żadnego arcanum, lecz niejako nasuwał się, to także pewna. Nie mówiąc już o wielu innych rodzajach konwersyi, które dziś krytyka finansowa a posteriori wskazuje, przytoczymy tylko ten, o którym myśleli ciągle i który zalecali zawsze poważni finansisci. Zamiast przeprowadzać dorywczą i połowiczną tylko konwersyę, należało podjąć wielki plan systematycznej konwersyi całej renty na trzyprocentową. Według tego planu państwo miałoby wykupić rentę pięć. i 4½-procentową po kursie giełdowym, ale nie gotówką, lecz rentą trzyprocentową także po kursie giełdowym. Korzyści finansowe takiego ujednostajnienia stopy procentowej były jasne i dałyby się uczuć żywo, a nadto stałoby się w takim razie zadość słusznej aspiracyi narodowej, żeby bogata Francya nie pozostawała tak znacznie wtyle za Anglią, która obecnie myśli nawet o znizeniu stopy procentowej od 3% obli-gów publicznych. Korzyści budżetowe z takiej systematycznej konwersyi byłyby w każdym razie także znaczne. Biorąc za podstawę kurs giełdowy z czasu dokonania obecnej konwersyi (113 za pięcioprocentową i 79 za trzyprocentową rentę), skarb państwa zyskałby na powyższej operacyi corocznie prawie 50 milionów, a więc o 15—16 mil. więcej, aniżeli obecnie zyskuje.

Tak rzecz się przedstawia na podstawie cyfr autentycznych. Zda-wałoby się tedy, że zaniechanie takiego planu racjonalnego jest aktem wielkiej nieudolności. Jakkolwiek jednak konwersyę obecną uważamy za symptom wcale niepokiesający dla Francyi i powody tego zapatrywania poniżej szczegółowo przedstawimy, to jednak trzeba to przyznać, że kombinacya powyższa nie może uchodzić za absolutnie pewną. Osobliwie kwota corocznej oszczędności może być łatwo zakwestyonowana. Niezawodnie kurs trzyprocentowej renty był zawsze stosunkowo wyższy od kursu renty 4½ i pięcioprocentowej. Co do renty pięcioprocentowej już od chwili jej emisji brano w rachubę wcześniejszą lub późniejszą, lecz w każdym razie nieuniknioną konwersyę i to wpływało na znizenie jej kursu. Ale czy powyżej wskazana różnica w kursie (113 i 79) dałaby się była utrzymać także w razie podjęcia planu ogólnej konwersyi, to rzecz wątpliwa. Już sama emisya trzyprocentowej renty w tak znacznej sumie, aby nią pokryty został kilkumiliardowy kapitał renty pięcioprocentowej, musiałaby się była odbić na kursie w sposób niekorzystny. Wprawdzie państwo mogło to ignorować zupełnie i przyjąć kurs poprzedni za podstawę, ale w takim razie dyktując niejako kurs i wykluczając spłatę w gotówce na żądanie właścicieli, stworzyłoby zamiast jednego kilka milionów malkontentów. Wykluczenie zaś spłaty gotówką byłoby koniecznym, raz jako warunek osiągnięcia rzeczywistej oszczędności w budżecie, a powtórne dla uniknięcia interwencyi sfer bankowych, które w takim razie dla siebie reklamować zwykły lwi udział w korzyściach. Co zaś najwięcej odstraszało od podjęcia takiego planu, to fakt, że konwersya tego rodzaju musiałaby pociągnąć za sobą wzrost nominalnej cyfry długu państwa o kilka miliardów. Jestto rzecz naturalna, nie wyma-

gająca bliższego wyjaśnienia, bo według stosunku ceny kursowej za 10 sztuk renty pięcioprocentowej wypadłoby dać tytułem spłaty kursowej 14 sztuk renty trzyprocentowej i jeszcze pozostałaby mała różnica do wyrównania na niekorzyść skarbu. Wzrosłby tedy dług państwa w kapitale niemal o połowę, a gdzie chodzi już o miliardy, tam taki wzrost rzuca cień na stan ekonomiczny kraju. Czy zaś przybytek w kapitale nominalnym byłby dla właścicieli renty tak cennym, żeby dlań łatwiej znieść mieli ubytek w dochodzie corocznym na rzecz państwa, czy tedy taka konwersya na wielką skalę stworzyłaby mniej malkontentów aniżeli dzisiejsza częściowa, na to tylko przypuszczeniami odpowiedzieć można, a na samych przypuszczeniach potępiającego wyroku opierać niepodobna.

Więc konwersya renty francuskiej, która wywołała taką burzę w parlamencie i przez Cassagnaca nazwaną została prognozą blizkiego upadku republiki, została dobrze przeprowadzona i przynosi zaszczyt obecnemu ministrowi skarbu Tirardowi? Tak jest, jeżeli weźnieny tę konwersję jako jeden, odosobniony akt finansowy. Minister Tirard dokonał dzieła gładko i z zupełnym skutkiem, sama konwersya przeprowadzona została tak szczęśliwie, jak rzadko kiedy jaka operacya kredytowa państwa. Ale w uznaniu, jakie się należy dzisiejszemu ministrowi skarbu, nie bierze udziału republikański zarząd skarbu w ogóle, nie bierze udziału ani republika ani jej system finansowy. Co więcej, przeciw temu systemowi i przeciw republice podniosły się zarzuty ciężkie a uzasadnione. Dlaczegoż nie dokonano konwersyi wtedy, kiedy ona była wskazana, przed czterema lub trzema laty? Wtedy kurs dosiگاł pari i żaden właściciel renty nie odważyłby się być szemrać przeciw rządowi za to, że w troskliwości o honor finansowy kraju, zniża do normalnej miary stopę procentową, ofiarowaną wierzycielom w czasie katastrofy wojennej w stosunku anormalnym. Wtedy jeszcze nikt nie poniósłby był uszczerbku w kapitale, kiedy tymczasem dziś wszyscy, którzy nabywali rentę pięcioprocentową po kursie 118—120, widzą się naraz uboższymi i uszczuplonymi w dochodzie. Wtedy finanse francuskie były w stanie rozkwitu, Europa cała podziwiała olbrzymią siłę regeneracyjną Francyi, a republika, której tak wiele na tém zależało, żeby przekonać ludność, iż umie jeszcze lepiej niż cesarstwo stwarzać erę ogólnego dobrobytu, mogła zaimponować wrogom swoim, ująć sobie nawet niechętnych wprowadzając ulgi w podatkach, w stosunku odpowiadającym redukcji ciężaru rentowego. Dlaczegoż więc zwlekano konwersję do chwili, kiedy w skutek całego szeregu illuzyi i opartej na nich rozrzućnej gospodarce, skarbu państwa popadł w niedobór, przez co konwersya nietylko malkontentom bezpośrednio dotkniętym, nietylko samej Francyi, lecz w ogóle światu przedstawiać się musi i rzeczywiście przedstawia się nie jako obmyślone dzieło racjonalnej gospodarki finansowej, lecz jako krok spowodowany koniecznością, nie jako środek ulżenia ciężaru podatkowego, lecz jako ofiara rzucona w otchłań niedoboru dla chwilowej przy-

najmniej pomocy? Te pytania stawia nietylko milion bezpośrednio dotkniętych właścicieli skonwersowanej renty, nietylko monarchiści zawsze zadowoleni z kłopotów republiki, lecz nawet poważne koła polityczne, szczerze oddane republice. Wyrazem niezadowolenia powszechnego stał się w pierwszej zaraz chwili „Journal des debats,” więc organ niepodejrzany pewnie o machinacye na rzecz legitymistów lub bonapartystów. Oto krótki ale dosadny werdykt tego organu: „Konwersya powinna była nastąpić w dniach pogodnych dla skarbu państwa, wśród wyjaśnionej sytuacji finansowej. Nie należało jęj podejmować, dopóki równocześnie nie można było wprowadzić przyrzeczonej ulgi podatkowej dla własności ziemskiej. Minister skarbu zamiast czekać na takie dni pogodne wybrał najgorszą porę. Konwertuje on pięćoprocentową rentę, ażeby 35 milionów rzucić w paszczę budżetu, wynierzył cios na interesowanych właśnie wtedy, gdy oni najwięcej cierpią. W chwili bowiem, gdy właściciele renty nie mogą nic zarobić ani w przemyśle ani w rolnictwie, występuje minister skarbu ze swoim *summum jus*. Nigdy nie postępowano tak nieprzezornie i tak niepolitycznie, nigdy nie korzystano lekkomyślniej z prawa. Operacya ta jest źle obmyślana, źle przygotowana i niepolityczną; może ona zniżyć kurs renty i skłonić do kupowania obcych walarów.”

Ciężkie to oskarżenie nie jest bynajmniej pozbawione podstawy a stanowi ono cios nie dla jednego ministra, nie dla jednego gabinetu nawet, lecz dla całego systemu, dla republiki. Nigdzie bowiem renta nie wnikła tak głęboko w cały ustrój ekonomicznych stosunków społeczeństwa i nie połączyła się tak ściśle z jego gospodarstwem jak we Francyi, gdzie tradycya i zmysł ekonomiczny ludności przysparza rencie właśnie te oszczędności, które stanowią owoc pracy i abnegacyi ogółu. Ma to dobrą stronę, jeżeli gospodarwo państwowe nie popada w błędy, bo renta niejako obudza i podtrzymuje solidaryzowanie interesów jednostek z interesami państwa, z jego dobrem i bezpieczeństwem. Za to jednak biada rządowi lub systemowi, któryby zachwiał zaufanie w rentę jako najpewniejszy i najstosowniejszy środek lokowania oszczędności. Stanie bowiem we Francyi przeciw niemu nie jak gdzieindziej, mniej lub więcej liczne koło kapitalistów par excellence, lecz ogół oszczędzających, masy ludności—jednym słowem, społeczeństwo całe.

To też widok konwersyi dokonanej bez równoczesnej ulgi podatkowej, jedynie dla umniejszenia niedoboru, poruszył już wszystkie koła ludności. Jak w życiu prywatnem człowiek majątny, ale nad stan żyjący i stopniowo popadający w rozstrój finansowy, dotąd zdoła ukryć niedobory i zatrzymać dla siebie kredyt, dopóki nie zdradzi się jakąś dwuznaczną operacyą pieniężną, po czém dopiéro opinia wszystko na jaw wydobywa i wszystko w jaskrawém świetle przedstawia; tak i w państwie bogatém jak Francya, potrzeba było dopiéro dwuznacznej operacyi konwersyjnej, ażeby opinia wyciągnęła na jaw prawdziwy stan finansów. Pokazało się, że jest on jak na Francyą, nadszpedzowanie

fatalny i grozi niebezpieczeństwem, jeżeli wcześniej nie zostaną użyte wszystkie środki zaradcze. Te rewelacye stanowią pierwsze zgubne dla kredytu francuzkiego skutki ostatniej konwersyi. Pomijając wszystkie tendencyjne artykuły o finansach francuzkich podamy tylko krótkie resumé ze znakomitej pracy p. Leroy-Beaulieu w majowym zeszycie „Revue des deux mondes.”

Od nieszczęśliwej wojny z r. 1870 Francya przebyła dwa okresy, jeden (1871—1875) pełen trudności finansowych, ale także i pełen pięknych rezultatów rozumnej i oględnej polityki finansowej, która mimo olbrzymiego ciężaru kontrybucyi wojennej skończyła się nietylko rehabilitacją lecz nawet podniesieniem uroku finansowej potęgi Francyi wobec zagranicy; drugi (1875—1881) pełen wiary w odzyskanie dawniej siły ekonomicznej a zarazem pełen niestety i zbyt śmiałych poroży, któremi zwycięzka po długiej walce wewnętrznej republika zaimponować chciała światu, aby zaćmić czasy cesarstwa. Upojona tryumfem nad monarchistami, republikańska większość parlamentu zaczęła snuć plany gorączkowe, które zmieniające się co chwila gabinety zamiast sprowadzać do roztropnej miary, podtrzymywały a nawet podniecały. Ten drugi okres nazywa publicysta francuzki okresem naiwnej hojności, systematycznej rozrzutności, ambicyi i kaprysów wszelkiego rodzaju. Większości republikańskiej zachciało się stworzyć na poczekaniu armię licznieszą i twierdze silniejsze niż w Niemczech, marynarkę i kolonie równe angielskim, szkoły piękniejsze od szwajcarskich, koleje żelazne tak śmiałe w pomyśle i wykonaniu jak amerykańskie. Nadto większość republikańska miała liczną klientelę, która czekała na jej zwycięstwo, aby upomnieć się o nagrodę. Trzeba było pensyonować starszych urzędników i obciążać skarb państwa emeryturami, aby mianować innych, trzeba było nawet tworzyć nowe posady lub powiększać płace, ażeby zaspokoić głodnych i nienasyconych. Kiedy ciężary tak wyrastać zaczęły, nie pomyślano zaraz o nowych źródłach dochodu. W każdym inném państwie, którego kredyt podniósł się po przebytem przesileniu, przystępowano zaraz do konwersyi dawnych długów, we Francyi zwlekano sześć lat konwersyę, utworowaną już dawno przez same stosunki. Podjęto ją dopiero wtedy, gdy niedobór zaczął wywierać nacisk, niedający się inaczej uchylić. Wylczywszy jeszcze dalszy szereg objawów nieogłędnej i rozrzutnej gospodarki państwowej p. Leroy-Beaulieu mówi, że podobną jest ona do baśni o miliardach oddanych do rozporządzenia człowieka, który po długim niedostatku staje się naraz bogaczem i może popuścić wodze wszelkim zachciankom i wszelkim kaprysom.

W szczegółowej i umotywowanej analizie budżetów z okresu 1875—1883 wykazuje p. Leroy-Beaulieu, że jego zarzuty opierają się na niewzruszonej podstawie cyfr i ich nieubłaganej loice. Ostatni budżet drugiego cesarstwa, które nie grzeszyło pewnie zbytnią oszczędnością, wynosił w wydatkach jeden miliard 621 milionów. W r. 1875 wydatki wzrosły już na sumę 2 miliardów 528 milionów. Wzrost ten znaczny znajduje tłumaczenie w następstwach finansowych kampanii z r. 1870

która przyprawiła Francją o stratę $9\frac{1}{2}$ do 10 miliardów. Wzrosły także znacznie i wszystkie zwyczajne działy wydatków, ale było to poniekąd naturalném następstwem zupełnego przewrotu w stosunkach politycznych i społecznych oraz połączonego z tém przekształcenia całej administracji państwowej. Do pewnego stopnia ciążył wzrost wielu kategorii wydatków zwyczajnych uważa nasz autor za naturalny i wymaga tylko, aby nie wynosił on więcej niż 2% corocznie. Gdyby miara ta była zachowana, budżet na r. 1884 przewyższałby powinien budżet z r. 1875 tylko o 288 milionów, wynosiłby więc razem w wydatkach 2 miliardy 914 milionów. Tymczasem budżet przedłożony przez ministra skarbu Tirarda dosięga już sumy 3 miliardów 103 milionów! A jestto tylko kombinacya ułożona niezawodnie tak, aby ile możności jaknajmniej zastraszać izbę wysokimi cyframi. Można na pewne przypuścić, że trzeba będzie później kredytami dodatkowemi uzupełniać rubrykę wydatków za nisko obliczoną. W ten sposób postępowano już w latach poprzednich i suma kredytów dodatkowych rzadko kiedy nie dosięgała 200 milionów a często przewyższała tę miarę. Niezawodnie budżet na r. 1884 wzrośnie na 3 miliardy 200 milionów, będzie tedy wyższy od budżetu z r. 1869 o jeden miliard 580 milionów a od budżetu na r. 1875 o 600 milionów. Jestto wzrost kolosalny, nie tylko niepraktykowany w żadném inném państwie europejskiém lecz zakrawający już nawet w oczach samych Francuzów, tak przystępnych dla wszelkiej ekstrawagancyi, na coś nadzwyczajnego, niebываłego w świecie. A wszystko to idzie głównie na rachunek okresu (1880—1884), w którym republika zostawszy panią sytuacji, uznała za stosowne zerwać z tradycjami oględnej, wyrachowanej i umiarkowanej polityki Thiersa i MacMahon, szczególnie pierwszego, aby złożyć swe losy w niedoświadczone ręce skrajniejszego odłamu stronnictwa. Stronnictwo panujące chciało oślnić naród francuzki i świat blaskiem nadzwyczajnego rozkwitu ekonomicznego i ogromem fantastycznie zakrojonych robót publicznych, które w projektach Freycineta znalazły swój wyraz zupełny.

Gdyby jeszcze cały ten ciężar pozostawał w stosunku do sił narodu, gdyby rozrzutność tamowała tylko dalszy wzrost dobrobytu, nie naruszając jego podstaw, mogliby Francuzi przynajmniej tém się pozczycić, że imponują światu swoim bogactwem. Ale p. Leroy-Beaulieu stanowczo oświadcza, a różnorodne symptomy z życia społecznego i ekonomicznego Francji co chwila popierają jego twierdzenie, że w ustroju ekonomicznych stosunków dokonywać się zaczyna od pewnego czasu stopniowa zmiana na gorsze. Razem z finansami popada powoli w stan pewnej niemocy lub źle na przyszłość rokującej stagnacyi rolnictwo, przemysł i handel. W latach 1875—1880 dochody państwa przewyższały wydatki preliminarne w sposób dobrze świadczący o stanie życia ekonomicznego. W r. 1881 wykazano jeszcze nadwyżkę ale już wtedy użyto fikcyi rachunkowych, bo przeniesiono do rubryki nadzwyczajnych wydatków nawet takie, które jako stałe wcale tam nie należały, a nadto w dziale dochodów zwyczajnych wykazano pozostałe z lat

poprzednich zapasy kasowe (80 milionów). Bez tój fikcyi rachunkowej już w r. 1881 gospodarstwo państwowe musiałyby się było przyznać do niedoboru. Jednakże na jeden tylko rok zdołano ukryć przed społeczeństwem zjawienie się tego straszego wszędzie ale już z wyjątkiem Francyi w każdym państwie europejskiem cokolwiek ugiaskanego potwora, zjawienie się niedoboru. Niedobór, coś niesłychanego w oczach Francuzów, w r. 1882 nie dał się już ani ukryć ani nawet zamaskować, chociaż i tym razem próbowano oczywiście fikcyami rachunkowymi upiększyć sytuację finansową. Rząd za pomocą tych fikcyi wykazał tylko niedobór 47 milionów a w rzeczywistości, jeżeli się doda wydatki niewłaściwie do nadzwyczajnych zaliczone i potrąci dochody bez podstawy do tój rubryki wpisane, wyrasta on na poważną sumę 167 milionów! To upiększenie sytuacji już oddawna groźnej sprowadziło oczywiście złe następstwo. Zaniast ocknąć się wcześniej i pomyśleć o środkach zaradczych doprowadzono do tego, że budżety na r. 1883 i następny wykazują dalszy rozrost niedoboru. P. Leroy-Beaulieu stawia tegorocznym wynikiem gospodarstwa państwowego smutny horoskop, a że wróżba jego nie wypływa z tendencyjnego założenia lecz z trafnych i trzeźwych poglądów na stan rzeczy, to wykazują wiadomości, jakie znajdujemy w dziennikach teraz, więc w miesiąc po wydrukowaniu zacytowanej rozprawy. W pierwszym kwartale b. r. dochody państwa wynosiły o 5,100,000 franków mniej aniżeli w budżecie preliminowano, a natomiast w rachunku wydatków w tym samym kwartale przez skarb państwa poniesionych okazuje się nadwyżka 3,200,000 franków. W jednym zatem kwartale wynik finansowy przedstawia się o 8,200,000 franków niekorzystniej aniżeli wskazywały kombinacje budżetowe. Równocześnie wyrastają kredyty dodatkowe ponad pierwotne przypuszczenia. Od 1 stycznia do 17 maja b. r. rząd zażądał 28,326,681 franków a parlament przyznał mu 14,947,949 franków. Od 17 maja do 1 czerwca rząd znowu wniósł do parlamentu kredyt dodatkowy w kwocie 6,772,271 franków. I na tém jeszcze nie koniec, bo wyprawy do Tonkinu i Madagaskaru pochłoną znaczne sumy. Wydatki tedy wzrastają bez przerwy ponad budżet a cała tegoroczna oszczędność z konwersyi pięcioprocentowej renty wyniesie tylko 11,512,086 franków. Te cyfry stanowczo popierają wszystkie pesymistyczne poglądy p. Leroy-Beaulieu. Jeden z poważnych i pewnie nieuprzedzonych organów francuzkich, bez ogródek odsłania dziś Francuzom całą groźbę finansowego położenia temi słowy: Minęły już czasy, kiedy nadwyżka w dochodach wzrastała w różnej mierze z aspiracyami parlamentu a rząd potrzebował tylko sięgnąć po rezerwę finansową z lat poprzednich, aby dogodzić wszelkim fantazyom. Nadeszła chwila refleksyi. Od r. 1877, który rozpoczyna krótki okres nadwyżek corocznych, myślano tylko o tém, na co wydać należy te nadwyżki. Dzisiaj przychodzi kolej na inne przeciwne zadanie.

Gdyby przynajmniej w okresie rozkwitu finansowego rząd pamiętał był o umarzaniu długu publicznego. Od wojny aż do tój chwili

umorzono jednak razem tylko około dwu miliardów, co stanowi w głównej części zastęgę roztropnego systemu i trafnych dyspozycji finansowych Thiersa. Następcy Thiersa nie wstąpili w jego ślady, lecz przeciwnie, osłabili cały efekt dokonanych amortyzacji nadzwyczajném podniesieniem sumy uciążliwego długu bieżącego.

Równocześnie z nadzwyczajnym wzrostem kredytów dodatkowych i przekroczeń w rubryce wydatków, ustały w r. 1882 przewyżki w rubryce dochodów, wynoszące w poprzednich latach po kilkadziesiąt milionów. P. Leroy Beaulieu nie widzi podstawy do przypuszczenia, że jest to tylko symptom przemijający i że niebawem rozpocznie się napowrót okres nadwyżek. Z pesymizmu swojego autor tłómaczy się bardzo racjonalnie. Dochody państwa z podatków wzrastają z trzech przyczyn, mianowicie: wskutek wzrostu ludności, rozbudzenia ruchu przemysłowego i handlowego, wreszcie wskutek podniesienia się dobrobytu ogólnego. Pierwszy zaraz warunek nie dopisuje stanowczo, bo statystyka wykazuje, że ludność Francji wzrasta w stosunku zatrważająco małym ($\frac{1}{4}\%$ rocznie) w porównaniu z krajami sąsiednimi. Gospodarskie stosunki także nie wróżą skarbowi państwa wzrostu dochodów. Rolnictwo popadło w pewien stan chronicznej niemocy, na co złożyły się oprócz klęsk elementarnych i szeregu lat nieurodzajnych, także wzrastający brak robotnika, niebezpieczna konkurencya zagranicznego a licha cena rodzimego produktu. Rolnicy francuzcy, odznaczający się zawsze punktualnością w opłaceniu podatków z rozmaitemi dodatkami, od pewnego czasu popadać zaczynają w coraz większą zaległość wobec skarbu państwa. Dotkliwszym od tej zaległości jest ubytek w dochodzie z opłat pośrednich, spowodowany konieczném zaniechaniem lub zawieszeniem wielkich robót publicznych, porozpoczynanych w chwili ogólnej iluzji przez państwo i różne towarzystwa. Zeszłoroczny krach giełdowy w Paryżu rozwiął tę iluzję ogólną, a tém samém podkopał wiele śmiałych przedsięwzięć, z któremi nikt nie liczył, że całe legiony dobrze płatnych robotników, zatém masa konsumentów, przysparzająca skarbowi państwa znaczne dochody w opłatach pośrednich. Z zachwianiem przedsięwzięć i planów, obmyślanych w chwili ogólnego przeceniania sił i potrzeb, ubyły skarbowi państwa nietylko te opłaty pośrednie, lecz także inne niestałe rodzaje dochodów, czerpane z ciągłej fluktuacji interesów. Znaczne zmniejszenie się dochodu ze stempli (w pierwszym kwartale b. r. o 216,000 frank.) stanowi symptom wielce charakterystyczny, a w połączeniu z równoczesnym spadkiem papierów na giełdzie, dosadne upomnienie dla rządu, aby się ocknął z iluzji. Zmysł oszczędności nie osłabł w narodzie francuzkim, kapitały z drobnych oszczędności powstające, wzrastają dalej; ale i tutaj objawiać się już zaczyna depresya wskutek fiasca fantastycznych przedsięwzięć, które pochłonęły już część oszczędności, a oprócz krótkiego złudzenia, nikomu nie przyniosły korzyści; „zrujnowały, jak mówi p. Leroy-Beaulieu, uczestników, nie wzbogaciwszy założycieli—awanturników, rozmitowanych w zbytku i w życiu rozrzu-

tném. W ciągu trzech lub czterech lat wszystkie kapitały zaangażowane w różnych interesach, przybrały wartość nadzwyczajną, której podstawą była rozbudzona fantazyja. Domy, place budowlane, akcje kolejowe, spółki przemysłowe, banki, promesy na najchwiejniejsze projekty, rosły w wartości tak, że nasi ojcowie byliby to uważali za niedorzeczne, tak, że nawet my sami, odzyskawszy większą trzeźwość w sądzie, uważamy już to także za niedorzeczne.

Nawet w dobrém zresztą gospodarstwie złe rachunki stają się czasem źródłem strat, w złém zaś gospodarstwie niejasność rachunków wiedzie wprost do katastrofy, ho uniemożliwia wczesne użycie stosownych środków zaradczych, chociażby to nawet było łatwém. Pan Leroy-Beaulieu wykazuje, że obecny tryb budżetowego gospodarstwa we Francyi przedstawia się jakby zagadka, którą chyba bardzo biegłe oko znawcy rozwikłać zdoła. Niéma poprostu żadnego systematycznego rozdziału między budżetem z lat po sobie następujących, bo rząd stosownie do potrzeby i wyniku gospodarki przenosi dowolnie zapasy pozostałe z jednego roku do następnego budżetu, pokrywa niedobory w jednym dziale wydatków funduszami innego, zaciąga dowolnie pożyczki krótkoterminowe, spłaca je potem bez systemu i nieregularnie i tém doprowadza do anormalnego wzrostu długu bieżącego. W parze z taką dowolnością budżetową idzie zupełne odstąpienie od dawniej, nawet ustawą przepisanej metody wnoszenia rachunków za rok ubiegły do izby w dwa miesiące po ich zamknięciu. Swoją drogą winą spada pod tym względem także i na izbę, która nie tylko nie nagli rządu i nie stara się przywrócić dawnego zwyczaju, lecz nawet nie korzysta z téj informacji, jaką jój przedłożono. Zamknięcie rachunków z r. 1879 otrzymała izba bardzo późno, bo dopiero w czerwcu 1882 r., ale nie przystąpiła dotąd do sprawdzenia. Szkoda, bo pewnie w razie dokładnego badania byłaby już znalazła niejedną przestrożę zbawienną. Co więc, izba nie zatatwiła dotąd zamknięć rachunkowych z lat 1875—1879! Powtarza się więc nieporządek i niejasność finansów z czasów przedrewolucyjnych, t. j. jeden z powodów upadku de l'ancien regime. Cóż dziwnego, że kraj żyje iluzjami i nie widzi groźnych symptomów! Trudno uwierzyć, żeby reprezentacya tak oszczędnego, gospodarnego i wyrachowanego narodu, jak francuzki, postępowała tak niedbale i lekkomyślnie właśnie tam, gdzie się rozstrzygają losy ekonomicznej i finansowej przyszłości kraju. Największa oszczędność społeczeństwa i największe jego wysilenia w produkcji ekonomicznej zmarnowane być muszą w krótkim czasie, jeżeli teraz przynajmniej, gdy niedobór z całą grozą stanął przed oczyma rządu i narodu, nie objawi się refleksya, a z nią, chociażby kosztem walk i przesileni w parlamencie i poza parlamentem, stanowczy zwrot ku tradycjom dobrzej i oszczędnej gospodarki.

Niejasność rachunków umożliwiła, nawet ułatwiła lekkomyślny system zaciągania pożyczek na pokrycie bieżących wydatków. Rząd pożyczał zewsząd na krótki termin, a gdy potem, jak up. w r. 1881,

ogłosił publiczną subskrypcyę, już fundusze uzyskane nie należały do niego, lecz tam, z kąd wzięto pieniądze (do banku, kas oszczędności i t. d.). System ten wrzekomo ma być dlatego praktykowany, aby państwo mogło spokojnie wyczekiwać chwili stosownej do zaciągnięcia stałej pożyczki pod korzystnymi warunkami. Cóż jednak stanie się w takim razie, jeżeliby nagle zachmurzył się horyzont polityczny i spłoszony kapitał odmówił rządowi wszelkiego poparcia? Już dziś potrzebne jest skonsolidowanie pożyczek, pozaciąganych dorywczo w tój lub owój kasie na krótki termin. Dług bieżący bowiem wynosi trzy miliardy, więc cyfrę olbrzymią, niestychaną zaprawdę. W żadnym innym państwie parlament nie pozwoliłby rządowi zabrnąć nieoględnie w takie długi. Z tych trzech miliardów niedawno 1,200 milionów spłacono fikcyjnie w ten sposób, że wydano na powyższą sumę rentę kasom oszczędności, z kąd wzięto gotówkę. A co się stanie, jeżeliby publiczność zaniepokojona, tłumnie zażądała zwrotu swych wkładek? W niektórych kasach oszczędności na prowincyi, zaraz po dokonaniu konwersyi, objawiła już się taka panika i zaledwie zdołano ją zlokalizować. Gdyby się była dalej rozszerzyła, kasy oszczędności nie byłyby podołyły zobowiązaniom swoim, bo co w innej sytuacji zupełnie zabezpiecza ich wypłacalność, t. j. uzyskanie gotówki na zastaw renty posiadanej, to dziś wśród rozbudzonej konwersyą nieufności do renty nie dałoby się skutecznie. Kredyt w banku francuzkim, który służyć powinien jako ostateczna rezerwa na wypadek nagłej potrzeby, wśród katastrofy (np. wojny), także już został wyczerpnięty, bo nietylko rząd podniósł i spotrzebował większą część swojej należitości w rachunku bankowym, lecz nadto pożyczzył niedawno z funduszków bankowych 80 milionów na budowle publiczne.

Wszystkie rewelacye p. Leroy-Beaulieu są poniekąd nowością nawet dla kół nietylko uprawnionych, lecz i powołanych do bliższego peryodycznego wglądania w stosunki i sytuację finansów. Zkądże pochodzi takie ogólne zaślepienie, żeby dopiero konwersya renty, użyta wyłącznie na umniejszenie niedoboru, otworzyła oczy ogółowi? Wydaje się to niepojętém tak samo, jak niepojętém było zaślepienie ogółu co do wojskowej siły Francyi w pamiętnym lipcu 1870 roku, zaślepienie, które ogarniało nawet sztab generalny, nawet dwór cesarski. Nie ma w świecie narodu z jednej strony z temperamentem politycznym tak niesfornym, że wszelkie systemy rządów od wieku całego po kolei ulegać muszą prądowi rewolucyjnemu, z drugiej zaś strony z łatwo-wiernością i skłonnością do złudzeń tak ogólną, że nawet szarlatanerya, byle zręczna i efektowna, podbija i opanowuje wszystkich. Po kilku wojnach zwyciężkich Napoleon III mógł zupełnie zaniedbać się na polu wojskowej organizacyi i dopiero potrzeba było Wörthu, aby się oczy otworzyły społeczeństwu. Po świetnym tryumfie finansowym, jaki stanowiło spłacenie miliardowej kontrbyucyi siłami własnymi kraju i po świetnych rezultatach rozumnej polityki regeneracyjnej Thier-sa, trzeba było dopiero rozstroju finansowego, milionów niedoboru,

miliardów długu bieżącego i chybionej pod względem ekonomicznym konwersyi, żeby społeczeństwo ocknęło się ze snu, do jakiego ukołysały je pierwsze gabinety czysto republikańskie po upadku Mac-Machona a osobiłwie bohater republiki Gambetta, który dziś przedstawiać się już musi nawet wielbicielom swoim, mimo całego pietyzmu dla jego wielkości parlamentarniej, jako nieogłędny a nawet niebystry finansista.

Monarchiści już dawniej ostrzegali, że finanse Francyi popadają w rozstrój, ale nikt w to nie wierzył. Lekceważono tę wrzekomą intrygę a tymczasem sytuacja tak się pogorszyła, że gdy niepopularny książę Napoleon (Jerome) zaczął swój słynny manifest od tego, iż Francya popadła w ciężką niemoc, już wywołał tém pewne wrażenie, nawet pewną refleksyę. Dziś milion właścicieli renty skonwertowanej widząc swój ubytek dochodów, użyty nie na ulgę podatkową lub w inny sposób racjonalnie ekonomiczny, woła głośno ze świadomością, że za nim stoi ogół słuchający: Republika zawiodła skarb państwa nad brzeg przepaści!

A rzeczywiście przepaść otwiera się dziś przed skarbem państwa, bo różne wyprawy wojenne (Tunis, Toukin i t. p.) nieprzysparzające ani armii wawrzynów ani państwowój potędze uroku, wymagają wielkich wydatków, w obec których skarb państwa stoi z niedoborem. Budżet armii jest ciągle kolosalny a zapowiedziane roboty publiczne według programu Freycineta, wymagają miliardów. Jak podołać temu zadaniu?

Powie kto może, że trudności tego rodzaju są niczém w obec katastrofy z roku 1870, w której przecie siła regeneracyjna Francyi święciła tryumf niebywały w świecie. To prawda, że dzisiejszych kłopotów finansowych nawet równać nie można z katastrofą wojenną, ale dla organizmu, który zaledwie co przeżył jedną ciężką chorobę, niebezpieczną staje się już czasem i niedyspozycya, nie groźna wcale sama dla siebie. Któżby zresztą i dziś powątpiewał o sile regeneracyjnej Francyi, ale na to potrzeba przedewszystkiém rządu i parlamentu, któreby jak za czasów Thiersa powiedziały sobie razem, że trzeba rzec się śmiałych aspiracyi a natomiast oszczędzać na każdym kroku. Obecna konwersya renty stanowi na razie kres operacyi, obliczonój na ulżenie budżetu kosztem obywateli. Rząd może być zadowolonym, jeżeli mu społeczeństwo przebaczy, że zyskanych dziś corocznie 35 milionów nie obraca na zniesienie ciężarów publicznych. O nowój konwersyi w takim samym rodzaju, o zaprowadzeniu nowych, lub podwyższeniu dawnych podatków na długo nie ma mowy. Dalszej ulgi dla budżetu szukać już trzeba wyłącznie w poprawieniu systemu gospodarczego. Skończyć się musi przedewszystkiém okres szalonych wydatków na różne eksperymenta około podniesienia i udoskonalenia siły zbrojnej. Dość już tych miliardów, które na to wydano. Skończyć się musi dalej system zbytkowy nie tylko w projektowaniu kolosalnych robót publicznych (kolei nowych, kanałów, portów i t. d.) któ-

rych rentowość jest więcej niż problematyczna, lecz także w komplikowaniu administracji, tworzeniu różnych posad, synekur i t. d. Oszczędność trzeba rozpocząć na każdym polu z wszelkim rygiorem.

Zdawałoby się, że wpadamy w przesadę wysnuwając z konwersyi tak daleko idące wnioski. Prawda, że to wszystko stanowi dopiero horoskop, ale we Francyi nie można niczego lekceważyć, bo w gorącej atmosferze rewolucyjnej, którą kraj ten od wieku już oddycha, każdy powód ogólnego niezadowolenia może mieć znamię zarodu nowych przewrotów. Napoleon III stał u szczytu potęgi, kiedy padł ów fatalny strzał z ręki ks. Piotra Bonapartego na dziennikarza Noira. Zdawało się, że to tylko mały skandal wystarczający bulwarowej publiczności na 24 godzin do emocyi. A jednak był to symptom już bardzo poważnego wzburzenia umysłów, a jednak ten pogrzeb śmiałego dziennikarza stanowił już tylko jedną z owych *journalés* fatalnych, jak Francuzi nazywać zwykli dnie przewrotów peryodycznie od wieku się ponawiających.

Nie o to chodzi, czy Francya jest zdolną do rychłej regeneracyi finansowej, lecz o to, czy ma dość wiary w zdolność republiki do naprawienia złego, czy zaufa dzisiejszym słowom pociechy tego samego systemu rządowego, który przed dziesięciu laty przyrzekał społeczeństwu największy dobrobyt i odwet wojenny, a dziś postawił Francją na stanowisku, z którego nie może podjąć żadnej akcji. Świat się cieszy, że republika nie znalazła sprzymierzeńca i sama nie porwie się do wojny odwetowej. Jakąż to radość sprawiać musi ks. Bismarkowi, że w téj chwili Francya nawet na zizolowane Niemcy nie mogłaby się porwać, bo wycieńczona finansowo, zaledwie podołać jest w stanie kosztom mizernych wypraw do Afryki i t. d. Republika może znaleźć drugiego gospodarza tak oględnego i tak szczęśliwego jak Thiers, ale to jeszcze nie wystarcza. Bez porządku wewnętrznego śmiałe plany gospodarcze do niczego nie doprowadzą, a Francya republikańska znajduje się w stanie zamaskowanej tylko anarchii już od śmierci Gambetty, który nie był wprawdzie dobrym gospodarzem, ale powagą swoją umożliwił istnienie trwalszego cokolwiek i silniejszego na wewnątrz gabinetu. Dawniej malkontentami byli monarchiści, dziś są nimi robotnicy, przemysłowcy, fabrykanci, teraz zaś przyłączyli się do nich już i właściciele renty. A we Francyi właściciele renty nie stanowią garstki, lecz masę, z którą liczyć się trzeba tak samo, jak z przemysłowcami i fabrykantami.

W jedném zdaniu można streścić wszystkie refleksye finansowo-polityczne wywołane konwersją renty. Będzie ona, bo być musi, dla Francyi początkiem zbawiennego ocknięcia się i motorem nowego okresu gospodarczego, opartego na skrzętnej oszczędności i trzeźwym wyrachowaniu, dla republiki jednak obarczonej już takimi grzechami jak zizolowanie polityczne państwa, rozluzowanie karbów porządku wewnętrznego i zaprzepaszczenie zdobyczy Thiersowskiej polityki fi-

nansowój, łatwo może, choć nie musi, stać się ową kroplą, od której kielich się przelewa. Finansowe grzechy rządu przedrewolucyjnego, także niemają rolę odegrały w historyi wielkich przewrotów na schyłku poprzedniego stulecia.

Zwrot ku lepszéj gospodarce państwowej musi nastąpić bezwłocznie, bo już nie sami tylko bonapartyści powtarzają pierwsze wyrazy znanego manifestu księcia Napoleona: *L a F r a n c e l a n g u i t !*

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Uroczystość akademicka: przyjęcie biskupa d'Autin. — „Teką Nieczui.“ — Wystawa rzeźb i obrazów w Salonie. — Realizm w sztuce: Zmarły Manet. — „Męczeństwo Jezusa z Nazaretu“ p. Morot. — „Szubienice Golgoty“ p. Brunet. — „Hold pastuszków w stajence“ p. Lerolle. — „Andromaka“ p. Rocheq rosse. — „Pani Roland pod gilotyną“ p. Royer. — „Rouget de Lisle tworzący marsylianę“ p. Melingue. — „Kościuszek“ p. Poilleux. — „Wygnanie Benedyktynów z Solesmes“ p. Carron. — „Dwie siostry“ p. Giron. — Dwa obrazy z życia wiejskiego ludu p. Bretona. — „Rybaczka z dziećmi“ pani Demond. — Breton. — Obrazy wiejskie pp. Lepage, L'Hermite, Langie i t. d. — Marynarki, pp. Benouf, Butin i innych. — Portrety: Hennera, Carolusa, Duran, Bonnata. — Utwory malarzy polskich: — „Scena Wojenna z XVII w.“ Józefa Brandta. — „Polowanie na lisa,“ „Napad wilków“ Józefa Chełmońskiego. — „Mojżesz“ p. Merwarta. — „Estera“ p. Edwarda Zier. — „Marya Magdalena“ Wiktora Zier. — „Scena w więzieniu“ p. Gersona. — Portrety: pp. Bakałowicza, Pochwalskiego, Krabańskiego. — „Schadzka łowiecka“ p. Piotrowskiego. — Obrazek rodzajowy pana Wierusza Kowalskiego. — Portret profesora D... panny Wisłockiej. — Krajobrazy pp.: Krasnopolskiego, Słomczyńskiego, Gąsowskiego, Karbowskiego. — Portret na porcelanie panny Heleny Duchyńskiej. — Wypukłorzeźba p. Dalou. — Popiersie L. M., przez p. Godebskiego i t. d. — Wspomnienie z lat młodych Renana. — Juljusz Sandeau. — Zabytek archeologiczny: pas z XVI w.

W ciągu dwóch miesięcy od ostatniej kroniki naszej, ważnym wypadkiem w świecie literackim, było przyjęcie do akademii uczonego biskupa d'Autin, księdza Perraud. Nie naszą rzeczą rozstrzygać, co więcej przeważało w tym wyborze, czy jak wyraził się sam biskup, chęć poszanowania tradycji, która wymaga, aby dostojnik kościoła zasiadał w kole akademickim; czyli téż ów jednomyślny wybór stał się konieczną nogrodą za wielkie zasługi położone w dziedzinie literatury. Jakie były te zasługi biskupa d'Autin, wypowiedział obszernie pan Rousset, przyjmujący nowego członka. Nim wykażemy je za tym światłym przewodnikiem, pragniemy w kilku słowach uwydatnić niepospolitą osobistość biskupa. Ma dopióro lat pięćdziesiąt sześć, ale przetrwane trudy

przy wątłym zdrowiu, wycisnęły na obliczu jego piętno głębokiego cierpienia. Mimo słabych sił, nie ustaje biskup w twardej pracy. Diecezja d'Autin położona w wyjątkowo trudnych warunkach: do niej to należą gisernie w Creuzot i zakłady górnicze w Monceaux-les-Mines, olbrzymie aglomeracje robotników. Tu właśnie zwolennicy dynamitu, najusilniej pracują nad przeprowadzeniem swych piekielnych teorii!

Działalność pasterza ma szerokie pole do rozwinięcia się w tych warunkach, ale niebezpieczeństwo grozi mu bezustannie. Przez wzgląd na wątłe jego siły, ofiarowano mu arcybiskupstwo w spokojniejszej części Francji; nie przyjął go jednak, gotów do wszelkich ofiar, woli stać na wyłomie.

Nie pierwszy to raz ksiądz Perraud, spotyka się oko w oko z niebezpieczeństwem; podczas wojny 1870—71 roku odbywał służbę przy ambulansach; z narażeniem życia poświęcał się rannym i chorym.

Tużacze Alzaccy, zarówno jak inni, znaleźli w nim gorliwego opiekuna: to też w dniu 30 czerwca 1874 r., gdy go wyświęcono na biskupa w kościele Ś-go Sulpicyusza, widać było w chórze ponad tłumem powiewający sztandar zielony: godło Erynu.

Z pomiędzy głębokich prac naukowych księdza Perraud, pierwszą była: „Historia Oratoryanów we Francji,” drugą „Studia nad Irlandją współczesną.“ Od dawna już pobożny ten kapłan piastował w sercu ów lud nieszczęśliwy; aby tém lepiej poznać smutną jego dolę, pośpieszył do ziemi Ś-go Patryka, zdeptał ją piędź po piędzi; jako badacz i historyk, skłonił ucho z miłością na jęk ludu, obliczył jego krzywdy. Nie poprzestając na skargach ofiar, zbierał pracowicie po książkach i dziennikach, świadectwa samychże anglików; wszystko roztrząsał i wazył, aż utworzył dzieło wyczerpujące przedmiot, dzieło pierwszorzędnęj doniosłości.

„Dwadzieścia lat ubiegło od téj pory; mówi p. Rousset, Irlandya straszne przechodzi wstrząśnienia, ale smutne ich zarody ściśle zaznaczone w pracy księdza Perraud. Stan polityczny i finansowy, własność ziemska, handel, stan społeczny, emigracja, nędza, wychowanie publiczne, niechęci religijne, słowem te wszystkie problemata, zbadane tu z najściślejszą dokładnością.

„Wiadomo, ciągnie mówca, czem był zbyt długi system własności w Irlandyi. Zrodzony z konfiskaty, niema równego sobie w żadnym kraju ucywilizowanym; to nie prawo ale gwałt: na Wschodzie nawet nie szukać większego barbarzyństwa. Dla małych dzierżawców, żadnej tu niema gwarancji: z dnia na dzień, na pierwszy rozkaz, na skinienie właściciela, wyrzucają ich bez litości.

Oto jeden przykład z pośród wielu, tém wymowniejszy od innych, że wyrok ekspulsyi dotyka nie ludzi, ale Boga. Wielki jeden pan, liberalny protestant, nadał bezpłatnie wiosce katolickiej, kęś ziemi na zbudowanie kapliczki. Wkrótce umiera: dziedzic jego imienia i majątku, lecz daleki od uczuć jego szlachetnych, domaga się prawa własności nad

wszystkiem, nie wyłączając kapliczki zbudowanej kosztem ubogich. Na mocy prawa otrzymuje wyrok, wzywa plebanją o wydanie kaplicy. Pleban stanowczo oświadcza, że nie odda jej dobrowolnie; ustąpi chyba przed gwałtem. Tłumy zbiegają się z bliższych i dalszych nawet parafii; szeryf powołuje siłę zbrojną. Byłoby przyszło do krwawego starcia, gdyby nie wpływ plebanów, którzy słodką wymową ukoili umysły, i zażegnali burzę. Wyrok spełniony został; lud przyjął go z poddaniem. Ksiądz Perraud, kończąc ten smutny obraz, dodał z boleścią: i gdzież jest kraj w Europie, gdzieśmy widzieć mogli podobne rzeczy." Tu p. Rousset dorzuca znaczącą uwagę: „W roku 1862 zadane było to pytanie czytelnikom; pozwólcie mi dziś, odpowiedzieć na nie milczeniem!"

Z Erynu przechodzi p. Rousset na pole Francyi, przesiąkłe krwią, strątowane kopytami koni pruskich. Pokazuje tu niez mordowaną działalność księdza Perraud, i przytacza pełne mądrości słowa jego, nakreślone po wojnie, wobec walki wypowiedzianej, nie ludziom już lecz Bogu. „Zgorzałe wsie powstaną z gruzów, snadno oddać biednym rolnikom rozwalone chaty, złupione sprzęty, woły i pługi, i garść zboża na posiewy, co wnet nowym odkwitnie plonem, ale kto tym duszom odda zatracony skarb wiary, pociechę i dźwignię moralną? Kraj nie nosi na sobie piętna hańby, gdy przemoc zapanowała nad nim...; ale jeśli do tych zewnętrznych plag, spowodowanych gwałtem, dołączymy owe straszliwe plagi wewnętrzne, jak bezbożność, sceptycyzm, smutny nałóg szydzenia z wszelkiego ideału, niewolniczą pogoń za uciechami życia, za zyskiem materyalnymi... Oto niezliczone plagi! oto rany śmiertelne!"

P. Rousset dał nam poznać wielką osobistość biskupa z Autin; zobaczymy teraz mowę nowego akademika, od której rozpoczęła się uroczystość. Idąc za przyjętym zwyczajem, biskup przebiegł życie i prace poprzednika swego, Augusta Barbier, słynnego poety z czasu walk i najpiękniejszej doby romantyzmu.

Barbier młodszy o lat trzy od Wiktora Hugo, urodził się w Paryżu, r. 1805. Ojciec, zawołany prawnik, chciał widzieć syna na tejże samej drodze; nigdy jak mówią, nie czytał ani jednej jego zwrotki, nawet w czasach, gdy te powszechny budziły zapal. Ale surowość ojca łagodził słodki wpływ matki, odpowiedniejszy poetycznemu usposobieniu dziecka: matka ta, wykształcona w szkole Dawida, dzielnie władała piędzlem; onato wcześniej rozbudziła w synu zmysł artystyczny. Do tego wpływu dołączyły się inne. Gdy młodzian ukończył kurs prawa, ojciec umieścił go jako dependenta przy adwokacie Delavigne, rodzonym bracie poety: było to w roku 1828; mesfienianki przebiegały wówczas z ust do ust, i dziwnie zapalały serca. Szczególnym zbiegiem, w biurze adwokata Delavigne, pracowała garstka młodzieży, która miała zaświecić w literaturze. Był tam znany dziś bibliograf de Wailly, Falgueres, rzewny poeta liryczny, Damas Hinard, późniejszy tłumacz Cyda i romanserów hiszpańskich; na posyłki używano młodzieuchnego Ludwika Veuillota. Młodzież ta chodziła do teatru, na sztuki Kazi-

mierza Delavigne, rozprawiła o nowych prądach, objawiających się w literaturze; a gdy wybiła godzina walki, czynny wzięła w niej udział.

Po przewrocie literackim, nastąpił przewrót polityczny. Był to nowy akt tego samego dramatu. Barbier przebywał zdala od Paryża podczas pamiętnych dni lipcowych. Za powrotem, ujrzał ulice najeżone barykadami, trójkolorowe flagi, powiewające z okien, paszcze dział rozwarłe szeroko po placach publicznych; słyszał okrzyk tryumfujących tłumów!... ale krew ledwie że oschła na ulicach Paryża, ujrzał te tłumy cisnące się w progi ministrów, istne sfory gończe, chciwe pastwy po ukończonych łowach. Pierś młodziana zakipiła gniewem na ten widok, wyrzucił z niej setki zwrotek, palących jak lawa wulkanu, ostrych jak bicze, któremi niegdyś Juwenalis chłostał zepsutych i chciwych złota Rzymian. Jamby Barbiera poruszyły głęboko sumienia; wszyscy umieli je na pamięć. Poeta zdobył sławę: w oka mgnieniu stał się popularnym.

Uderza on jak piorun na tych mniemanych przyjaciół ludu, a w rzeczywistości najszkodliwszych jego wrogów, na tych dziennikarzy, którzy „jak psy zanurzają w głąb rany krwawe pazury, rozbudzając złe namiętności w sercach ławowiernych czytelników; uderza silnie na tych powieściopisarzy, co maczając pióro w zgniętym trzęsawisku, roznoszą zarazę na warsztaty i poddasza, i zatruty jad zapuszczają w sumienia wyrobników i młodych robotnic. W wierszu *Desperanza*, Barbier żywo maluje nędzę tych dusz, co odepchnięte od Boga piekielnym apostołstwem sofizmu, rzucają się w odmęt zepsucia i rozpacz.

Jam by Barbiera, jak słusznie uważa biskup Perraud, nie były organem żadnego stronnictwa. Poeta przyklaskuje w nich wszystkiemu, co wielkie, szlachetne, co technie wyższą myślą i szczerym patriotyzmem. Dla niego Francja to nie żadna fakcja polityczna, to matka kochająca wszystkie dzieci swoje, spragniona jedności ich i zgody.

Z pośród zepsutej tłuszczy umie poeta odróżnić prawdziwy lud, przyrosły do warsztatu lub roli, co cicho, bez skargi, podąża drogą swoją: ów lud godzien miłości i powszechnego szacunku. Ten lud tak określa poeta w jednej z pieśni:

O ludu, powątpiewać nigdy nam nie trzeba,
Bo ten lud, bracia moi, to bogata gleba;
To ziemia, co gdy pługiem w skiby ją zorano,
Kłębami świeżej woni wybucha co rano;
Pchana wiecznie do czynu, wciąż myśl twórczą sili,
Wciąż rodzi nowe plony i nie spocznie chwili.
Z niej rośnie dąb, co niebios konarem dosiężę,
Z jej łona wielcy sercem wyrastają męże;
Za krwawy pot oracza, za siebę ofiarną,
Ta ziemia dobroczynne posypnie mu ziarno.

Tłocz na nią zgniły nawóz i cuchnące błoto,
 Wnet bezecny ten żywiol przeistoczy w złoto.
 Lud tym, co go miłują, tchnie w duszę hart nowy,
 On kamieniem węgielnym do wszelkiej budowy;
 Bóg opiera się na nim, kocha go jak dziecię,
 Biada... ach! biada temu, kto lud stopą gniecie!

Biskup Perraud wysoko ocenił poetyczne utwory Barbiera: pokazuje nam go pod włoskiem niebem, gdzie z poetą Briseux przebiega podgórze Lombardyi i brzegi Adryatyku, a smętną pieśnią *Il pianto* wyrzuca z piersi gorzką skargę na losy biednych Włochów.

Ale straszliwszy obraz nędz ludzkich uderzył Barbiera, gdy z krajów słonecznych, gdzie kwitną pomarańcze, pośpieszył na mglistą wyspę, do kraju kartofli i zabójczego dżinu!

Co tam widział poeta? odpowiedź na to daje biskup Perraud:

„Irlandya, z kąd lud emigruje masami, bo umiera tam z głodu; ludność przemysłowa, lecz zbydlęcona, zdziesiątkowana trunkiem, gorszająca sprzeczność między ostateczną nędzą tubylców a bogactwem państwa, w którego posiadłościach słońce nie zachodzi: taki to obraz stanął przed oczyma poety w r. 1837.

„Wobec tych plag społecznych ukazuje on cały stek nędz i boleści ludzkich, uosobiony w nędzarzu, konającym u drzwi nieużytego bogacza, i poruszony głęboko, żali się pieśnią nad tym nowym Łazarzem, któremu cywilizacja nowoczesna pozwala umierać z głodu wobec pysznie zastawionej biesiady.”

Potrąciwszy o tak pałacy przedmiot, mówca wybiega myślą poza obręb Irlandyi; ukazuje na widnokręgu gromadzące się chmury, przesycone gradem i piorunami. Przytaczamy żywotny ustęp z mowy do stojącego akademika:

„Nierówny rozdział dostatków i nędz pomiędzy ludźmi! Bijący w oczy odskok od wyuzdanych zbytków do ostatecznego ubóstwa! Dlaczego tym wszystko, tamtym nic? I któż, jeśli nie jest ślepym lub skamieniałym, nie ważył w głębi trwożliwego sumienia tych przerażających zagadnień? kto nie szukał ich rozwiązania? Dałby Bóg zresztą, aby jedyny tylko kraj w Europie, z wyłączeniem innych, mógł dźwigać na sobie odpowiedzialność za klęski, grożące w kwestyi społecznej? Ależ ona nie nurtuje w samej tylko Anglii: widzimy to widmo i u siebie, stoi przed okiem naszym!

„Zaprawdę ci, którzy cierpią, nie rozwiążą pytania dynamitem; ślepy gniew człowieka nie dokona Bożego dzieła, zwanego sprawiedliwością! Z drugiej znow strony, nie byłoby dzieciństwem unikać takich pytań? Zamykając oczy na niebezpieczeństwo, nie zniszczymy go wcale, a niebaczność samolubów, którzy pragną używać spokojnie wydzielonej im części, nie zapewnia pokoju. Do dzieła więc, bo Łazarz jest u bram naszych: nie ów Łazarz ewangeliczny, co czeka z milczącym poddaniem się na okruczę z ziemskiej biesiady, lub niewysłowionej

nagrody przy uczcie, jaka czeka wybrańców Bożych; ale Łazarz pijany szalem, któremu z duszy wydarto wszelką wiarę i wszelką nadzieję, który świadomy siły swojej, szukać będzie w krwawych utopiach, czego mu dać w żaden sposób nie zdoła sceptycyzm ludzkich systematów!

Co do nas, my uczniowie Chrystusa, spadkobiercy Bożego miłosierdzia dla tłumów, my ich nie przeklinamy; mamy litość nad nimi! Pragnęlibyśmy powołać wszystkich ludzi serca i rozumu do wspólnej pracy z nami, by zażegnać ich ciemnotę i nędzę! My ośmielamy się wyrzec, że gdyby kiedykolwiek świat ucywilizowany chciał zrozumieć dobrze słowo żywota, zawarte w Ewangelii, i dzielny ten balsam przykładał bezustanku do obrzydłych wrzodów, toczących dzisiejsze społeczeństwo, byłoby to samo z dzisiejszym Łazarzem, co było ze wszystkimi ofiarami ucisku, których od ośmnastu wieków kościół spokojnie powołuje do uczy, przysposabiając ich do godnego w niej uczestniczenia."

Przekonania te podzielał w zupełności August Barbier. Biskup przypomina ostatnie dni jego życia, zowiąc je pięknym epilogiem poetycznego zawodu. W początku stycznia r. 1882, kiedy opuszczał Paryż, szukając sił pod słońcem południowej Francji, napisał list do przyjaciela: czyni w nim wyznanie wiary, oznajmia, że pragnie w niej umierać, wreszcie temi zakończy słowa:

„Chrześcianizm jest dla mnie najwyższą prawdą religijną; on tylko zdoła wychować lud i drogą nieomylną poprowadzić ludzkie społeczeństwo."

W pięć tygodni potem Barbier religijnie dokonał żywota. Na chwilę przed śmiercią przestał ostatnie pożegnanie Akademii, wyrzekł imię biskupa z Autin i zalecił go towarzyszom. Do głosów, które przeważały wybór, nowy akademik z chlubą liczy zagrobowy głos Barbiera!

Postać Nieczui, wybornie znana w kraju naszym. Oddawna nie dał on znaku życia, z żalem miłośników literatury, wysnutéj z głębi ducha narodowego; aż tu nagle stary konfederat przypomniął się braciom w Paryżu, wprowadzie nie ad personam, ale ze sfer zaświatowych przysłał nam Tekę swoje, dodając poniżej tytułu: „Poślanie Imci pana Nieczui do Małych Polaków i Czerwonych Rusinów, a które też i Wielcy Polacy na czas sobie czytać mogą dla zbudowania i dla krotchwili."

I kędyż to przebywa pan Nieczuja? Oto w przedsionku niebios, dokąd się nakoniec dobił przebrnąwszy czyściec, gdzie go zatrzymały grzeszki popełnione za życia. Dobrze tam panu Nieczui, bo jest pomiędzy swymi, i to wśród mężów wielkiej mądrości i wielkiego serca, których warto posłuchać. Raz poraz duchy błogosławione spuszczają się tu z wyższych warstw, aby z braćmi porozmawiać o sprawach ziemskich. „Każdy przedstawia się tu jako był w najważniejszej chwili swego życia, więc biskupi wioletach, żołnierze w mundurach, pan

Joachim Lelewel w kaszkieciuku, w bluzie i w szaraczkowym płaszczuku, a zawsze z książeczką pod pachą." Imci pan Nieczuja w swym ku-braczkuz konfederackim. Nad wszystkimi króluz książę biskup krawkowski, otoczony starszyzną; są tam bracia Załuscy, są bracia Potoccy: Ignacy i Stanisław, są i bracia Śniadeccy, jest i podkanclerzy Hugo Kołłątaj; a z poetów: kasztelan Wężyk w złotych okularach i stary Ursyn, i wieszcy Mickiewicz. Ten ostatni w wielkiem jest zachowaniu u błogostawionych i Świętych Pańskich, bo w złej i w dobrej doli zacności swęj nie skaził, a zawsze wielkiem sercem miłował ludzi, co tu z woli Najwyższego bardzo wysoko się pisze.

Duchy te, rozwiązane z więzów ciała, nie czują już osobistych dolegliwości; nie pękły przecież ogniwa, łączące je z ziemią rodzinną. Czują one z rozkoszą woń ziół nadwiślańskich, co z rosą napływa w te wyżyny; cieszą się widokiem ziarn, kiełkujących z zacnego ich posiewu; ale niestety! i w przedzionku nieba jest jeszcze jakieś ale! Czasami zaleci ich niemity swąd od ziemi, czasami z czeluści piekielnych dobieży jakiś łoskot, gdy Jarosz Bejła wykrzykuje z tryumfem, że stronnictwo, które wyniańczył, poszło od niego jeszcze dalej!

Ten to właśnie swąd od ziemi, te okrzyki tryumfalne Bejły sprawiły, że Imci pan Nieczuja pochwycił za pióro i wziął się do pisania. Że jednak pióro nie bywało nigdy jego rzemiosłem, rad był znaleźć kogo z przednich pisarzy polskich, aby go w tém wyręczył.

Daléjże więc z projektem swoim do Mickiewicza: pokłonił się z pokorą, przedstawił swoję prośbę.

— A dajże mi waszmość święty pokój z pisaniem—odrzecze Mickiewicz—alboż to nie wiesz, jak mnie znów sponiewierano w Warszawie za to, com pisał na ziemi? Jeszczeż mi im pisma posyłać z nieba, aby się bakafarze nad nimi wydziwiali ku ucieszeniu kogoś? Pisz waść sam jak umiesz, a jak mądrze i zacnie napiszesz, to i tak przeczytają.

Na to dictum acerbum biédny Nieczuja odszedł jak zmyty. Niebrak ci tu mężów i świeckich i duchownych, co dzielnie umieli rąbać piórem; ale u kogóż tu próbować szczęścia? Wtém zabięży mu drogę książę podkanclerzy; nuż do niego po radę.

— A toż to waść chyba oszalał — odrzecze Kołłątaj — nam się dać korygować, którzyśmy za Stanisława Augusta albo za Księztwa Warszawskiego pisali. Czyż to waść nie wiesz, że to my właśnie, jakęśmy się wzięli do polerowania języka, takeśmy i barwę narodową zeń starli, a niebawem bylibyśmy i ducha narodowego zeń wypolerowali. Na szczęście przyszli po nas pisarze smorgońskiej szkoły, jak ich stary Koźmian nazywał i język nasz, a jeszcze i coś więcéj uratowali! Za waszych czasów, język był barbarzyńską łaciną dużo skażony, ale żyły w nim jeszcze lepszych wieków tradycye i żywo tkwił duch narodowy. Pisz wasze tak, jakęś rozmawiał z sąsiady i po konfederackich perorował obozach, a na tém i to jeszcze zarobisz, że cię każdy pacholek zrozumie, o co téż głównie dziś chodzi.

Kasztelan Wężyk przysłuchiwał się pilnie: stary krakowianin czuł dobrze, co dało Nieczui pobudkę do pisania. Dreszcz przebiegł mu po żyłach.

— Uważ tylko sobie — rzekł — że jeśli pójdziesz za radą księdza Kołłątaja, toś gotów pamflet napisać!

— Otóż mi racya! — zawoła Nieczuja — a czyto jegomość nie wiesz, że każdy utwór sztuki, którego zamiarem jest wypowiedzieć prawdy polityczne, albo społeczne dla żyjących pokoleń, jest pamfletem? Ażaliż to „Komedya Boska” i „Nieboska,” nie były pamfletami?

I owóż nowe spory: ten prawi tak, a ten opak, a niemasz dwóch którzyby się od siebie nie różnili choćby małym odcieniem, a którzy się już zgodzili z sobą, to im to tak dziwno, że sami temu nie wierzą! Rychołto jednak powrócił spokój, boć tu wszyscy sami i z wątpliwości ziemskich oczyszczeni, wszyscy mają grunt jeden pod stopami.

— Nie pisać trzeba waści, ale gromić — rzecze Kołłątaj — ale jakże to chcesz jegomość zapatrywać się na rzeczy, czy tak jak je dziś wszyscy widzimy, czy téż tak jak je widziałeś za życia?

— Chowaj mnie Boże — odpowie Nieczuja — obym czynności pokoleń dzisiejszych, miał mierzyć łokciem naszych czasów zamierzonych, ale są prawdy i prawa, które stanowią duszę narodu, a te są niezmiennie i wieczne.

— Pal Tadeuszkę jak do jasnej świecy! — zawołał Mickiewicz, patrząc znacząco oko w oko Nieczui.

Poczem cisza zaległa przestrzeń, jak gdyby makiem zasiał: nie było już opozycyi.

Takto powstały listy imci pana Nieczui. Jest ich sześć: pierwszy nosi datę 1869 r., ostatni pisany w roku bieżącym. Co się w nich mieści, trudnoby to określić w kilku słowach, szeroki zaś rozbiór przechodzi nasze ramy. Powiedzmy tylko, że jak wyrzekł Hugo Kołłątaj, w języku Nieczui drga starodawne tętno, drogi zabytek z epoki Zygmuntofskiej, zatracone pod heblem pseudo-klasyków, którzy poprzedzili „szkołę smorgońską!” Werwa imci pana Nieczui niezrównana, rzuca on śmiało prawdę dla zbudowania małych i wielkich Polaków, jak to zapowiedział w tytule, hojnie téż szafuje żartami dla krotochwili; ale czy konfederat nie przepieprzył czasami? czy słuszna niechęć ku jednym, nie pobudziła go do zbyt ostrych sądów nad drugimi? Czy trzymał się zawsze w obrębie, którego przekraczać się nie godzi? Nie dając treści książki, nie możemy wdawać się w polemikę, poprzestajemy tylko na zastrzeżeniu.

Aby dać próbkę języka i animuszu Nieczui przytaczamy w treści, ustęp z trzeciego listu.

„Już téż świtać zaczęło i słyhać było chóry aniołów, śpiewających pieśni poranne. Właśnie to czas, kiedy do wrót niebieskich, dobijają się dusze pobożne, które się chcą dostać do nieba. Ścisk tam zawsze jest wielki, bo wielu jest powołanych, a nie każdy wybrany. Modły tam, jęki i piski takie, jakoby na jakim odpuszc, gdzie wszys-

cy się cisną do wielkiego ołtarza, choćby też mieli i zebra połamać innym nabożnym. Czasami prześlizgnie się tu jakiś niepowołany, ale jak się tu raz dostanie, to już mu nie mówią, chyba żeby do jakiegoś konfraterni należał, która tu interdyktem obłożona, albo żeby tutaj coś zbroił jakimi grzesznymi myślami. Wtedy zaraz na ślizgawicę. A ślizgawicą jest to bardzo stroma pochyłość góry, przedstawiająca jakoby szeroki gościniec, po obu stronach sybirskimi porośnięty drzewami, na których śnieg leży; ale gościniec sam cały lodem pokryty, gładkim jak szkło a ślizgim jak skóra piskorza. Kto tam padnie, jedzie na dół jak koleją żelazną. Jest téj ślizgawicy mila angielska, a na końcu jéj już się kłębią dymy czyścówce.

Imci pan Pasek, czasem trochę się niecierpliwi, że nie ma tu wojny, choćby też dla rozrywki. I mnie téż tęskno nieraz, bo kiedy się całe życie było żołnierzem, to ten wieczny spokój cięży na sercu, zwłaszcza że się starości tutaj nie czuje, bo duch się odmłodził. Więc my sobie codziennie do owych wrót niebieskich chodzimy, bo tam przeciw jest ruchu cokolwiek. Często téż i kilku Polaków się tam znajdzie, więc nam opowiadają nowiny, a my ich prowadzimy przed naszą starszyzną, gdzie są zawsze serdecznie przyjęci.

Owóz jednego poranku, jakiś Polak z tłumu wyskoczył i stanął jak wryty przed nami. Zrazu widok jego bardzo nas ucieszył, bo był po polsku ubrany, chociaż cokolwiek z cudacka. Kontusz na nim czarny sukienny, żupanik lamowany, pas nowy, hajdawery szerokie i długie, buty czarne, karabela tandetna, guzy ni w pięć ni w dziewięć, a do tego kołpak na łbie jeszcze i z kitą, coby nią można i alkierz zamieść. Jakoś nam to było nie do smaku. Tymczasem szlachcic stoi przed nami, fizyognomia mu się przeciągnęła, oczy wytrzeszczył na nas i na naszych, co stali za nami, jakby się nas przestraszył. Widząc to Pasek, przysunął się do mnie, a że trochę mniejszy, więc stanął na jednéj nodze a drugą wyciągnął, lewą ręką wąsa podkręcił, gębę rozdziawił od ucha do ucha i lewe oko przymrużył. Widzę, że gdzieś proch wietrzy, ale nie wiem jeszcze o co chodzi, aż mi coś poszeptnie do ucha.

Rzeknę ja wtedy do szlachcica:

— Pochwalony!—a on na to.

— Upadam do nóg.

— A z kądże Pan Bóg prowadzi?

— Ja z pod Krakowa.

— Zapewne senator?

— Nie.

— A czegoż waść włożył kołpak soboli na głowę?

— Bo u nas taka moda.

— Panie bracie, takiéj mody nikt u nas w Polsce nie widział.

Kołpak soboli tylko senatorowi przystoi, albo grodzkiemu staroście. A choćbyś był podkomorzym, to jeszcze ci aksamitna konfederatka będzie bardzo do twarzy. Chyba żeś tam kiedy służywał wojskowo, to

możesz się ubrać w kołpaczek rysy, ale téż wtedy i burkę na siebie zawieszisz. Nuż tedy jeszcze kontusz do sobolego kołpaka, to właśnie jak ów chodaczkowy szlachcic naszego czasu, co jedną nogą w butcie, a drugą w łapciach chodzi. Kołpak tylko z delią idzie w parze, a delia z żupanem. Kto to tam u was te mody wymyśla?

Tedy on przytnie mi:

— Dziękuję za naukę.

Więc tedy ja do niego:

— A czegoż to waść taki przestraszony?

— Bo nie wiem w jakiej się znajduję kompanii.

Tu Pasek w śmiech, a jako to zawsze jest swawolny, rzecze do mnie:

— Ej! panie bracie, dajmy chyba drapaka, bo nas ten szlachcic pozjada.

A wtedy jużemy stanęli przed księdzem biskupem, który witał przybysza z miłym uśmiechem, mówiąc z powagą:

— Rozgość się wasze między nami. Znajdziesz tu ludzi, którzy życiem pobożnym i poświęceniem dla kraju i wiary, zasłużyli sobie na szacunek u swoich współbraci i na łaskę u Boga. Wielu z nich bezwątpienia, służyło tobie za wzór do naśladowania. Żałowałś zapewne i nieraz, że nie było ci dano być ich współczesnym i brać udziału w ich pracach. Tutaj poznasz ich wszystkich i będziesz pędził żywot szczęśliwy i błogi wraz z nimi.

Ale szlachcic nic na to, język jakby mu zamarzył, tylko oczy jeszcze bardziej wytrzeszczył.

Więc ksiądz biskup do niego:

— Moje dziecko, dlaczego milczysz?

— Bo proszę księcia biskupa, myślałem że idę do nieba, a ja tu widzę samych rewolucjonistów przed sobą.

— Rewolucjonistów!—rzecze ksiądz biskup—mój bracie, to nie jest nazwa, która się tym ludziom należy. To ludzie wielkiej zasługi, co nie szczędzili krwi ni majątku dla dobra publicznego. Czyż tacy nie mają już między wami poszanowania?

— Bo proszę księcia biskupa—odpowie szlachcic na to—myśmy się już wyzbyli tych fanaberyi. Co było, tego już nie będzie! Tak mówią najuczciwsi z pomiędzy nas...

— W Imię Ojca i Syna — zawołał ksiądz biskup — to człowiek widzę głupi!

Ależ ledwo wymówił te słowa, wicher tak gwałtowny jak trąba powietrzna, porwał onego ciurę i osadził na brzegu ślizgawicy. A jak tylko tam osiadł, tak zaraz pojechał na swoich hajdawerach jakby na saniach i zniknął w kłębach dymu na dole; kiedy tak jechał, Pasek zawołał za nim:

— A pokłoń się tam waść swoim kolegom!

A kiedy już zniknął, a myśmy jeszcze stali w milczeniu na brzegu, pan Aleksander Fredro dołożył:

Przecież zimą czy latem, czy polem, czy lasem,
Miło i ślizgawicą przejechać się czasem.

W chwili gdy to piszemy, wystawa obrazów w Salonie przyciąga tłumy ciekawych. Dzienniki i przeglądy zapełnione sądami krytyków i sprawozdawców. Sądy to bardzo sprzeczne, równie sprzeczne jak prądy poruszające dziś umysłami. Słuchając jednych rzeczy można, że sztuka malarska stacza się gdzieś w bezdenną przepaść; drudzy tymczasem wygłaszają tryumfalnie że weszła na nowe drogi, i rozwiązana z dawnych pęt szkolnych staje się wreszcie wiernym wyrazem prawdy, apoteozą naturalizmu, tém, jedném słowem, czem jest w literaturze powieść Zoli!

Co do nas, nie podzielamy trwogi jednych, tém mniej radości drugich. Salon tegoroczny zdaniem naszym, ani lepszy ani gorszy od tych, które go poprzedziły; wyznajemy tylko, że ma osobny charakter. Przeważają w nim sceny z życia prostego ludu. Co krok widzimy tu włóścian przy rolniej pracy, wieśniaczki przy domowych zajęciach, otoczone gromadką dzieciak, rybaków w walce z burzliwą falą, robotników w bluzach przy warsztacie; przewaga tych obrazów tak wielka, że jeden z cudzoziemskich mężów stanu, zawołał zwiedzając wystawę:

— Jakto! czyżby Francya nie miała dziś nic, prócz roboczego ludu?

Słowa te podłyszał zdolny krytyk Fourcaud, (gorący wielbiciel Matejki) i tak odpowiada na nie:

— „Tak jest, Francya ma tylko lud roboczy, jak przed stu laty miała tylko mieszczaństwo, jak przed dwustu laty miała tylko markiżów. Zmieniła się postać społeczeństwa. Mistrze pióra i mistrze pędzla, wprowadzają w ruch wagę wiekowego zegaru; duch naśladownictwa pcha innych w ślad za nimi. Moda dopełnia reszty.”

W sam dzień otwarcia Salonu, umarł Manet, główny przewodca szkoły impresyonistów. Biegły to był malarz; równie umiejętnie władał pędzlem jak Zola włada piórem. Ścisła przyjaźń łączyła ich obu; kierunek ich jednaki. Obaj wzięli sobie za cel, malować przedmioty, jak im wpadają w oko, szukać w nich tylko prawdy i to ze strony szpetnej, unikać piękna, widząc w niem antytezę rzeczywistości, jak gdyby rzeczywistość była tylko samą brzydotą, jakby piękno nie szło z nią nigdy w parze! To nowe pojęcie o sztuce, ściśle się łączy z filozoficzną szkołą Schoppenhauera, Hartmana i Leopardego, dla których świat stekiem jest obrzydliwości, a nihilizm koniecznym prawem, dąży bowiem do zniszczenia złego, a tém złem życie we wszystkich swych objawach.

Szkoła Maneta w malarstwie, przeżyła twórcę swego; widzimy to

w Salonie tegorocznym. Szczęściem spostrzegamy też silne przeciwko niej oddziaływanie, i to nie samych tylko idealistów, ale niemniej i realistów, którzy pojmują piękno w rzeczywistości, i umieją oddać je biegłym pędzlem.

Pytamy sami siebie, jaki przyjąć systemat w przedstawieniu tych obrazów, które zdaniem naszym najgodniej reprezentują sztukę francuską. Gdybyśmy pisali dla Paryża, najwłaściwiej byłoby, jak czynią sprawozdawcy tutejsi, przebieść jedno po drugiej trzydzieści sal, składających tak zwany Salon, i w każdej z nich wskazać najcenniejsze utwory. Dla Warszawy, byłby to dziwny chaos! powiedzmy jednak z góry, że jakikolwiek przyjemny podział, będzie on zawsze chaotycznym. Przed dziesiątkiem lat jeszcze, każdy dział, czyto religijny, czy historyczny, czy militarny, czy mytologiczno-symboliczny, czy też rodzajowy, miał oddzielny, właściwy sobie charakter. Dziś te różnice znikły, między graniczne zatarły się zupełnie. Sztuka rodzajowa rozpostarła się szeroko: wszystko nacechowało swoim piętnem. Archaizm wyszedł zupełnie z mody; wszystko dziś powleczone nowoczesnym pokostem, żadna epoka nie przedstawia właściwej sobie fizyognomii. Wszędzie i zawsze postacie te same, tak w czasach biblijnych, jak w brząsku średnich wieków, tak przed stu laty jak i w chwili obecnej. A co dziwniejsza, to że estetycy dzisiejsi, pochwalają te anachronizmy. Wyraz *moderne*, jest u nich najwyższą pochwałą, oznacza bowiem zupełne oderwanie się od tradycyi, według nich stojącej kamieniem na drodze postępu.

Smutno uderza ten nowoczesny realizm w obrazach religijnych, tém smutniej, że niektórzy artyści wzięli sobie wyraźnie za cel, odrzec z przedmiotów świętych wszelki promysek Boży. Zobaczmy oto wielki obraz Ukrzyżowanego Chrystusa. Wykonał go aimé Morot, biegły malarz, nagrodzony przed dwoma laty honorowym medalem. Strona techniczna nie ulega krytyce: trup na krzyżu, oddany z całą prawdą, ale nie szukać w nim Chrystusa! Słusznie też powiedziano, że Morot malując swój obraz, częściej chodził do anatomicznego gabinetu, niżli do kościoła. My dalej jeszcze posuwamy nasz domysł: według nas Morot, ze wstrętem pomija próg kościelny, a jeżeli obrał Chrystusa za przedmiot do obrazu, to chyba wiedziony pyszną myślą, że jednym rzutem pędzla strąci Zbawcę z tych wyżyn, z jakich przyświeca światu od dziewniętnastu wieków. Dla złamania tradycyi, malarz wymyślił tytuł: „Męczeństwo Jezusa z Nazaretu:” dla złamania tradycyi, w miejscu zwykłego krzyża, dał gruby pień nieociosany z kory, tak ciężki że chyba jakiś bajeczny Tytan, mógłby na barkach ponieść go na Golgotę: dla złamania tradycyi, przerzucił fantastycznie lewą rękę przez ramię krzyża, nogi zaś oddalone jedna od drugiej przybit poniżej kostek, drewnianymi kołkami, i grubym przymocował sznurem; wreszcie, dla złamania tradycyi, napis hebrajski, kładziony zwykle ponad głową, umieścił pod nogami.

Inny malarz, Brunet, wystawił podobny przedmiot pod tytułem:

„Szubienice Golgoty.” Na ogromnym płótnie widzimy trzy krzyże, dwa obok siebie, trzeci cokolwiek wysunięty. Dyzmas kona na jednym, zły łotr szamocze się na drugim, w szalonych kontorsyach. Trzeci krzyż wysunięty naprzód, nosi tylko ślady krwi i odbitych już gwoździ. Ciało Chrystusa zdjęte przed chwilą, wyniesiono do grobu. Winszujemy szczerze p. Brunet tak genialnej myśli.

To usunięcie głównej postaci z obrazu, przypomniało nam prawdziwe zdarzenie, zaszło w Konstantynopolu, pomiędzy ziomkami naszymi. Doktor D., chcąc wesprzeć ubogiego malarza, kazał mu pomalować a! fresco ściany pokoju; za przedmiot wybrał przejście Izraelitów przez morze czerwone, malarz chwyta żywo za pędzel; w kilka dni oznajmia że robota skończona.

Doktor idzie obejrzyć dzieło. Z jakim zdziwieniem widzi ściany pociągnięte błękitną farbą; ciemniejsze tylko plamy, rzucone tu i owdzie jak to czynią dzisiejsi impresyoniści, naśladują falujące bałwany.

— A gdzież Faraon, gdzie Egipcyanie? pyta doktor.

— Potonęli wszyscy do jednego, odpowie malarz.

— A gdzież Izraelici?

— Wędrują po pustyni: morze powróciło już do łożyska.

Ten przynajmniej nie odstąpił od tradycji!

Ale powróćmy do Salonu. Najpiękniejszy niewątpliwie z religijnych obrazów pana Lerolle, przedstawia Hołd pastuszków w stajence Betleemskiej. Artysta zerwał wprawdzie z tradycją akademicką, ale w niczem nie obraził biblijnej. Obraz wielkich rozmiarów traktowany bardzo oryginalnie, pokazuje nam wnętrze stajenki, wspartej na kilku ledwie ociosanych belkach. W głębi rozrzucone snopy słomy; na jednym z nich siedzi Marya z Dzieciątkiem, w bliskości Ś-ty Józef. Promień bijący od czoła Matki i Dzieciątka oświeca przestrzeń całą. Dalej na słomie leży krowa. Na pierwszym planie po poprawej ręce stoi przywiązany do żłobu osiołek; po lewej przez otwarte drzwi weszli czterej pastuszkowie: jeden kłęczy, drugi złożył pobożnie ręce, wszyscy z radością witają dzieciątko. Scena to pełna wdzięku, i najwnej prostoty, istna pieśń kolendowa.

Są tu inne jeszcze obrazy, osnute na Piśmie świętym i chrześcijańskich legendach. Cazin, przedstawił Judytę, wcale nie podobną do biblijnej, Renewicz odmalował Ś-go Franciszka z Assiżu, przemawiającego do ptasząt; Ravand Ś-go Kolumbana, apostoła Irlandyi, gdy rzucony w morze przez majtków, pod skrzydły anielskimi przypiływa bezpiecznie do brzegu. Nie brak tym obrazom istotnych zalet, ani oryginalności, żaden z nich jednak stanąć nie może obok stajenki betleemskiej.

Miłośnicy wyższych ideałów, utyskują na upadek malarstwa religijnego we Francyi: obwiniają o to malarzy szukających przedewszystkiem łatwego zysku; obwiniają niemniej publiczność, szukającą w sztuce zabawki i chwilowego wrażenia. Słusznie też utrzymuje p. Clement,

poważny krytyk z Debatów, że potrzeba silnej woli i głębokiego przekonania w malarzach, aby stawić czoło obojętności powszechniej. „Administracya, mówi on, mało dziś zamawia religijnych obrazów, ale dla czegoż bractwa cechowe i zamożne rodziny, nie uprzedzą w tém rządu? Tak czyniono we Florencyi i w Wenecyi, w epoce odrodzenia, i sztuka kwitła otoczona opieką prywatną. Uważamy w téj chwili zwrot do wiary i rozbudzenie uczuć religijnych: niechże wierni dowiodą tego czynem.”

(dok. nast.).

PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

„Do nieznamoméj.” Nowelle z rękopismu znalezionej przepisał Leopold Meyet. Wilno, 1882 roku.

W ostatnich kilku dopiero latach rozgościła się w literaturze naszej ta forma belletrystyczna, którą znaleźliśmy z piśmiennictwa obcego pod nazwą nowelli. Dawniej forma ta ukazywała się u nas tak rzadko, że fenomen zaledwie zwracał uwagę; dziś ukazuje się prawie codziennie po kolumnach czasopism, a ztamtąd przenosi się do książek.

Co jednak rozumieć przez tę formę, czy przez tę nazwę, nie wiem czy wszyscy się zgadzają. Zauważyliśmy nazwą tą zatytułowane rozmaite już to anegdoty, szkice powieściowe, obrazki, fantazje; nawet powieści rozwinięte, tylko krótkiego zakresu. Słowem, zdaje się, jakoby sama najbardziej mechaniczna miara długości, stanowiła zasadę do zatytułowania pewnego utworu tą nazwą generyczną; i jakoby przypadkiem tylko dostała się ona tym utworom, którym się z prawa należy. To ostatnie stosujemy zwłaszcza do tych kilku nowelli, którym „Kuryer Codzienny” przysądził nagrody konkursowe.

Swoboda formy, jakiej słusznie używa dzisiejsze piśmiennictwo nadobne, nie dozwala stawiać wymagań rutynicznych, i według nich przykrawać sądy. Krytyka za jedyny sprawdzian przyjmuje twórczość i oryginalność talentów, a gust ogółu wyrokuje ostatecznie o wartości i popularności formy. Tym sposobem, ta niczém niekrępowana swoboda wytwarza formy noszące na sobie znamiona ducha czasu, własność typową epoki spółczesnej, którą, dowoli, późniejsze upodobania przyswoić będą sobie mogły albo odrzucić. Nowella jest jedną z takich form: nie stworzyła jej szkoła, ale pochop twórczości.

Jednakże, kiedy krytyka znajduje w tych pewnych objawach swobodnego ducha materyał jakościowo i ilościowo dostateczny do poddania go pod obserwację dla wynalezienia prawa żywotności, wtedy, po dokonaniu swych obserwacyi, po rozgatunkowaniu i oddzieleniu prób zeszcłych i zwietrzałych od zjawisk niespożytych, jest ona upo-

ważnioną do wypowiedzenia w czém się mieści ta doskonałość, która nadała jakiejś formie żywotność, popularność, czyli prawo obywatelstwa w sztuce.

Owóż, krytyka zastanawiając się nad tém, jakie miejsce zajmuje nowella w pośród rozmaitych form opowiadawczych w jakie autorowie oblekają swe pomysły, dostrzegła, że nowella nie jest ani anegdotą, ani powieścią. Od pierwszej różni się motywem psychologicznym; od drugiej tém że nie studjuje charakterów sposobem rozwojowym, ale w życiu ludzkim wypatruje jakiś jeden moment ważny i stanowczy, w którym charaktery te, bez poprzedniego (powieściowego) przygotowania dostatecznie o sobie zaświadczyć mogą i w pewnej okazji wprowadzą rozwiązanie ciekawej kwestyi psychologicznej. Nowella więc jest jakoby jedną sceną dramatu, w której bohaterowie skupiają na sobie największe światło, odkrywające ich wewnętrzne pobudki działania, a porównaną być może do tych obrazów malarskich, gdzie szczęśliwe ugrupowanie osób, przy dostatecznie wyrazistych fizyognomiach, tłumaczy decydujące chwile życia i ułatwia psychiczny komentarz.

Nie jest to bynajmniej nasza teoria, ale daje się ona sprawdzić na mistrzach rodzaju, pomiędzy którymi, według powszechnego uznania, pierwszeństwo dziś trzyma Paweł Heyse; za wzorowe zaś jego nowelle uchodzą te właśnie, których charakterystykę oznaczyliśmy wyżej.

Nowelle p. Meyeta, których sześć mieści zbiorek niniejszy, mają za przedmiot jedno i toż samo uczucie, to uczucie, które, według cytaty z Heinego, „aniołowie nazywają rozkoszą niebiańską, szatani bólem piekielnym, a ludzie miłością.” Nie wiem, czy się każdy psycholog zgodzi na tę klasyfikację poety, każdy jednak zgodzić się musi że miłość, obok ambicyi, stanowi najpotężniejszą dźwignię życia ludzkiego, jako bezpośrednio związana z jego utrzymaniem i przedłużeniem. Im wszechstronniej i szlachetniej przedstawia się umysłem samo życie, tém szlachetniejszą i bardziej idealną jest forma miłości, nie szukając już jęj po innych miejscowościach, ale tylko na ziemi.

Autor tego zbioru, miłość wzięwszy za przedmiot, zapomina o pierwszym jęj charakterze, wymienionym przez Heinego, jako „Himmelsfreud;” przedstawia się mu ona raczej w tym charakterze drugim, niby „Höllleid;” właściwie, zaczyna się od pierwszego i powoli stacza się w drugi. Pan Meyet występuje jako malarz tych „uczuć zmarnowanych” (że użyjemy wyrażen jego przedmówki), podobnych do wrzaskliwej nuty strun życia zerwanęj nazawsze, a stanowiących ós niewidzialnego i cichego dramatu, odgadywanego przez unsy bacniejsze i czulsze. Młody autor w swych monografiach miłości jest więc miłosnym pesymistą, podchwytuje te dysharmonie, te fałszywe obietnice Erosa, i stara się w różnych tonach naśladować pęknięcie owęj struny życia, zrywającęj się na zawsze pod ciśnieniem omyłki, zawodu, rozczarowania, albo nawet prostego nieporozumienia.

Dziewica w modrzewiowym dworku (Gasnące lato) przyjaźnie przyjmuje odwiedziny młodzieńca oddanego jej duszą, ale tęskni za jakimś nieobecnym, bo to jest prawdziwy jej duszy wybraniec. Czeka na jego powrót, przybiecany w świeżo odebranych liściach, nie daje stanowczej odpowiedzi na szczere i niewątpliwe zabiegi bliźniego sąsiada, który jednak przedstawia istotną rękojmię szczęścia, bo uczucie wytrwałe i nie dające się łatwo zniechęcić. Lecz jak można przeniewierzyć się nieobecnemu, a wiecznie przytomnemu w duszy! Nareszcie ten sąsiad odczuwa, domyśla się przeskody, za miłość nie pozwala sobie płacić monetą drugorzędnej przychylności i odjeżdża nazawsze. Smutna dziewczyna pozostaje samotną i tylko narcyzom, konwaliom i rododendronom powierza swe dumania o tamtym, któremu zawdzięczała pierwszy drżący uścisk ręki i pierwszą w życiu bezsenność... I tak co-rocześnie, już snadź do końca życia, które autor podpatrzył przy jego „gasnącém lecie.”

W drugim obrazku figuruje „Kleopatra,” jako świeżo bezmienne napisany dramat, stanowiący przedmiot wielkiego zainteresowania się salonów w bieżącym sezonie zimowym, zwłaszcza, gdy go uwieńczyło świetne powodzenie w teatrze. Właśnie tylko co z przedstawienia wróciła bogata rodzina, z orszakiem znajomej młodzieży, nieodzownym przy boku pięknej a zajmującej córki na wydaniu. Jakże dziś rozmazaną jest ta piękna Lola, zwykle światowa, zimna, ironiczna, zepsuta wychowaniem i holdami. Ten utwór poetyczny, pełen gorąca, światła i krwi, ta muzyka uczuć i słowa, ta potęga obrazowania, przejęty ją uwielbieniem dla tajemniczego mistrza arfy pieryjskiej. Jakżeż w jej oczach zmaleli i zbledli ci codzienni jej hołdownicy we frakach przy tym „wielkim nieznanym,” osłoniętym purpurą natchnienia, której nie kupić w żadnym ziemskim magazynie. Słyszy echo tych uniesień i zdań o „Kleopatrze,” wtórujących głosowi Loli, młody nauczyciel domowy, wsunięty w mrok szarego końca, Gustaw, który głęboko ukrywał swą miłość dla pięknej dziedziczki domu, równie jak autorstwo tej pięknej tragedii, napisanej zapewne pod wpływem dramatycznie rozbudzonych uczuć. Ale teraz, teraz właśnie, kiedy ta, która była słońcem jego myśli, która tak uznała, tak wysoko postawiła i do serca wzięła ten owoc twórczości, on ośmielił się stanąć przed nią jako twórca i oświadczyć jej, że mu droższą jest nad życie, nad twórczość, nad sławę. Wszak ona sama usunęła tę granicę, jaka rozdziela nierównych dobrem materyalnym i powierzchownym: dusze się ich porównały. Nastąpiło wyznanie, przy którym „czuła słuchaczka,” dośpiewując w sercu pieśń o Kleopatrze, tak ośmieszyła publicznie poetę, że młody debiutant poczty i miłości zerwawszy się na nogi, umknął z domu na kraj świata.

Śmiech światowego grona, jaki towarzyszył jego ucieczce, „dźwigał mu może przez całe życie pieśnią szatańską,” powiada autor. Dobrze mu tak. Postąpił jak rekrut. Jakaż to nieznanomość serca kobiety! jaki brak taktu w postępowaniu! Miał wszystkie szanse za sobą

do podbicia serca młodej panny rozentuzymowanej i wszystkie przez niezgrabne znalezienie się stracił. Powiedział do niej: tym wielkim, którego szukasz, to ja jestem; miłością zapłać mi za moją wielkość, Mniej naiwny czekałby, aż tajemnica wyda się ubocznie, sama z siebie, i nieby z niej sobie nie robił, i czekałby, aż podrażniona dumna piękność sama zażąda, iżby skromna wielkość u stóp jej złożyła hołd miłości. A wtedybyśmy pogadali. Niedoświadczony Gustaw poniósł karę za swoją szczerłość: wielki poeta nie miał tego geniuszu, który Francuzi zwą cierpliwością.

„Trzy lekcye kokieteryi,” to pomysł iście złośliwy. Proszę zobaczyć, zkąd to autor zajeżdżał, a gdzie zawrócił! Panna Hania była to dziewczeczka dobrze wychowana i ukształcona aż miło, w części pod kierunkiem znakomitego klasyka, niejakiego pana Stefana, w którym nieco szronu na czuprynie ostudzić nie zdołało zapału. Nawykła w jego rozumie, popartym wykwiśniętym wystowieniem, szukać rozwiązania wszelkich trudności umysłowych, Hania żąda pomiędzy innymi, ażeby p. Stefan wytłómaczył jej, co to znaczy kokietka i kokieterya, bo ona w siedmnastym roku życia nie o tym nie wie i „nie posiada ani krzty tego niebiańskiego daru,” który upatruje, aż do uwielbienia, w jednej ze swych kuzynek. Są termina tak powszechnie zrozumiałe, że wszelkie określniki raczej szkodzą ich objaśnieniu, niż pomagają; ale to tylko w znaczeniu popularnym. Inaczej to rozumie nauka; lecz wtedy definicya przybiera rozmiary tomu.

To też p. Stefan, ulegając natarczywości młodej uczennicy i według jej wskazówki, przedsięwzięje traktować tę kwestyę ze stanowiska naukowego psycho-historycznego, tylko w sposób nieco odmienny od tego w jaki było postawione pytanie. Zamiast mówić o kokieteryi, którą jest obłuda i karykaturą miłości, p. Stefan, po namyśle, kolejno tydzień za tygodniem wypowie trzy prelekcye o miłości prawdziwej, a przeciwieństwo jej wystąpi samo z siebie. Będą to prelekcye nader zajmujące: miłość przedstawiona w trzech swych historycznych formach, starożytniej, średniowiecznej i nowożytniej. Hania nie posiada się z radości na taki program, a zazdrośna o te skarby wiedzy i wrażeń, sama tylko pragnie mieć w zbieraniu ich udział; sam na sam z prelegentem, nie chce dopuścić do kolegium nawet młodego p. Franciszka, który wprawdzie prócz cery i ładnych wąsików niema się z czem więcej popisać, ale niemniej ośmiela się kołatać do serca Hani. Zła twoja sprawa, młodzieńcze! Jest inna młodość i inna piękność, w których rozpatrują się z lubością oczy istot tak uduchowionych a niewinnych, jak ta która ci teraz oto drzwi przed nosem zamyka, by się niepodzielnie oddać wrażeniom płynącym ze źródła wiecznie młodej, bo nieśmiertelnej piękności, ze źródła tryskającego z duchowych potęg człowieka.

I otóż Hania słucha tego dziwnego wykładu, i dziwne przy nim objawiają się fenomena: głos prelegenta niekiedy drży, gdy mówi o miłości stanowiącej przedmiot poezyi i sztuki; uczennica znowu rzuca na niego jakies spojzenia osobliwe i niezrozumiałe. On mówiąc, ona słu-

chając, czują się tak dobrze, iż zda się wieki takby pozostać chcieli. On, w ciągu pierwszych dwóch prelekcyi, coraz mniej czuje się starym kawalerem, ona coraz mniej widzi różnicę wieku. Ten Eros, wywołany różczką czarodzieja, całą koło nich atmosferę napełnił jakimś płynem upojenia i niepojętych rozkoszy. — „Idź, myśliwce, do domu, z klatką nie czekaj sokoła!”... powiedziecby można temu p. Franciszkowi, który uparcie, z wielkiem rozdrażnieniem Hani, natrętnie wchodzi tym polotom w drogę. Ale nie! To raczej p. Stefan, niby sokół wajdeloty, zbyt długo trzymany w więzieniu książkowym, teraz nareszcie pociągnął oczyma po szlakach niebieskiej życia ojczyzny, szelest swych skrzydeł usłyszał. Oko jego coraz częściej spotyka się z rozognionym i pełnym obietnic wzrokiem Hani; widzi on jej ruchy kierowane niezwykłym żywiołem duszy; słyszy niedwuznaczne i niekrępowane zachwyty, jakich dusza jej nie znajdzie nigdzie, tylko przy boku p. Stefana. Winszujemy ci, szczęśliwy historyografie miłości! Zwalczyłeś największy z przesądów wobec młodej panienki, przesąd wieku! Dałeś jej dwie lekcy kokieteryi w praktyce, kokieteryi twojego rodzaju, ale i sam otrzymałeś lekcyę: tyś ją kokietował potęgą rozumu i krasomówstwa; ona ciebie współczuciem i zachwytem. Jeszcze jedna taka prelekcy a miłości teoretycznej, a rezultat ztąd wyniknie praktyczny.

To też p. Stefan, tak czuł się wewnętrznie usposobionym i tak dobrze zzewnątrz zachęconym, że udając się po tygodniu na trzecią prelekcyę, powiedział sobie: Dziś, albo nigdy! I rzeczywiście, coś podobnego odczuwać musiała i uczennica, bo dom cały zastał on jakoś uroczystej nastrojony i strój młodej panny staranniejszy niż zwykle. Czuć w powietrzu jakieś święto rodzinne; tak, to młoda Hania jest tego święta przedmiotem: ona gotuje się do zaręczyn... z panem Franciszkiem.

Z rozdartą na oczach illuzją, biedny p. Stefan wywiązać się jednak musiał ze słowa, i wypowiedział swą ostatnią prelekcyę, ale już krótko i publicznie. Wypełnił on ją dwiema alluzjami: jedną zwróconą do siebie, drugą do Hani. Ta ostatnia zawierała tylko jedno wyrażenie: „że kokieterya, jeżeli podnosi urok i wdzięk niewieści, to sprawić może i ból w sercu; jeżeli wabi i czaruje uśmiechem anioła, to zarazem o struny pragnień zawiedzionych z szyderczym świstem uderza skrzydłami szatana.”

Ileż w tej nowelli słów litościwie niedopowiedzianych! Stary klasyk zakochany w nowalijce salonowej i przez nią w pole wywiedziony! Jakież to temat do znęcania się nad słabością charakterów ludzkich, do satyry i sarkazmu nad przewrotnością serc młodych i istot różnych. Wszystko to jednak pozostawione jest tylko domyślności czytelnika, wskazane, zarysowane w szkicu lekko rzuconym na papier. Klasyka nie chce czynić autor śmiesznym, czyni go owszem pewnym rodzajem męczennika, chociaż w oczach naszych nie zyskuje on wcale przez to zrozumienie, czy przez tę pomyłkę, że dał się pociągnąć złudzeniu, jakoby w oczach młodej panienki, która nie jest już pensyonarką i zako-

sztowała rozkoszy świata, jego zwyciężkie przymioty profesorskie zdolaty zastąpić krąg i urok młodości, choćby pospolitęj i szaręj. Postępowanie Hani, to nic znowu tak straszego, to zwykły figielek, zdradliwa obietnica wiosny. Za kulisami zostało to wewnętrzne zadowolenie Hani z odbytych pomyślnie próby wdzięków i dyplomacyi niewieściój; a może i te szykany jakich sam na sam z p. Franciszkiem nie szczędziła biednemu prelegentowi. Kto wie wreszcie, jakby Hania postąpiła, gdyby dowiedziano się że w przeddzień zaręczyn jej, p. Stefan jakimś wypadkiem został milionerem: nie mamy prawa posuwać dalej badań w tym przedmiocie. W każdym razie, narażeni na pokusy i złudzenia szpakowaci aspiranci, powinni autorowi podziękować za tę maleńką przestrożę, że „inna jest poezya jutrzeńki, inna zachodzącego słońca.“

Tak zaznaczywszy wartość kokieteryi, autor zda się lubować w jej studyowaniu na żywych okazach. Tam była Hania; dalej znajdzie się jeszcze i Julia i Ninia, wszystko dziewice dobrze wychowane, tylko *ayant le diable au corps*, jak francuz powiada. „Pocałunek“ jest to tylko maleńkie scherzo, w którym sprawdziło się przysłowie: „nosił wilk, ponieśli wilka.“ Pan Lucyan, zawiele sobie pozwalał spuszczeń dokonywanych na niewinnych sercach: nudzą go teraz czułości dawnych ofiar i poszukuje nowęj w osobie uroczej panny Julii. Wieczór tańczący, narkotyczny walc Straussa, szepty admiracyi odzywające się z kanap, na cześć pary tańczącej, zachęcające słowa tancerki wymawiane półgłosem, wszystko to nadzwyczaj erotycznie nastraja młodego malarza. Panna Julia korzysta z tego i wzmacnia dozy podbudzeń; należycie przygotowanego wprowadza w ustron; magnetyzując, omdlewając, domaga się pocałunku, a gdy roznamiętniony malarz przybiera odpowiednią temu wezwaniu postawę, ona z niesłychanie wdzięcznym uśmiechem, dodaje: „w rękę.“

Jakkolwiek p. Lucyan zastrzyżł na to wiadro zimnej wody, jednak dziwić się trzeba egzekucyi tego wyroku tak niedwuznacznie przez młodą pannę dobrego tonu przeprowadzonęj. Kokieterya właściwie przestaje nią być, gdy się sprawia tak otwarcie jak w tym razie: przechodzi ona w narzucanie się, właściwie już nie kokietkom ale tym, które się od nich tylko jedną samogłoską odróżniają. Wogóle, cały układ tego urywka ma tę wadę, iż dla jednego końcowego ustępu, dla tego domówienia: „w rękę,“ które jest konceptem wyborynym, o ile niespodziewanym, gromadzi zbyt wiele materiału przygotowawczego, kreśli przeszłość bohatera a w części i jego charakter, rujnuje się na opisy erotyczne, gdy w gruncie jest to tylko anegdota mogąca służyć za temat do humoreski krótkiego zachodu.

Co innego ta historia serca wiszącego „Na włosku.“ I tu wprawdzie wszystko poświęconém jest dla efektu końcowego, lecz prowadzenie rzeczy istnieje samo dla siebie. Jest to pod pewnym względem i z pewną sumiennością opracowana anatomija kokieteryi, jakiej dopuszcza się z premedytacją i złośliwą intencją ufna w siebie Ninia. Tu już autor czuł ciężar rzucanego oskarżenia, i zawczasu przygotował

czytelnika, że po Nini, nadpsutój wychowaniem, nie można oczekiwać etycznego pierwowzoru. Tamten malarz to przynajmniej otrzymał mi-mowolną ale słusznie należącą mu naukę. Ale tu cóż winien ten młody wprawdzie, lecz wielce poważny a zgoła naiwny historyk, że się nie kwapi do tuzinkowych zalecanek? Trzy panny niezadowolone z tak niesfornego systemu, ujmującego im możliwość przyjemnego zabijania czasu, postanawiają go za to ukarać, a nie uznając w sobie dość po temu sprytu, wysadzają czwartą, która ma sobie za punkt honoru stanąć na wysokości położonego w niej zaufania, oderwać zimnego badacza od miłości papierowych dokumentów, przenieść tę miłość na dokument żywy, oprawny w hebanowy warkocz i parę szafirowych oczu strzelistych. Zamiana nie tak trudna, w dwudziestym roku. I otoż rozpoczął się proces złej wiary z dobrą; proces prowadzony tak zręcznie, iż sam nawet czytelnik, jakkolwiek już przedtem dobrze uprzedzony o stronności autora krzywdzącej pleć piękną, nieraz widzi jak mgłą nawrócenie Nini. Cóż też dziwić się panu Zygmuntowi że się nie może poznać na tym akrobatyzmie uczuciowym, który zawsze upatrzy chwilę i zręczność wyniesienia duszy w nieokreślone lazury szczęścia, by ją potem wśród największego zachwytu jedném słowem złośliwój pogardy zrzucić w rozpaczliwy mrok wilgotnego więzienia. Pochlebstwo, udana sympatya, kłamany zapał, komedya tęsknoty, fałszywe przejmowanie się ideałem prostoty: oto stopnie po których Ninia przeprowadza Zygmunta na ten punkt, na którym mu pozostaje jedyna alternatywa; albo połączyć się z nią nazawsze, albo zrozpaczeć nazawsze. I kiedy on z całym zapałem prawdy poczyną jej to oświadczać, ona z niepokojem nakazuje mu milczenie, by tej rozmowy nie usłyszał... jej narzeczony.

W obu tych przedstawieniach jednego i tego samego objawu więcej jest dźwięku, niż barwy: są to sceny dyalogowane i kończące się na dyalogu. Akcyi najwięcej dostało się udziału w rzeszy p. t.: „Miłość czy rachuba,” najobszerniejszj z całego zbioru. O ile jednak tytuł może symbolizować treść, my w tym kawałku nietyle widzimy miłości, nietyle rachuby, ile dziwactwa. Młody inżynier, dorobiwszy się majątku w Ameryce, powraca do rodzinnj zagrody, gdzie przyjęty był sierotą przez szlachetnego obywatela i dzięki jego pomocy, wyszedł na człowieka. Po powrocie zastaje osieroconą jego córkę, a majątek zrujnowany i wystawiony na sprzedaż. Pomimo serdeczności w przywitaniu się obojga sierot, Konrad usiłuje przedstawić się Gabryeli jako człowiek zimny, wyrachowany, na cały świat materyalny i moralny spoglądający przez szkła interesu, słowem, jako materyalista lub skończony yankee. Nie przeszkadza mu to spełniać czynów szlachetnych, dowodzących dzielności męskiej i wielkiej wspaniałości serca, której pierwszym celem jest właśnie uratowanie majątku na rzecz Gabryeli, z poświęceniem, jakiego ona z pod osłon jego delikatności nawet dostrzedz nie może. Czyni on to zapewne przez wdzięczność, jaką zobowiązany jest dla ojca Gabryeli; lecz niemniej córka, widząc to wszystko, oceniając rzadkie przymioty człowieka, nabiera ku niemu żywój sympatyi.

Sympatya ta jest zobopólną; z obu stron następują westchnienia, pro wokacye, i znowu cofanie się, unikanie: słowem, wszystko się kończy na niczém. Co jest przyczyną, że te serca rozumiejące się nie mogły się zbliżyć? Czy sceptycyzm miłosny Konrada, czy werwanie się w ten stosunek osoby trzeciej, która jak deus ex machina przybywa prawa swe do miłości Konrada wyjawić Gabryeli, czy nierówność pochodzenia, do której jednak Gabryela nigdzie nie czyni aluzji—tego odgadnąć niepodobna. Coś było, znikło, niewiedomo dlaczego, i koniec. Wprawdzie tak się bardzo często dzieje na świecie; lecz z kąd się tu wzięło posądzenie o rachubę, i kogo? Nie; jest to jakiś ciemny szkic powieściowy, z którego planu autor nie zdał sobie sprawy, a za nim i my nie potrafimy. Z tém wszystkiém, ten szkic, jakkolwiek najmniej obrobiony, niewykończony, najbardziej odznacza się wydatnością rysunku postaci ludzkich: jest w nim zakrój na charaktery.

Przedstawiliśmy osnowę wszystkich pojedynczych artykułów, które składają się na treść jedną rozczarowań i zawodów miłosnych, tak jak to oświadczyliśmy zgóry. Kobiety, i to najlepszego świata, wyglądają tu przeważnie jako istoty płocze, samolubne, zalotne i podstępne; mężczyźni, jako łatwowierne ofiary tego wszystkiego. Autor nie oburza się nigdzie, trzyma się strony obiektywnej, jego plaidoyer odbywa się w sposób wykwinny i prostoduszny. Upodobał sobie szlacheckie dwory, towarzystwo wyższego rejestru, całe też jego zachowanie się odpowiada temu salonowemu tłu, pośród którego i dla którego przemawia. Lecz, posiadając przymioty salonowe, traktowanie jego ma zarazem i salonowe wady. Jest to jakaś jednostajność barwy unikającej wyskoku; zda się (z wyjątkiem Konrada w „Miłość i Rachuba”), że w żyłach jego postaci przepływa wino burgundzkie zamiast krwi; nigdzie silniejszego rysu, nacisku, namiętności; nigdzie jakiegoś śmielszego kroku, postanowienia, czynu, za którym myśl czytelnika popędziłaby z sympatją, lub powstrzymała go chciała przez obawę nadwężenia jakiegoś prawa, regulującego zegar światowy. Wszystko, co napisał, są to raczej relacye obserwatora, niż obrazy artysty.

Jakkolwiek jednak określiłibyśmy te próbki, są w nich do zaznaczenia dwie rzeczy dodatnie: pewien dowcip oryginalny w osadzeniu kwestyi, oraz interesujący tok w jej przeprowadzeniu. Przy całej jednostajności treści, przy nader ubogiem indywidualizowaniu postaci, nigdy w tej książce autor nie znudził, nie zmęczył bladeścią lub pospolitością formy. Styl jego bawi, zajmuje, posiada cechy podmiotowe. Pisarz stanął w p. Meyecie nierównie wyżej nad artystą: czy kiedy zrównają się oni w jego osobie? Życzymy, ale przesądzać nie możemy.

Kazimierz Kaszewski.

„Kazania na niedziele i święta całego roku, ks. Piotra Skargi. Soc. Jezu.“ Pierwsza część. We Lwowie, nakładem Gubrynowicza i Schmidta, 1883. Str. XV i 494 in 8-o mai.

Nie wyjaśniono dotychczas dokładnie kolei wydań Kazań ks. P. Skargi, i dlatego nie posiadamy wydania, któreby za autentyczną redakcją autora uważać można. Chcąc zapobiedz mnożącemu się coraz bardziej zamieszaniu w tej gałęzi literatury, kreślimy przedewszystkiem tę wiadomość informacyjną. Pierwsze wydanie „Kazań na niedziele i święta“ wyszło 1595 r. w Krakowie u Piotrkowczyka. Wydanie to nader rzadkie posiada biblioteka Ossolińskich we Lwowie. Po raz wtóry miały wyjść kazania Skargi w Krakowie 1597 r., jak podaje Niesiecki w Koronie, co zdaje się potwierdzać notatka na egzemplarzu, znajdującym się w bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie. W tym egzemplarzu, będącym przedrukiem pierwszego wydania, brakuje tytułowej kartki, niepodobna zatem stwierdzić dokładnie roku, w którym to 2-gie wydanie uskuteczono, przedrukowując 1-sze. Na tekturze zapisał (podobno p. Estreicher): „Jestto edycja z r. 1597. Tylko od str. 717 do 737 powinno być „Kazanie o miłosierdziu na zalecenie bractwa miłosierdzia czynione w Krakowie u św. Barbary;“ „pomimo iż na str. 716 wydrukowano: koniec a na końcu jest przenośnik: Registr.“ U góry zaś: „tyle ma stron co edycja pierwsza z r. 1595.“ Ze drugiego przedruku kazań dokonano rzeczywście niedługo po r. 1595, tego dowodzi: trzeci przedruk z r. 1602, znajdujący się w bibliotece Ossolińskich, gdzie czytamy na tytule „teraz znowu trzeci raz w druk podane.“ Ten przedruk, posiadający nawet do połowy tę samą paginacją co pierwsze wydanie, różni się od niego dadaniem kazania Skargi „O zrozumieniu porządku Ewangelii św. Jana“ (str. 490—494), którego niema w pierwotnej edycji. Kardynalne zmiany poczynił Skarga dopiero w następnym wydaniu, ostatniem, dokonaniem za jego życia w r. 1609, znajdującem się w bibliotece Jagiellońskiej. Jestto rzecz można druga redakcja kazań, na co zwracam uwagę badaczy, wskazując dla braku miejsca tylko na zupełnie odmienną, tak pod względem formy jak i samej rzeczy, redakcją „Kazania na trzecią niedzielę po Wielkiejnocy“ (editio princeps p. 218 ff.). W czwartym wydaniu skrócono je, przyczem opuszczono pesymistyczny pogląd na życie ludzkie i ostre wycieczki na herezyków, resztę zaś znacznie zmieniono i przerobiono. W innych kazaniach znajdujemy dogmatyczne różnice np. w „Kazaniu na IV niedzielę adwentu.“ Skarga mówiąc tu o trojakim wykładzie chrztu św. podaje w pierwszym wydaniu zupełnie obiektywne „rozumienie“ młodszych teologów o trojakim chrzcie: „jeden w samej wodzie, jaki był Janów, drugi w samym duchu, który na apostoły przyszedł w ogniu; trzeci w wodzie i w Duchu Św. niewidomie, jaki jest nasz pospolity chrzest Chrystusów.“ W wydaniu z r. 1609 dodano po tych słowach: „który

sam jest prawym chrztem i wiecznym. One dwa do czasu były.“ Z innych nader licznych dodatków i opuszczeń téj czwartej edycji wymieniam tylko kilka: edycja 1-sza, p. 94, p. 220, p. 118, p. 218 etc. Piąte z rzędu wydanie nie licząc w to wydania z r. 1610, o którym podaje ks. Wielowiejski nie pewną wiadomość posiada także biblioteka Ossolińskich, niestety bez tytułowej karty. Jestto pierwsze pośmiertne wydanie, dokonane w r. 1618 albo 1617, według IV edycji (ostatniej drukowanej za życia autora), o czém wspomina sam wydawca: „a teraz po śmierci jego, według egzemplarza z r. 1609 przejrane z przydatkiem niektórych kazań (o 7-miu Sakramentach). Umiejętny wydawca musiałby jeszcze i to pośmiertne wydanie przejrzeć, aby się przekonać czy i o ile było to wydanie z r. 1609 rzeczywiście „przejrane“ bo nie mogłem tego stwierdzić. Następujące wydania: jako to warszawskie z r. 1738, sandomierskie z r. 1792—3, wileńskie z r. 1793 i lipskie z r. 1843 nie mają żadnej naukowej wartości i na nie nie potrzebuje się wydawca nawet oglądać.

Z tego krótkiego przeglądu wynika, że jeżeli chcemy mieć „Kazania na niedziele i święta“ w formie najwięcej zbliżonej do téj, w jakiej je Skarga wygłaszał, musimy się trzymać pierwszego wydania z r. 1595, które należało jedynie wziąć za podstawę nowego wydania. Zmiany poczynione przez Skargę, zwłaszcza w edycji czwartej (z r. 1609) trzeba było w w przypiskach zaznaczyć ¹⁾.

Jak się wywiązał z tego zadania wydawca lwowski?

Zamiast rozpatrzyć się w powyżej wspomnianych wydaniach i dojść na podstawie ich segregacji do tego, które edycje należy uwzględnić a które zupełnie odsunąć jako przedruki, przedrukowuje wydawca na ślepo wydanie lipskie z r. 1843, kontrolując tekst tego wydania wydaniem czwartym. A wybrał wydanie lipskie za podstawę swego przedruku, zapewne z technicznych względów, bo inkunabułu z r. 1609 nie można było posłać do drukarni. Jak wysoko ceni wydawca lichy przedruk lipski, nie mający najmniejszego znaczenia, świadczą jego słowa któremi rozpoczyna uroczyste „nowe wydanie wszystkich dzieł kraso-

¹⁾ Namby się zdawało przeciwnie. Podstawą krytycznego wydania kazań ks. Skargi powinno być wyd. 4-te z r. 1609, uskutecznione jeszcze za życia sławnego kaznodzioci. Różnice, jakie zachodzą między tą edycją a wydaniem 1-szém, należy uważać za ostateczną redakcyą samego Skargi, który po dojrzałym rozważeniu rzeczy zaprowadził niektóre zmiany i poprawki. Jest to więc ostatni wyraz myśli autora-kaznodzioci, zasługujący na większą uwagę aniżeli redakcyą pierwiastkowa. Dla pedantycznej tylko systematyczności możnaby w przypisku zaznaczyć te miejsca, w których się pierwsza edycya inaczej wyraża. Obok tych dwóch edycji nie zasługuje już reszta na żadną uwagę naukowego wydania. Autor, zapatrzony na metodę wydawnictwa klasyków greckich i rzymskich, którzy nie mogli dopilnować sami czystości autentycznego tekstu, przecenia znaczenie *editionis principis* przy dziełach literatury nowszej, gdzie nie pierwszą, ale ostatnią pod okiem autora ustaloną redakcyą, za podstawę każdego nowszego wydania uważać należy. *Red.*

mówczych“ oraz „polemiczno-religijnych ks. Skargi“: „Czterdzieści lat minęło od czasu jak się pojawiło w Lipsku“ i t. d.

Gdyby tedy niniejsze wydanie lwowskie było tylko prostym przedrukiem przedruku lipskiego, nie wartoby było rozpisywać się o niem, ale wydawca występuje pretensjonalnie i zapewnia nas, że to wydanie „uskutecznia nie z przedruków, ale z wydań oryginalnych.“ Z przykrością musimy to zaznaczyć, że sz. wydawca nie dotrzymał danéj obietnicy.

Wybrawszy wydanie lipskie do przedruku, kontroluje je i poprawia według wydania czwartego z r. 1609 i wszystko idzie po jego myśli. Nagle spostrzegł się, że „i to wydanie czwarte nie jest wolném od niemiłych błędów,“ bierze do ręki wydanie pierwsze z r. 1595 i przekonuje się o ogromnej różnicy tekstu swoich wydań od pierwotnej edycji, ale zapóźno, bo wydanie już było w druku. Cóż więc robi. Pisze w przedmowie, że do połowy książki trzymał się wydania czwartego, w drugiej zaś połowie odrzucił je i wziął wydanie pierwsze. „Do przedruku wybraliśmy—powiada wyraźnie—wydanie czwarte (nie może powiedzieć otwarcie wydanie lipskie, które jest przedrukiem czwartego wydania, ponieważ zaręczał że „uskutecznia to wydanie nie z przedruków ale z wydań oryginalnych).“ Przekonawszy się atoli, że i to wydanie nie jest wolném od niemiłych błędów, porównywalimy je niestety dopiero od połowy pierwszój części słowo w słowo z pierwszym krakowskiém wydaniem z roku 1595.“ Ale i to wyznanie wydawcy nie jest prawdziwe. Że i w drugiej części książki nie trzymał się wydania pierwszego, o tém można się przekonać z porównania kilku miejsc dowolnie wybranych. Wydanie lwowskie na str. 373 (cała książka ma str. 494, a zatem obracamy się w drugiej połowie) i porównujemy „Kazanie na III niedzielę po Wielkiejnocy“ z wydaniem pierwszém na str. 218 i znajdujemy że całe kazanie jest zupełnie odmienne; podajemy tylko sam początek:

Wydanie pierwsze z roku 1595, Wydanie Gubrynowicza z r. 1883,
str. 218. str. 373.

Między innemi wielkimi naukami, I cztery im na to przedniejsze po-
które Sam zostawił, cieszy je też bar- ciechy daje. Jedną: iż ono zasmuce-
zo pilnie, wiedząc jako się jego ode- nie nie długo trwać, a w wesele obró-
ćciem frasowali, na dwie rzeczy na- cić się miało. Drugą: iż odejście jego
więcej serca ich obracając: iż im sa- jest z wielkim ich pożytkiem, gdy im
mym tego potrzeba, aby odszedł, a iż tam, gdzie odchodzi, u Ojca swego
się rychło do nich wrócić miał. Gdy- zjedna Ducha św. i posłać go im obje-
by który poważny ociec od dziatek, cuje na wielkie ucieszenie i naprawę
które barzo miłuje, odjeżdżał, takby ich. Trzecią: iż tam, gdzie idzie,
im mówił: „Namilsze dziateczki, ten z niego pośrednika mieć będą, który
odjazd mój dla was jest i dla pożytku im wszystkie potrzeby ich, o które
waszego, życzie sobie dobrego swego, w imię jego prosić Ojca będą, opatrzy.
wiele wam sprawię tam, gdzie jadę, do Czwartą: iż w uciskach i prześladowa-
dworu wielkiego króla, o was czynić niu zwycięstwo pewne mieć będą i t. d.
będę i t. d.

Całe kazanie przedrukowane widocznie z wydania lipskiego, bez porównania z 1-szém z r. 1595, przedstawia tekst całkiem zmieniony, do edycyi 1-szej niepodobny, tylko z lipskim przedrukiem zgodny. Tu zresztą nie można „porównywać,” ale drukować podług pierwszego, albo ¹⁾ czwartego wydania.

Wydanie czwarte, które przedrukował wydawca lipski, a pośrednio i lwowski, odznacza się oprócz innych „niemiłych błędów” ²⁾ tém, że łagodzi i przytłumia silniejsze wyrażenia Skargi, zacierając przez to piękność i siłę jego wymowy. Oto parę najkrótszych przykładów, wyjętych z samego końca pierwszej części kazań, które postużą za dowód, że wydawca lwowski nie trzymał się nawet w drugiej połowie pierwszego wydania:

Wydanie pierwsze.

Wydanie Gubrynowicza.

Gdy z szatańskiego niewolnika staje się i rodzi syn boży (str. 260).

Gdy z syua ludzkiego staje się i rodzi syn boży (str. 449).

Z Panem Bogiem targował się (str. 270). Oni gwałtem drzwi dobywają (str. 270) i t. p.

Z Panem Bogiem umawiać się (str. 467). Oni mocą drzwi dobywają (str. 466) i t. p.

Z licznych dodatków czwartego wydania, za którym poszedł wydawca lwowski, wymienię tylko jeden przykład (inne zaznaczam: I, 28; Gubrynowicz, 48; I, 220; Gubr., 374; I, 264; Gubr., 457):

Wydanie pierwsze, str. 118.

Wydanie Gubrynowicza, str. 201.

Mamy tedy tu wielkie wyświadczenie tego bóstwa Syna Bożego, które Piotr św. wyznał. I przetoż kazania i nauki swoje i t. d.

Mamy tedy i tu wielkie wyświadczenie tego bóstwa Syna Bożego, które Piotr św. wyznał przeciw Aryanom i innym nieprzyjaciołom Boga w Trójcy jedynego. I przetoż kazania i nauki swoje i t. d.

Z opuszczeń, których się dopuszcza wydawca lwowski, przytaczam dla braku miejsca także tylko parę przykładów:

Wydanie pierwsze, str. 269.

Wydanie Gubrynowicza, str. 465.

Głupi pogubi lud, a miasta kwitną rozumem mądrych. Jaki jest z drzewa korzeń, taki owoc na nim roście. Każdy na przełożone oczy obraca.

Głupi pogubi lud, a miasta kwitną rozumem mądrych. Każdy na przełożone oczy obraca.

Wydanie pierwsze, str. 28.

Wydanie Gubrynowicza, str. 48.

Wszyscy się chlubil, iż byli wybranym ludem Bożym.

Wszyscy się chlubil, iż byli wybranym ludem.

¹⁾ Sądziłibyśmy, że tylko podług 4-go. *Red.*

²⁾ Czy to można nazywać błędem, gdy Skarga sam w dojrzałym wieku tekst swój poprawił? Przecież żaden autor, przygotowujący nową edycję swojej pracy, nie będzie uważał pierwszój za *Noli me tangere*. *Red.*

Z tego względu jest nawet wydanie lipskie z r. 1843 lepsze od lwowskiego.

Wydawca zapewnia nas w przedmowie, że „wiernie zachował właściwości językowe;” tymczasem z tekstu przekonujemy się, że formy gramatyczne zupełnie zmodernizowano. Oto dowody:

Editio princeps.

Więszy (I, 37), napelni (dawny Imperativus, I, 38), abych (I, 226), odyć (205), im (141), ociec (94), mniemy (112), iny (79), ją (75), jemi (220), namędrzy (42), indzie (113), indzie (271), ony (80), ty (468), dobra (29), zalecanie (37), miegotanie (5), wazytki narody (systematycznie), anielskimi rozmowy (19), przyść (264), rozkoszy (117), opowieda (5), przyszedzszy (181) i t. p.

Wydanie lwowskie.

Więszy (str. 64), napelnij (65), abym (390), odejść (352), nim (240), ojciec (161), mniemy (192), inny (129), nią (129), niemi (373), mędrzy (73), gdybyśmy (193), indziej (468), one (136), te dobra (49), zalecanie (64), migotanie (8), wszystkie narody (systematycznie), anielskimi rozmowami (32), przyść (457), rozkosze (201), opowiada (9), przyszedzszy (311) i t. p.

To modernizowanie form i właściwości języka XVI wieku jest tém gorsze, że wydawca te same formy na jedném miejscu zatrzymuje, na inném zmienia, jedne formy dawne zostawia, inne modernizuje, słowem: postępuje tu zupełnie samowolnie. Obok powyżej przytoczonych zmodernizowanych form językowych przytaczam tu starożytne, które wydawca zostawił niezmienione: mocnemi wywoły (217), odpowieda (wydanie lwowskie, str. 66), ale opowiada (str. 9), mniszy (Nom. Plur., str. 64), ale modernizuje „dzisiejszy” (41), rolej (137), abo (136), urostą (144), dwiema tylo słowy (209) i t. d.

Cytaty, których tak wiele w kazaniach Skargi, nie są umieszczone na właściwém miejscu, a nieraz są nawet fałszywe, up. str. 208 wydania lwowskiego, zamiast „Judith 8,” powinno być „Daniel 9,” na str. 352 wysunięto cytaty i t. d. Umieszczenie sumaryusza przy końcu każdego tomu, a nie w tekście, utrudnia tylko korzystanie z dzieła.

Nie chcę rozpisywać się o wszystkich błędach i niekonsekwencyach nowego wydania Skargi. Już z powyższych fragmentarycznych przykładów wynika, że wydania tego nie można używać dla badań naukowych, tak stylistycznych, jako i lingwistycznych. Pragnęlibyśmy pocieszać się nadzieją, że wydawca skorzysta w dalszym ciągu tego wydawnictwa (w końcu września 1883 ma wyjść tom II-gi) z powyższych naszych uwag, któreśmy głównie w tym celu pisali, aby łożonemu nakładowi odpowiedziała wartość naukowa dokonanego dzieła.

„Przegląd pedagogiczny.“ Czasopismo, poświęcone sprawom wychowania publicznego i domowego. Warszawa, 1882. Zeszyt I—XII *).

Bezimienny autor artykułu: „Czy wychowujemy kobiety?” miał poważny cel na oku; jednak czyniąc ciężkie zarzuty naszym żeńskim zakładom wychowawczym, przedewszystkiém powinien się był zastanowić, czy tych samych zarzutów nie możnaby uczynić również i innym zakładom, czy źródło wad, pobieżnie tylko wyszczególnionych, nie leży głębiej, czy usunięcie złego zależy jedynie od samych zakładów, lub czy mieści się w ustroju tych zakładów, którego zmiana nie od położonych pensji tylko zależy? Zarzuty dają się tak streścić: zakłady żeńskie starają się zadość uczynić kapryśnym wymaganiom t. z. dobrego tonu z pominięciem fundamentalnych prawideł wychowania; w nauce brak gruntowności, brak kształcących pierwiastków, brak koncentracji różnych przedmiotów; pedantyzm, szematyzm (?) nauczycielski, brak uporządkowania i stopniowania nauki, brak ożywczego ciepła przy nauce; z tego wszystkiego szkodliwe wynikają skutki: brak uszlachetnienia, umoralnienia, wzmocnienia woli i rozumu. Jak widzimy ciężkie to zarzuty. Nie przeczymy, że niektóre z tych wad dałyby się usunąć, osobliwie przy dobrej woli kierownictwa zakładu i samych nauczycieli; ale większa część ma swój początek w organizacji wewnętrznej zakładów, tę właśnie powinien być autor pociągnąć do odpowiedzialności i wskazać drogę i sposób do zbawienniej zmiany.

„Szkolna kasa oszczędności ze stanowiska pedagogiki i ekonomii społecznej,” napisał Jerzy Harwot, (w zes. 2 i 3). Kto był roku 1881-go na walnym zjeździe galicyjskiego Towarzystwa pedagogicznego w Krakowie, ten słyszał tę rozprawę czytaną przez autora 19 lipca. Chociaż więc dla niektórych rzecz ta nie będzie nową, zawsze ona ma swą wartość niezaprzeczoną. Wywód autora jest następujący: powinniśmy oszczędzać, bo przez oszczędność możemy dojść do oświaty, swobody i dobrego bytu. Stwierdza to autor przykładem z historii, obrazem dobrobytu dawniejszej Francji i Anglii, świadectwem Supińskiego. Z tego pokazuje się, że oszczędność wpływa nietylko na byt materialny, ale także na postęp cywilizacyjny, na rozwój fizyczny, umysłowy i moralny narodów. Narody nieumiejące pracować i oszczędzać zniknąć muszą z powierzchni ziemi. Ludność nasza nie umie oszczędzać. Środkiem do tego będą szkolne kasy oszczędności. Krótka historia tych kas: początek ich w Belgii, gdzie od roku i założenia (1866) do roku 1875, suma wkładek 5301 fr. podskoczyła na pół miliona. Za przykładem Belgii poszła Francya, są prócz tego takie kasy obecnie w Anglii, we Włoszech, na Węgrzech, w wielu szkołach

*) Ciąg dalszy.—patrz zeszyt za październik 1882 r.

w Niemczech, w Szwajcaryi, Szwecyi, Danii, Holandyi, w Stanach Zjednoczonych. Instytucya ta zaprawia ludzi do oszczędności, jest więc ze stanowiska ekonomii społecznej zbawienną. Ale ze stanowiska pedagogiki czynią jej zarzuty. Autor zbija następujące zarzuty: że dzieci będą używały niedozwolonych środków nabywania pieniędzy; że wyrodzi się w nich chciwość, skąpstwo i t. p., że przez nierówność wkładów, zazdrość budzi się w dzieciach, że poznanie wartości pieniędzy jest dla dziecka zawczesném; że okrucieństwem jest pozbawić dziecko kupowania sobie łakoci; że dziecko oszczędności pojąć nie umie, że dziecka nie należy zaprawiać do materyjalizmu, że żaden z dawniejszych wielkich pedagogów podobnych instytucji nie zalecał. W końcu autor wykazuje, że szkolna kasa oszczędności najdzielniejszym jest środkiem do wspierania ogólnego wychowania i dodaje wskazówki jej organizacji. Jak z tego widzimy, rozprawa zastanawia się nad bardzo ważną, potrzebną rzeczą; jednego tylko jej brak, najważniejszego ustępu: oto wskazania, jakimi drogami i sposobami tę instytucyą można u nas w życie wprowadzić. Być może, że autor, profesor w Galicyi, nie obznajmiony z naszymi stosunkami, nie chciał, lub nie umiał tego punktu wyświecić; wypadało tedy to uczynić redakcyi, bo inaczej piękna ta rozprawa będzie głosem wołającego na puszczy.

Drugą rozprawą tegoż autora jest „Pracownia szkolna ze stanowiska pedagogii i ekonomii społecznej” (w zesz. 9 i 10). Wychodząc z założenia, że szkoła ucząc jedynie oszczędności nie odpowiedziałaby zadaniu, gdyby nie uczyła pracy racjonalnej, autor stawia sobie trzy pytania: czy praktyczne zaprawianie młodzieży nie sprzeciwia się naturze młodzieży? czy można uczyć pracy, której właściwie późniejsze życie wymaga? czy nauka pracy zgadza się z zasadami pedagogiki? Autor dowodzi szczegółowo, że właśnie ta nauka najodpowiedniejszą jest naturze dziecka i wypełniłaby przerwę w dzisiejszym systemie nauki, wyjaśnia, że nie potrzebaby pomnażać godzin wykładowych, gdyż ta nauka łączyłaby się z historią naturalną, fizyką i geometryą, że teoretyczne, dotychczasowe kształcenie szkodzi równowadze zdrowia i moralności, że właśnie temu zapobieży pracownia szkolna. Dowodzi historycznie, że u nas komisya edukacyjna, Piramowicz, tudzież Komeniusz i inni zagraniczni filozofowie i pedagodowie, na ten praktyczny kierunek szkół szczególną uwagę zwracali. Podaje następnie sposób urządzenia pracowni i jej gatunki: 1) nauka robot ręcznych kobiecych i gospodarstwa domowego; 2) ogród szkolny; 3) warsztat szkolny. Każdy z tych działów następnie szczegółowo wyjaśnia, wskazując, co ma obejmować, czego uczyć i jak, dodając że stać się to może bez wielkich zachodów i kosztów; podaje sposób uzyskania potrzebnych nauczycieli; wreszcie przykładami istniejących już w innych krajach pracowni szkolnych rzecz całą kończy. Również i ta praca, lubo na niektóre szczegóły nie moglibyśmy się zgodzić, dowodzi i szlachetnych autora dążeń i zdrowy jego sposób zapatrywania się; wszelako, jeżeli nikt nie wskaże, jak się do urzeczywistnienia jej wziąć

u nas, kto ma podjąć się inicjatywy, czy osoba jedna, czy korporacje, czy gminy, staniemy tam, gdzieśmy byli i gdzie jesteśmy.

„Jak się kazi charakter dziecka w domu rodzicielskim?” (w zeszycie 2), rzecz opracowana podług czasopisma: „Der Pädagogische Hausfreund,” zawiera dwanaście zdań, które pospolicie dają się słyszeć w rozmowach z dziećmi, pochodzących z ust nierozważnych lub niewykształconych rodziców lub rodzeństwa, a którymi rozmaite wady zaszczipiają w dziecku, nawet takie, na któreby ono samo nigdy nie przyszło. Atoli nie na wszystkie przykłady możemy się pisać. Trzeba bowiem rzecz pojmować, wyobrażać sobie nie rozumem dojrzałego człowieka, ale umyślem dziecięcym. Jeżeli np. pytamy się dziecka: „kogo bardziej kochasz, ojca czy matkę?” to dziecko rozumie przez kochanie wcale co innego jak my; mniema, że objęcie rękami, uścisk, ucałowanie stanowi kochanie: nie ma tedy nic tak strasznego w tém pytaniu. Pedagog niemiecki bierze rzecz zaraz ze stanowiska ogólnego. Tak samo np. słowa: „a fe! tak postępują tylko chłopskie dzieci!” nie zawsze każą charakter dziecka, jeżeli je odnosimy do prostactwa, nieokrzesańia i t. p. Gdybyśmy niemi chcieli scharakteryzować prostotę, ubóstwo i t. p., byłyby nie na miejscu. Zwroty takie: „że dziecku może coś być złego,” „to upokorzenie zrobi swoje niezawodnie,” „posłuszeństwo jest własnością człowieka, którą on zawiesić może,” są nie polskie i nie zrozumiałe.

„O pedagogicznym znaczeniu nauk przyrodzonych” przez Stanisława Kramsztyka (zesz. 3, 5, 8, 9). Mamy tu do czynienia z pracą umyślu wytrawnego, umiejętnie wykształconego, pojmującego jasno potrzeby ludzkiego wykształcenia, a zatem i potrzeby wychowania i nauki, czyli szkoły.

Jakkolwiek nauki przyrodnicze weszły już dawno w skład nauki szkolnej, są jeszcze tacy, którzy potrzeby ich nie uznają, oceniając rozmaicie wpływ ich na wychowanie i wykształcenie. Ażeby tedy rzecz tę w jasnym postawić świetle, autor założył sobie: ocenić wartość pedagogiczną tych nauk wykładanych w szkołach; mianowicie czy stanowią one materiał pedagogiczny, czy do rozwoju władz umysłowych są potrzebne lub niezbędne, jednym słowem, jaka ich wartość. Na wartość każdej nauki składają się dwa względy: jej treść i jej metoda. Zastanawiając się nad treścią wykazuje autor, że ona jest gotowa, bo przyroda podaje ją sama; wyjaśnia powody, dla których te nauki dopiero później nabrały cechy umiejętności, i konkluduje: ponieważ przedmiot nauk przyrodniczych tak naturalnie nasuwa się uwadze wychowawca, to już ten wzgląd nakazuje wprowadzenie ich do nauki szkolnej.

Nie zewszystkiem podzielamy zdanie autora o „zasadzie prawidłowości, stanowiącej podstawę poglądów naszych na przyrodę,” bo ta prawidłowość, gdyby jedynie wyrabiała głębokie przekonanie o niezbędnej konieczności, rządzącej wszelkimi objawami świata materialnego, wtedy byłoby to za mało i tylko jednostronnie. Konieczność jest ślepa, ona nie rządzi; rozum rządzi, więc tutaj rozum najwyższy, Bóg. Jakoż wiemy, że najtężsi badacze przyrody, najwięksi myśliciele docho-

dążą w swych badaniach do tego ostatecznego końca, do którego również i nauka szkolna prowadzić winna. Już tedy ogólny charakter nauk przyrodniczych wywiera na młodzieńca wpływ pożądany i silny, a ni czém nie dający się zastąpić. Metoda, mówi autor, jest najprzedniejszą w każdej nauce rzeczą; metodą nauk przyrod. jest metoda doświadczalna, dawniejsza chodziła manowcami; Kopernik dopiero sprowadził ją we właściwe tory; jestto metoda indukcyjna, od szczegółów do ogółu, indukcyja wysnuwa prawa natury; dedukcyja nastąpić może dopiero po indukcyi; jakoż nauki przyrodnicze łączą obie metody (autor wyświeca to przykładem); ta metoda indukcyjno dedukcyjna zyskuje znaczenie we wszystkich umiejętnościach. Owóż ta metoda wywiera na ukształtowanie umysłu wychowawca zbawienny wpływ, wyciska piętno na sposobie jego myślenia, zmusza umysł do opierania swych rozważań na podstawie faktycznej, pewnej, znanej; strzeże umysł od zбочzenia w myśleniu. Do tego wszystkiego trzeba jednak umysłu już do pewnego stopnia rozwiniętego, bo inaczej będą to chaotyczne tylko spostrzeżenia. W dalszym wywodzie, przechodzi autor do ocenienia znaczenia każdej z nauk przyrodniczych; zastanawia się nad botaniką, zoologią, mineralogią, geologią, fizyką, chemią, kosmografią, geografją fizyczną; wykazując przy każdym z tych przedmiotów, jaka władza ducha osobliwie bywa do czynności pobudzona, jakie skutki pedagogiczne wywołuje; i jakim porządkiem i w jakim obrębie powinny być w szkole wykładane. Rozprawę kończy autor, mówiąc, że: „wtedy dopiero nauki przyrodnicze zupełną przynieść mogą korzyść, gdy równouprawnione z nauką języka, z matematyką, geografją i historją; gdy podobnie jak te nauki przez cały ciąg szkoły traktowane będą.“ W tém zupełną ma słuszność i o tém równouprawnieniu nauk przyrodniczych z naukami historycznymi w szkole rozprawiano u nas w ostatnich czasach na katedrach, w pismach i na zjazdach nawet samych techników. Jeżeli zaś autor mówi: „nauczanie gramatyki i matematyki... przeważnie rozwija zdolność wyprowadzania wniosków z reguł, ale część zasadnicza, indukcyjna, droga dochodzenia do reguł, w naukach tych jasno się nie przebija;“ natenczas musiał mieć na myśli bardzo początkowych, niezręcznych, nieudolnych pedagogów. Kto bowiem tak uczy np. gramatyki, źle uczy. Jeżeli autor przy kosmografii mówi: ukazując z jednej strony podrzędne wśród brył światowych znaczenie ziemi, uczy zarazem, jak upokarzające to swoje stanowisko podnosi wiedzą, skoro z zakątka swego zdołał zrozumieć i prawa rządzące ruchami światów i ich ustrój fizyczny;...“ a my dodamy: skoro również może się podnieść do Boga, tego najwyższego Prawodawcy i podziwiać jego tak w najdrobniejszym listku, jak w olbrzymiej całego świata budowie.

„Powołanie nauczyciela elementarnego“ (zesz. 3). Jestto urywek pedagogiczny, napisany w celu bardzo szlachetnym na temat: Kto chce zostać nauczycielem, winien zbadać ten zawód trudny, i zapytać się wtedy, czy ma powołanie; bo zostawszy bez powołania nauczycielem, nietylko sobie samemu krzywdę wyrządza, ale co więcej, i ogółowi. Można jednak ten zawód ukochar, można go pełnić w najprzykrzejszych

warunkach, można nad znikome przyjemności przekładać rozkosz kształcenia dzieci swego narodu, a we własnym sumieniu znaleźć istotną nagrodę. Szkoda tylko, że ważna ta sprawa tak szczupło wypadła.

„W sprawie kształcenia przyszlých nauczycieli i nauczycielek,“ przez E. K. (zesz. 4). Wzmagające się z każdym rokiem poczucie potrzeby nauki, troskliwsze zajęcie się sprawą wychowania, zwiększony ruch na polu literatury pedagogicznej, te wszystkie dążenia i uczucia rozbijają się o jedną, największą przeszkodę: brak odpowiednich sił nauczycielskich; bo jeśli pominiemy ilość ich, to jakość wykazuje wielkie ubóstwo. Wszakże nie zawsze to jest winą samych nauczycieli; wiele się na to składa nieprzyjaznych okoliczności, a najważniejsza: brak instytucji specjalnie do tego przygotowujących. Kilka seminariów nauczycielskich w kraju nie jest nawet w stanie wykształcić dostatecznej liczby nauczycieli dla istniejących szkół rządowych; a cóż mówić o zakładach prywatnych, o edukacji domowej. Gorzej jest jeszcze z nauką w szkołach średnich: uniwersytet nasz niema katedry pedagogiki. Wiedza sama nie wystarcza, trzeba posiadać dobrą metodę udzielania tej wiedzy, i znać zasady wychowania. Radzi tedy, aby drogą prywatnej inicjatywy zakładać przygotowawcze kursa pedagogiczne przynajmniej dla kobiet, przy jednym z istniejących zakładów żeńskich, dodając, że nietrudnoby było wyjednać pozwolenie władzy na otwarcie takiego kursu. Dotąd zgadzamy się zupełnie z autorem i jak najmocniej popieramy jego zacne chęci; lecz co do szczegółowego urządzenia tych kursów, nie ze wszystkim możemy podzielić propozycją szan. autora. Najprzód jednoroczny kurs nie wystarczy dla wykładu psychologii, pedagogiki w całej swój obszerności w połączeniu z systematyczną encyklopedyą i historją, z wykładem higieny i praktycznych zajęć.“ Powtóre: jeśli kandydatki miałyby obowiązek odwiedzania i przysłuchiwania się wzorowym wykładom, tudzież miewały próbne lekcye, wtenczas również rok czasu nie wystarczyłby. Również nie zgodzilibyśmy się na to, żeby ten kurs był zupełnie odrębnym, wolelibyśmy, aby trwał dwa lata (co najmniej) i połączony był z dwiema najwyższymi klasami, któreby oczywiście miały o kilka godzin wykładowych w tygodniu więcej. Z naszej strony dodajemy, że taki kurs pedagogiczny nietylko wykształciłby więcej lepszych nauczycielek, którychby poszukiwano, ale i więcej rozumnych matek, prowadzących wychowanie swych dzieci na podstawie racjonalnej.

„Jaki jest punkt wyjścia dla wykształcenia umysłowego? (Uzasadnienie nauki poglądowej i metodyczne wskazówki przy jej prowadzeniu).“ Autor postawił sobie za zadanie dowieść, że kształcenie umysłu powinno się rozpoczynać dostrzeganiem, nauką dostrzegania, czyli, jak ją niektórzy, chociaż niewłaściwie, zowią nauką poglądową. Rzecz jednak rozwinął autor bardzo niejasno, do czego przyczynił się jego język niepolski, o czém pomówimy później. Wstęp zawiera następujące myśli: świat dostrzegamy zmysłami (w jakim celu autor dzieli je na wyższe i niższe, nie wiemy); otóż pierwszym stopniem rozwoju duchowego jest dostrzeganie zmysłami, mylnie oceniają niektórzy pedagogowie

ten kierunek kształcenia jako materialistyczny (ale nie z tego powodu, który autor podaje, jakoby człowiek dochodzić mógł prawdy jedynie tylko przez zmysłowe dostrzeganie, a inne sposoby prowadziły do błędu); trzeba tedy uczniom dawać wyobrażenia na podstawie poglądu, lecz stopniowo bez zbytecznego pośpiechu; trzeba zmysły ćwiczyć. Nauka pogładowa ma swoje uzasadnienie psychologiczne; na niej buduje się gmach poznawania duchowego. Dodatek autora, że nauka pogładowa, jako oddzielny przedmiot (a tym być nie powinna), nie ma na celu wzmocnienia oczu krótkowidzącego lub wyleczenia głuchego, jest wcale nie na miejscu; bo tu, mówi autor, „chodzi o sformowanie za pomocą nauczania wyobrażeniowego świata dziecka, który to świat ma się odznaczać przymiotami: prawdy, jasności, trwałości oraz samodzielności.” Jest to tak górnolotnie wypowiedziane, że trudno pojąć, co autor przez to rozumie; a to tém trudniej, że nie wie dzieć na podstawie jakiego związku myśli, dodaje: „że są tacy, którzy przy ograniczonych (zapewne szczupłych) studiach nad psychologią, (ma być: psychologicznych, psychologii lub psychiczném życiem) do pedagogiki zastosowaną, radzi byłiby (zapewne radziby) za pomocą swego powierzchownego poglądu przekonać ogół o bezzasadności (zapewne bezpodstawności) nauki pogładowej w szkole, przekładając zapewne (czy autor tego nie pewien?) czcze perorowanie i wiarę in verba magistri nad poważną, istotnie pedagogiczną pracę” (!). Autor zastanawia się teraz nad dziećmi, jakie do szkoły elementarnej przychodzą, „dzieci biedne, ta działwa pracowitego ludu, dla którego ludzkość chce wypukać litość w świątyni wiedzy.” Więc tylko z litości mamy je uczyć nauki pogładowej? „Dzieci takie nie umieją ani myśleć ani mówić, bo któżby je tego nauczył w ich posępnych rodzicielskich siedziabach?” Zapewne szanowny autor nie był jeszcze nigdy na wsi, na łąkach, w borach, w górach; nie jest tam tak posępnie, jak się wydaje. „Pedagog ma świętą powinność rozpalic (może zapalic) w tych zamrożonych duszach światło prawdy i obowiązku.” (Światło prawdy? Dobrze. Lecz „światła obowiązku” nie znamy). Szczęście to jego, jeśli tu (gdzie?) jeszcze myśl (przecież niemieckie *Sinn* nie jest myśl) nie jest stępiona” i t. d. Autor chce dalej dowieść, że pedagog tą drogą doprowadzi dzieci do jasnych wyobrażeń zmysłowych, lecz osobliwą czyni to logiką. Oto mówi: „pedagog nie działa tu na oślep, ale przeniknięty jest pewnością rezultatu, że doprowadzi dzieci do wyrazistych, jasnych, zmysłowych spostrzeżeń; bo dzieci te, choć mają oczy i uszy, jednak nie widzą i nie słyszą; albo mało tylko widzą oraz słyszą. Jest to widocznie nowa metoda dla głucho-ślepych! Dalej mówi autor, że dzieci tą metodą kształcąc swój język, otrzymują dobrą podstawę do innych nauk, wynoszą zdrowe poglądy na świat; zdobywają sobie „żywioty (?) wszelkiego poznania i wszelkiej wymiany myśli.” (Trochę zawiele; zresztą nie żywioty, lecz podstawę, początki. Niemiec może się wyrażać: *die Elemente des Erkennens und des Gedankenaustausches*). Po tym wstępie wyluszcza autor

sposób rozwijania ćwiczeń poglądowych w 13-tu punktach. Znużyłbym jednak łaskawego czytelnika, gdybym chciał punkt po punkcie przechodzić i wykazywać, jak bez ładu, bez stopniowania, bez dokładnej znajomości duszy dziecięcej rzecz jest wyłożona. Wszystko to, co autor tutaj powiedział, dałoby się po odrzuceniu niepotrzebnych frazesów streścić jaśniej, zrozumiałej, a dla praktyki szkolnej użyteczniej. Autor przyrzeka w końcu podać wzór lekcji poglądowej; owszem, prosimy: takie metodyczne rozprawy są nader pożądane i pouczające, przyczem jednak domagamy się uporządkowania, a przedewszystkiem innego wystowienia się.

Że to ostatnie żądanie z naszej strony jest słuszne, stawiamy następujące dowody. Autor kocha się w pewnych wyrazach i stawia je nawet tam, gdzie są niestosowne, i tak np. w słowie: *imać* i w spójniku: *oraz*; powtórę: używa zaimków osobistych, podobnie jak w języku niemieckim; używa zdań względnych, imiesłowowych w niestosownym związku; często używa drugiego przypadku zamiast przymiotnika; zbyt często posługuje się formą bierną; używa niewłaściwych wyrazów; w wielu zdaniach obszerniejszych przeciwną naszemu językowi ma składnią; używa przyników sposobem niemieckim zamiast naszego 6-go przypadku i t. d. Oto przykłady na udowodnienie mego twierdzenia. Już sam tytuł jest nie polski, ale żywcem z niemieckiego: *Der Ausgangspunkt* i t. d.; „przedmiotów, które my imamy za pomocą zmysłów” (zmysłami); „do pierwszych należy wzrok oraz słuch;” „słuch podaje nam do ręki jedno z najpotężniejszych narzędzi;” „język dźwiękowy, artykułowany;” „sprawa wychowawczo-rozwojowa;” „pierwszym stopniem rozwoju świata ducha jest;” „ułamkowa wiedza;” „z każdym dniem przyplływają przez zmysły do umysłu nowe idee i z dobytą zostaje silna podstawa;” „jeżeli uczniowi różne jakie względy nie pozwalają dalszego pobierania nauki, to i tak wyniesie on w swym umyśle (jużciż nie w czem innym) ogólny pogląd na świat przyrody i stosunki społeczne.” Co za składnia?! „Zdobędzie sobie bowiem żywioły wszelkiego poznania i wszelkiej wymiany myśli, których gdy kto nie posiada, nie rozumie najpowszedniejszych zjawisk;” „ułatwią mu wykonanie dzieła rozwoju wychowawców;” „zasady te streszczają się do następujących punktów;” „Przenośmy więc jeszcze do szkoły przedmioty z domu rodzicielskiego” (zdawałoby się, jakoby autor kazał się rodzicom przeprowadzać ze swemi sprzętami do szkoły); „Oprócz blizkich dziecka i znanych mu rzeczy ze świata przyrody, istnieją... sprzęty różne, których bliższe poznanie stanowi najpierwszy (a następny?) wstęp do historii użytecznych wynalazków. Co więcéj, w rodzinném to ognisku dziecko zaspakaja głód, ogrzewa się oraz przyodziewa... wykonywa mnóstwo różnych ruchów lub czynności;” „przebywając przy rzeczach;” „przebywać przy rzeczach znanych” (zam. zatrzymywać się); „blizko leżąca (nahe liegend) rzecz;” „potnienie szyb;” „Pamiętajmy zasadę, iż chociaż w nau-

czaniu chodzi o gruntowność, jednakże nie powinien pierwszy nauczyciel tracić długich lekcji na rozbiór;" „pęka wątek wewnętrznego interesu;" „Poznanie (przecież: poznawanie) dziecka jest ogólne" (raczej: powierzchowne); „połyskują... kombinacje;" „Dobre obejrzenie przedmiotu rysuje postać jego w umysłowości ucznia;" „Z okazywaniem dzieciom przedmiotu należy połączyć stawianie im pytań odnośnych;" „dzieci pociągane są zawsze przez cechy nadzwyczajne, co im przeszkadza do poznania przedmiotu;" „Rozwojowe postaci umysłu;" „daną rzecz, danego kawałka ziemi, o danym przedmiocie;" „forma odpowiedzi uczniowskich" (!); „uczniowie moi powinni rozpoznąć osoby w tę powiatkę wchodzące, w następnie przez modulację swego głosu wyrazić specyalny charakter każdej osoby;" „fizyologiczny alfabet;" „duża trudność;" „porozumienie między nimi a nauczycielem w tym języku (ludowym) tylko może mieć miejsce naprzód, dopóki nie zostanie wprowadzony język literacki;" „pierwiastek różnorodności;" oko i ręka zarządzane są przez umysł;" „wychowanie na lepsze." Spójnik „oraz" w czternastu miejscach niestosownie użyty.

„O bezinteresowności," przez Ign. Boczylińskiego, zeszyt 8. Autor zamierzył przedstawić najpierw, że już w małych dzieciach trzeba tę cnotę rozwijać i kształcić; powtóre: wskazać środki i sposoby do tego celu. Pomijając, bardzo słusznie, roztrząsanie teorii o zapatrywaniu się filozoficznem na bezinteresowność, staje p. B. na stanowisku pedagoga i wywodzi potrzebę kształcenia tej cnoty z nieodłącznej własności natury ludzkiej: z towarzyskości. Podawszy definicyą bezinteresowności, zastanowiwszy się kilkunastu słowami nad egoizmem i altruizmem, określiwszy granice bezinteresowności i interesowności, przychodzi do sposobów uprawiania i pielęgnowania pierwszej. Ponieważ rodzina jest pierwszą formą towarzyskości, winna też być pierwszą szkołą tej towarzyskiej cnoty. Przechodzi szczegółowo, co w domu, wśród rodziny należy czynić, a czego zaniechać. Szkoła jest drugim po rodzinie kołem towarzyskiem. Również i tutaj wskazuje z dokładnem wyszczególnieniem, jakich środków nauczyciel ma używać, aby wychować ucznia bezinteresownego. Dodaje, że również ważnem nauczyciela zadaniem jest uszlachetnienie i oczyszczenie pobudek samej bezinteresowności; wspomina, że nasze społeczeństwo polskie ma skłonność do bezinteresowności często bez granic, że z tego powodu polski pedagog winien temu zapobiegać. Środkami najlepszymi są podług autora: przykład, pokierowanie w pewnym wypadku, usuwanie okoliczności nieprzyjemnych, pożycie koleżeńskie; napomnienia, morały, kary—mało pomogą; nieco więcej objaśnienie faktów, przytoczenie przykładów i opowiadań i t. d. Cała rozprawa napisana w stosownym łądziej, jasno, i widocznie wypłynęła z umysłu chętnie zastanawiającego się nad potrzebami naszego wychowania.

„Życie duchowe u noworodka przez J. W. D." (zesz. 10). „Wychowanie dziecka, mówi autor, rozpoczynać należy od chwili urodzenia."

Czytając te słowa, mniemaliśmy, że autor na podstawie właściwych psychologicznych spostrzeżeń nad dziecięciem rozwinie, a przynajmniej naszkicuje prawidła pedagogiczne, jakich w tym wieku używać należy; omyliliśmy się jednak. Rozprawka bowiem niczem innym nie jest, jak streszczeniem pracy B. Pereza w *Revue Philosophique* pod tytułem: „*Les facultés de l'enfant à l'époque de la naissance*,” a podającą nam rzeczy wcale nie nowe. Zasługą pana Pereza jedyną jest, że swą pracę oparł na własnych szczegółowych obserwacjach, jednakże tylko nad dwojgiem dzieci. Przyczém nadmienić musimy, że autor bardzo niefortunnie pogwałcił nasz język tworząc nowe wyrazy już to przeciw jego duchowi, już to niezrozumiałe, jak np. wewnątrzno-ustrojowy dobrobyt; zaczątkowe wrażenia; wrażenia nieumiejscowione; umiejscawiać; różnicowanie; mięśniowy czucia wysiłek; abstraktowanie i t. p.

„Z psychologii pedagogicznej. Zanik (!) świadomości przez J. W. Dawida” (zesz. 12). Choć praca ta nie jest w tym zeszycie ukończona, i ocenienie jej właściwe z tego powodu dane być nie może, warto się nad nią zastanowić z jednej bardzo ważnej przyczyny. Szanowna Redakcja zechce się zastanowić nad tém, co oświadczyła w swoim prospekcie, i zapytać się: dla kogo, dla jakich szkół i zakładów podjęła swe wydawnictwo: cui bono pisze? Przecież przypuszczamy, że czyni to dla celów praktycznych tak zakładów i szkół, jakoteż rodziców. Niech nam tedy wskaże, co poczną i jak zastosują czytelnicy „Przeglądu Pedagogicznego” oto tę pracę pana Dawida: pracę, która mogłaby stosownie mieścić się w inném jakimś fachowém piśmie, rozbiegającym teoretycznie zagadnienia psychologiczne, ale nie w „Przeglądzie,” którego najważniejszym celem i najpilniejszym zadaniem jest, wychowanie, kształcenie, uczenie na tych podstawach i wśród tych okoliczności, w których jesteśmy, ułatwić, prostować, rozwijać, i wogóle dobrem i coraz lepszym i powszechniejszym uczynić. Takie zaciekanie się w subtelności teoretyczne, których jasne i zrozumiałe przedstawienie wymaga władania niepospolitego językiem polskim, a która to strona w pracy pana Dawida jest nadzwyczaj słabą, do żadnego celu nie prowadzi. Niech np. kto ze zwykłych czytelników „Przeglądu” to zrozumie: „Mechanizm znakowania i wyrażania myśli przechodzi kolejne fazy rozwoju: od początkowych usiłowań nadania swój myśli nazwy ruchu i ustanawiania między nimi stałej odpowiedności, przez okres świadomego stosowania mechanizmu przy zupełném panowaniu nad myślą i jej znakiem, dążymy pod działaniem przyzwyczajenia do stłumienia świadomego podkładu myśli i zatrzymania jedynie znaków słownych.”

Niech „Przegląd” dla naszych stosunków i dla naszego położenia podaje proste, zdrowe pożywienie, a nie delikatesy.

S. S.
(d. n.).

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE, ARTYSTYCZNE I SPOŁECZNE.

WARSZAWA.

Czerwiec 1883. — Profesor archeologii na uniwersytecie Jagiell., J. Łepkowski, przesłał do Red. Bibl. następującą wiadomość o Gobelinach z scenami Odsieczy wiedeńskiej. Poruszona w r. 1880 sprawa o gobelinach („Czas,” Nr. 185; „Biblioteka Warszawska,” październik, 1880) sprawiła, iż się zewsząd zainteresowano tym przedmiotem, pomnażając i uzupełniając wiadomości do niego się odnoszące ¹⁾. Poszukiwania ks. Brykczyńskiego (zaczęte już w r. 1876) złączone z szczęśliwemi studjami ks. Polkowskiego, udowodniły, że nie było mylném przypuszczenie, iż ornaty gobelinowe sprawione dla katedry krakowskiej przez ks. biskupa Andrzeja Załuskiego, oraz płockie, jednego są wyrobu, jak się to później okazało z znalezionej na nich napisu: *Fait à Varsovie F. Glaize* („Wiek” r. 1880 Nr. 274). Daty ich są z czasu od r. 1745—1754.

Poczet posiadających u nas gobeliny, w owym artykule podany, uzupełnił się kilku jeszcze nazwiskami właścicieli tych przedmiotów, jak pp.: St. Słubowskiego (w Radzyniu), hr. Kwileckiej (w Oporowie), ks. Michała Radziwiłła, ord. hr. Krasieńskich, ord. hr. Zamoyskich, R. hr. Buińskich, K. Rogawskiego (z Ołpin) i innych. Wykaz ten pomnożył znacznie katalog wystawy warszawskiej, urządzonj w r. 1881 w pałacu Brühlowskim. Co najważniejsza, p. Jan Nepumocen Sadowski w obszernj rozprawie swojej, drukowanj w „Kuryerze Poznańskim” (r. 1881 N-ra. 4, 5, 6), dopełnił wiadomości archiwalne, zebrane przez ks. Polkowskiego o gobelinach katedry krakowskiej, gruntownemi studjami nad ich artystycznemi cechami i wartością. Pragnąc, iżby wiadomości z tój kategorii pomnożyły się, jako materal dla kogoś, coby pomyślał o wypracowaniu monografii o arrasach i gobelinach u nas będących, dodajemy jeszcze kilka szczegółów.

Lubowano się u nas bardziej niż na Zachodzie w oponach, dywanach, różnego rodzaju makatach, kobiercach adziamskich, perskich, altembasowych, szpalerach, a więc i gobelinach wspólnego z tamtymi

¹⁾ „O Kobiętnotwie,” a mianowicie o arrasach zwanych Potopem, jest rozprawa Siemieńskiego w I. tomie „Dzieł” jego.

użytku. Wschód to zamiłowanie u nas szczepił, drogą handlu i z łupów wojennych dostarczając opon bogatych. Możni zaspakajali później ów gust sprowadzaniem z Francyi i z Flandryi arrasów i gobelinów drogich. Kazali je nawet umyślnie dla siebie wyrabiać, polecając wyobrażenie na nich scen z dziejów ojczystych lub z rodzinnych wydarzeń. W tekach śp. Aleksandra hr. Przeczdzieckiego, jest notatka (z wiadomości zaczerpniętej od A. Lessera), że w Monachium w „Maximilianeum,” są dwa arras, z których jeden z genealogią domu bawarskiego, z wystawioną w niej postacią Kazimierza Jagiellończyka, żony jego Elżbiety i córki ich Jadwigi—drugi z genealogią cesarską, gdzie jest Cymbarka.

Nasze czasopisma ilustrowane powinnyby się starać o przerysy zabytków takich.

Naruszewicz, opisując w „Żywocie Chodkiewicza” zwycięstwo Kircholmskie (1605 r.), powiada: że we Flandryi zrobiono jedwabne szpalery z obrazami tej sławnej bitwy. Potrzeba szukać źródła, z kąd miał tę wiadomość, a śledzić, gdzie się owe gobeliny znajdowały i gdzieby dzisiaj były?

Oprócz gobelinów, jak ów z herbami książąt Czetwertyńskich i Olizarów (będący w gabinecie archeologicznym Uniwersytetu Jag.), lub ten z godłami Korycińskich, przechowany w kościele św. Floryana w Krakowie, wiele mamy innych z herbami Rzeczypospolitej albo rodzin różnych. Piękny z Pogonią, posiada ks. Władysław Czartoryski z rokiem 1736 i z nazwiskiem fabrykanta J. Nermot. Pokoje w Nieświeżu, jeszcze za Stanisława Augusta, zdobiły gobeliny z wyobrażeniami na nich scenami z historyi Radziwiłłowskiego domu. Zapewne z tych pozostał posiadany przez Zakład Ossolińskich, wystawiający bitwę pod Mozyrem. Jest ich téż jeszcze kilka w rękach ks. Michała, a szczególnie ów, który przedstawia scenę nadania Radziwiłłom książęcej godności.

Oprócz wspomnianej fabryki gobelinów w Warszawie (F. Glaize), wyrabiano je podobno także u książąt Ogińskich w Słonimie na Litwie.

W źródłach piśmiennych z czasów dawniejszych, nie zawsze domyślić się można, o czém mowa: czy o kobiercach, makatach, czy téż o gobelinach lub arrasach. I dziś nawet płaczą uiektórzy wiadomości w tej sprawie.

Szlachcic czy do ślubu na chwilę błogostawieństwa, czy téż wtedy, gdy syna chciał ukarać, potrzebował dywanu. Kobiercami okrywano ławy i posadzki — a makatami i szpalerami ściany. Z wojen z Turkami dostawało się do nas wiele dywanów różnego rodzaju. Że zaś wiktorya wiedeńska dostarczyła niemało takiej zdobyczy, której już później mniej bywało, więc jak każdy u nas ornament architektoniczny zwano arabeskim, a wszelki okop szwedzkim, zaś mogiły zawsze aryańską, zamek królowej Bony, tak kobierce zyskały ogólnie miano tureckich dywanów. Cenniejsze poczytywał ogół za pozosta-

łość po królu Sobieskim. Patrząc na gobeliny, zawieszane w katedrze na Wawelu, nie reflektowano się tém wcale, że są na nich herby biskupów: Zadzika, Trzebieckiego, lub że je darował Małachowski, albo Gębicki, ale zostały uznane za trophea z wyprawy wiedeńskiej. Wierzono, że je dał Sobieski—może i dlatego, że być tam mogły ko-bierce z daru króla Jana, gobelinami owemi później zastąpione.

Z postacią Sobieskiego złączyła się téż i wieść jakaś o gobelinach, wzmianka, z którą kilkakrotnie się spotykałem. Najwyraźniej występuje ona w „Pieśniach nabożnych” Remigiusza Suszyckiego, wydanych w Krakowie w r. 1697, u Fr. Cezarego, dedykowanych królewiczom Aleksandrowi i Konstantemu Sobieskim; gdzie w części III, zatytułowanej „Świat górny,” obszerna pieśń VII jest wyłącznie apoteozowaniem króla Jana.

W „Pamiętniku Franciszka Karpińskiego” (wydanie Turowskiego str. 1154) znajdujemy świadectwo o obiciach gobelinowych w katedrze Ś-go Szczepana w Wiedniu. Oto, co pisze:

„Obchodzono w Wiedniu corocznie w Septembrze uroczystość zwycięstwa nad Turkami. Po skończoném nabożeństwie w kościele katedralnym św. Szczepana, generał Cortecelli pokazywał mi kosztowne obicia gobelinowe, od gzymsów aż do dołu w kościele powieszane, na których cała téj wojny historia wyrobiona była jedwabiami; a co najosobliwsza, że portrety osób znaczniejszych w tę wojnę wchodzących, tak dobrze były wyrobione i trafne, że doskonały malarz lepiejby odmalować nie mógł. Kiedy oglądając porządkiem te sławne obicia, przyszlśmy do miejsca, gdzie Leopold, po zwycięstwie wiedeńskim, widzi się z Sobieskim, Cesarz wyrobiony z głową nakrytą, a król, szyszak w ręku trzymający...”

Przeszło już 100 lat temu, bo we wrześniu 1769 roku, kiedy Karpiński te gobeliny oglądał. Dziś ich niema w wiedeńskiej katedrze. Gdzie się podziały? Kiedy sprzątnięte?

Zająłem się przeglądaniem dawnych opisów Wiednia i kościoła św. Szczepana, począwszy od owych „Memorabiliów” z r. 1721, a skończywszy na Niemoyowskiego *Obrazie* (1821), Kluczyckiego „Pamiętkach” (1835), Hebenstreita „Przewodniku” (1836), wreszcie Pergera monografi katedry (1854) i innych. Ani wzmianki o owych gobelinach nigdzie nie znalazłem. Nie przypadły przecież. Są, chociaż nie w kościele, gdzie je oglądał Karpiński. W roku zeszłym, gdy urządzono w Wiedniu w Künstlerhauzie wystawę gobelinów, zapytywałem o te, które nas interesują.

W odpowiedzi znalazłem wskazówkę w „Dzienniku Poznańskim” (z 1 stycznia 1883 r.), powtórzoną przez inne gazety (a wreszcie zacytowaną przez p. J. Kołaczkowskiego), odsyłającą do katalogu E. Birka. Postarałem się o to dzieło, p. t.: „Jahrbuch der Kunsthistorischen Sammlungen des Allerhöchsten Kaiserhauses, herausgegeben vom k. k. Oberst-Kämmerer-Amte, unter Leitung des Grafen Franz Folliot de Crenville.“

Dr. Ernest Birk, redaktor działu gobelinów opisuje (od str. 222) ich 19, należących do Cesarza Austrii, zrobionych wedle obrazów Herbela, przechowanych w Burgu, niedanych na wystawę do Künstlerhausu. Ów Karol Herbel (zmarty w r. 1702) malował wypadki z życia Karola V Lotaryńskiego, na którego dworze zostawał. Był z nim nawet na wojnie, prowadzonej z Ludwikiem XIV, malując bitwy. Dwadzieścia pięć takich obrazów wystawiono w Nancy w r. 1698, z okazji wjazdu ks. Leopolda. Z tych kompozycji wyrobiono gobeliny w fabryce założonej w Malgrange pod Nancy. Oryginały owych obrazów zniszczył (w r. 1719) pożar w zamku Luneville. Sameż gobeliny przeszły w posiadanie Francji po wcieleniu do niej Lotaryngii, a następnie znalazły się we Florencji, wreszcie w Wiedniu (M. J. Guiffrey „Histoire de la tapisserie,” str. 153). Zdobią teraz ceremonialne apartamenta w Burgu. Są bardzo wielkie, bo po 4 metry 30 centymetrów wysokie, a 6, 7, nawet po 8 metrów, szerokie. Szczególnie cztery z nich nas interesują, te, które objaśniają będące na nich napisy, do księcia Lotaryńskiego się odnoszące.

„Turcas et Tartaros Posonium invasuros praevenit et profigit, auxiliariibus Polonis viam victoriae aperit 29 Juli 1683” (Wojska nasze.)—„Vienna a Turcis obsessa liberatur victricibus armis Caroli V die 19 Septembris a. 1683” (Tu Sobieski.)—„Carolus V sacris in aede Sti Leopoldi refectus ex Calembergo diluculo descendens superis auspiciibus Turcas se ipso fortior invadit 12 Septembris 1683.”—„Carolus V. Viennam liberat et innumeras eam obsidentium Turcarum phalangas ad turpem adicit fugam 12 Septembris 1683” (Tu Sobieski.)—„Fugato Turcarum exercitu Viennam praesidio munit.”

Z napisów, które przytaczam, zrozumieć można ducha obrazów owych, dla sławy ks. Lotaryńskiego skomponowanych.

Ufam, że tą notatką, tą pobieżną wskazówką pobudzę kogo z Polaków, przebywających w Wiedniu, do dokładnego obejrzenia gobelinów owych i szczegółowego ich opisania. Sądzę, że koniecznie postarzący się wypadało o sfotografowanie—albo (co lepij) o akwarelle, które wiernie umiałyby wykonać pracujący w Wiedniu w „Oesterreichisches Museum” uczeń szkoły krakowskiej p. Stanisław Barabasz. Myślę, że nawet z funduszu, jaki posiada komisja wystawy Sobiescianów, mającej się urządzić w Krakowie, pozwolono by koszta takiej roboty zapłacić. Gdy bowiem niepodobne uzyskanie owych gobelinów na wystawę, to użytecznym będzie, jeżeli się je w reprodukcji okaże. Przyda się to komuś, co teraz, w jubileuszowym roku wznawiającym po dwóch wiekach pamięć Odsieczy Wiedeńskiej, zechce napisać rzecz o kreacjach artystycznych, o obrazach, rzeźbach, sztychach, tyjących się Sobieskiego i jego rodziny.

Może dałoby się również otrzymać na Wystawę (a następnie dla owego Muzeum), w odlewie monument Sobieskiego, zrobiony w wieku XVII przez Piotra Vaneau, którego części będące we Francji, w zamkach: Montrésor, Pradelles i Brassac, w tym odlewie w całość złożyć-

by można; czy to wedle projektu Corroyer'a (podanego w dziele o o-wym pomniku, wydaném przez M. Vachou'a), czy téż wedle myśli p. Bolesława hr. Starzyńskiego, przedstawionój w pięknej publikacji p. J. Łoskiego, ogłoszonój w Bibl. Warsz. 1880, zes. kwietniowy i wrze-sniowy ¹⁾.

— Wystawa historyczna. Komitet krakowskiéj wystawy zabytków z czasów Jana III, ogłasza następujący komunikat: w pracowni Welońskiego w Rzymie, znajduje się portret Sobieskiego współczesny, popiersie naturalnych rozmiarów włoskiego pędzla. Obraz ten jest obecnie własnością pani Okraszewskiéj, a pochodzi z słynnéj galerii hr. Filippanich. Jest to, zdaniem p. Welońskiego, jeden z najwspanialszych portretów króla Jana, jaki można napotkać, bo łączy w sobie nader ścisłą charakterystykę najdrobniejszych szczegółów twarzy z wzniosłym i idealnym traktowaniem przedmiotu. Pan Weloński obiecał wstawić się u właścicielki, aby ten cenny nabytek zechciała wystawie krakowskiéj udzielić. Pomoc ta, témbardziej pożądana, że komitet krakowski napotyka konkurencyą komitetu wystawy wiedeńskiéj, który już w tym samym celu przedsięwziął rozmaite kroki. I tak: buńczuk pochodzący z wyprawy wiedeńskiéj, a znajdujący się w kościele Santa Maria di Loreto, pozyska prawdopodobnie ambasada austriacka, która z zarządkiem kościoła rozpoczęła w tym względzie układy. Natomiast bardzo cenne poparcie znalazł komitet krakowski w osobie księcia Baltazarego Odescalchi'ego, który przyjmując najuprzejmiej zaproszenie na członka komitetu, obiecał zająć się gorliwie wyszukiwaniem i uzyskaniem kwalifikujących się do wystawy przedmiotów. Z własnych zbiorów nadeszłe książę między innymi medal złoty, wybity na pamiątkę sojuszu, zawartego przeciwko Turcyi pomiędzy papieżem Innocentym XI, królem Janem, cesarzem niemieckim i Rzeczpospolitą wenecką, oraz kilka portretów współczesnych tegoż samego papieża, który pochodził z rodziny Odescalchich. Oprócz tego polecił książę, iżby wykonano odlew gipsowy z płaskorzeźby, przedstawiającej zwycięstwo pod Wiedniem, na grobie papieża Innocentego w kościele św. Piotra, tudzież taką samą reprodukcją grobu Aleksandra Sobieskiego, znajdującą się w kościele Kapucynów, na którym czyta się napis: „Alexander princeps regius, regis Poloniae filius, obiit anno D. 1714.” Z nieocenioną gorliwością raczyła się zająć także sprawami wystawy krakowskiéj zamieszkała w Rzymie księżna Wittgenstein, której łaskawemu pośrednictwu komitet krakowski ma już nie jedno do zawdzięczenia.

— W Wiedniu zawiązał się komitet polski w celu obchodu uroczystości dwóchsetnéj rocznicy oswoobodzenia Wiednia od najazdu tu-

¹⁾ Jak mało uwzględnia nasza prasa codzienna i tygodniowa to, co się w poważniejszych miesięcznikach pisze, może służyć za dowód i ta okoliczność, że gazety nasze głosiły przed paru tygodniami o dziele p. P. Vaneau, jak o nowém odkryciu. *Red.*

reckiego. Komitet składa się z 60 członków i odbył w dniu 27 z. m., pod przewodnictwem kanonika Chełmeckiego, posła do rady państwa, pierwsze swe posiedzenie, na którym ks. Konstanty Czartoryski, wiceprezes izby panów, przez akłamacją wybrany został prezesem. Komitet wejdzie w związek z centralnym komitetem lwowskim pod przewodnictwem członka izby panów ks. Adama Sapiehy i rozwinie działalność swą w porozumieniu z komitetem krajowym.

— Tablica pamiątkowa na Kahlenbergu opiewać będzie jak następuje (w dosłowném tłómaczeniu): „Z tych wzgórz ruszyli razem dnia XII września MDCLXXXIII Jan III Sobieski, król polski, cesarski generał-porucznik, książę lotaryński Karol V, elektorowie Jan Jerzy III saski i Max Emanuel bawarski, książę Jerzy Fryderyk z Waldeck, margrafowie Hermann i Ludwik z Badenu, i inni wodzowie z wojskami cesarza Leopolda I, tudzież z niemieckimi i polskimi wojskami posiłkowemi do walki dla oswobodzenia od tureckiego najazdu miasta Wiednia, przez oblężenie trwające dni sześćdziesiąt i jeden bardzo ucie-miężonego. W wdzięcznem wspomnieniu pełnego chwwały zwycięstwa wojsk sprzymierzonych—miasto Wiedeń, 12. września 1883.

— Towarzystwo historyczno literackie w Paryżu ogłosiło XXI-e sprawozdanie z czynności swoich od 1 kwietnia 1882 do 1 kwietnia 1883 r. Towarzystwo liczy członków 105. między temi 4 dobroczyńców, 6 honorowych, 8 korespondentów i 87 zwyczajnych. Prezesem Rady jest książę Wład. Czartoryski, wiceprezes Aleks. Chodźko, sekretarzem i zarazem dyrektorem biblioteki Lubomir Gadon. W dniu 3 maja z. r. Towarzystwo obchodziło 50-tą rocznicę swego założenia przez publiczne posiedzenie, na którym p. L. Gadon odczytał swoją pracę p. t. „Z życia Polaków we Francyi. Rzut oka na 50-letnie koleje Towarzystwa hist.-lit. w Paryżu 1832—1882.” Na konkursie, rozpisany przez Towarzystwo, otrzymał nagrodę w kwocie 1800 fr. p. A. Semkowicz za pracę o Długoszu. Obecnie rozpisano konkurs, na temat: „Jakim zmianom uległo sejmowanie polskie od pierwszych dokładniej znanych sejmów (1548) aż do zagęszczającej się praktyki „liberi veto” z wieku XVII?” Przyrost biblioteki w ciągu ubiegłego roku wynosił: dzieł 359 o 613 tomach, 101 broszur i 226 zeszytów. Dochody Towarzystwa przedstawiły łączną sumę 19,669 fr. 45 c., wydatki 5,302 fr. 85 c.

— Szacownego dla badań historycznych wydawnictwa prof. A. Pawińskiego p. t.: „Zróżdła dziejowe,” wyszedł t. XII p. t.: „Polska w XVI wieku pod względem geograficzno statystycznym.” T. I, Wielkopolska. Warsz. 1883. Zebrany obfity materiał poprzedza prof. Pawiński obszernym, ściśle naukowym wstępem, przedstawiającym niejako gotowy nowy nabytek dla badacza przeszłości naszej. Autor pragnie w tém szacowném dziele przyczynić się przedewszystkiém do podniesienia wiadomości naszych z geografii i statystyki krajowej w XVI wieku, kładąc w drugim rzędzie rzeczy skarbowe. Chodzi mu tedy o to, żebyśmy nareszcie poznali dokładnie całą Polskę w danym wie-

ku nie tylko ję województwa, powiaty, grody, miasta i miasteczka, co z prac dawniejszych Macieja z Miechowa, Kromera (Polonia, 1568), Kraśńskiego Jana (Polonia, 1574), Prochnickiego (Polonia, 1600), Sarnickiego, Gwagnina, Krzysztanowicza, Przyłuskiego Jakoba i t. d.); jak i nowszych (Święckiego i Balińskiego) jest już znanem; ale żebyśmy zgoła poznali wsi, wszystkie bez wyjątku, choćby najmniejszą osadę, złożoną z kilku morgów zagrody szlacheckiej. Patrząc na tę Polskę XVI wieku z ję liczną rzeszą miast i miasteczek i z tysiączną drużyną ję wsi, siół i osad, na które i znana czytelnikom Biblioteki księga J. Łaskiego w tym wieku niepoślednie rzuca światło, możemy dopiero sprawiedliwie ocenić ogrom spustoszenia, jakie w następnych wiekach zrzędziły w kraju ciągłe wojny nie tylko z sąsiadami wschodnimi, ale i z najeźdźczym Szwedem. Gęstość osad w owym czasie każe wnioskować o bardzo korzystnem zaludnieniu kraju. Prace w tym kierunku podejmowane są nadzwyczaj ważne i pożądane; lecz badacz dziejów powinien się i tutaj mieć na baczności, aby z jednej ostateczności nie wpadł w drugą; a naśladowając np. Taine'ów, żeby nie sądził, że obok tego materiału wewnętrznego, że tak powiem, życia kraju, nie zasługują już na uwagę sprawy wojenne, dyplomatyczne i w ogóle polityczne. U nas, gdzie tak łatwo bez głębszego badania zapalamy się do nowych poglądów, zwłaszcza gdy są jeszcze ubrane w nadobną formę, przestroę tę uważamy za potrzebną i nie wątpimy, że szanowny profesor uwagę naszą podziela, gdy w swoim wstępnem studyum nie poprzestaje na jednej stronie życia narodowego, ale stara się zawsze obejmować cały organizm, przez co dowodzi, że ocenia sprawiedliwie wartość naukową gromadzonych przez siebie materiałów źródłowych. Uderzyła nas powtarzająca się kilkakrotnie forma słowa: „nie masz” (druga osoba od słowa: mieć = non habes, nie posiadasz) zam. nieosobowego: „nie ma,” które nie może przybierać końcówki osobowej bez zatracenia swego znaczenia np. str. 8: „dla statystyki na tych ugorach plon lichey albo go też wcale nie masz,” powinno być: nie ma. Jest to praca pierwszorzędnego znaczenia!

— Ks. Julian Bukowski, dr. św. teologii, proboszcz koll. i kościoła św. Anny w Krakowie, członek Akademii umiejętności, wydał w Krakowie 1883 r. (str. IX, 709) pierwszy tom obszernego dzieła p. t.: „Dzieje reformacyi w Polsce od wejścia ję do Polski aż do ję upadku.” Według najnowszych źródeł (?). Wiarogodne źródła mogą być tylko współczesne, a więc stare, z których badacz czerpie swoje wiadomości, nowsze i najnowsze dzieła są już owocem kombinacyi, nie świadków naocznych, ale osób trzecich, których opinie trzeba poznać; ale ślepo za nimi jak za wiarogodnym świadkiem iść nie można. Sz. autor zapatruje się mylnie na znaczenie źródła historycznego i dlatego nie możemy się godzić na klasyfikacyę źródeł, którą na początku dzieła swego zamieścił. Dzieło ks. Bukowskiego odnosi się do sprawy, która w naszej literaturze jest jeszcze zupełnie zaniedbaną. Na dzieje reformacyi w Polsce patrzymy przez okulary akatolickie, które chępiąc się bystrością obiektywnej nauki, ukazują nam jednak wszyst-

kie fakta pod takim kątem, jaki idea protestancka zakreśla. Fana-tyzm protestancki nie mógł dotychczas sprawiedliwie ocenić działal-ności kościoła i duchowieństwa katolickiego. Czy dzieło ks. Bukow-skiego potrafi się w pewnej mierze przyczynić do osiągnięcia tego celu? Wnosząc z tomu pierwszego, który dopiero wyszedł z druku, musimy wątpić o tém. Dzieło ks. Bukowskiego zawiera wiele pożądanego ma-teryału; ale autorowi, władającemu niezręcznie językiem polskim, brak tego kunsztu historycznego, który przekonywująco działa na ka-żdego czytelnika. Oprócz tego, jest sama osnowa trochę za rozwlekła: większa ścisłość i systematyczność wykładu byłaby w tak ważnej sprawie bardzo pożądaną. W każdym razie pozostanie dzieło ks. Bukow-skiego jako praca samodzielna, wielostronne nawet i nowe wiadomości gromadząca, szacownym nabytkiem literatury historycznej.

— W Wrocławiu wyszło ważne dla dziejów epoki Piastowskiej dzieło p. Haeussler'a p. t.: „Urkundensammlung zur Geschichte des Fürstenthums Oels bis zum Aussterben der Piastischen Herzogslinie.” Breslau, Max et Comp., 1883.

— W Lipsku wyszło dzieło p. Thun p. t.: „Geschichte der revolu-tionären Bewegung in Russland,” Leipzig, 1883.

— Prezes Towarzystwa historycznego rosyjskiego p. A. Poław-cow, w sprawozdaniu na doroczném posiedzeniu w Petersburgu wymie-nił między innymi wydawnictwami, dokonaniem staraniem stowarzy-szonych, tom XXXVII Pamiętników (Sbornika) świeżo wydany przez Towarzystwo, a nieobojętny dla naszych dziejopisów. Tom ten zawiera dalszy ciąg korespondencyi króla pruskiego Fryderyka przezwanego Wielkim z ks. Solms'em, drukowanej już w t. XXII Pamiętników. O-głoszone obecnie dokumenta obejmują czas od r. 1767 do początku 1772, t. j. do chwili podpisania traktatu tajnego między Rosyą a Prusami. Do-kumenta owe, pochodzące z berlińskiego archiwum państwowego, przy-gotowane do druku przez sekretarza rosyjskiego Towarzystwa history-cznego p. Stendmann'a, ściągają się głównie do trzech zagadnień hi-storycznych: a) Stosunku rządu pruskiego do dyssydentów w Polsce i projektu zmiany rządu w tym kraju; b) Pierwszego rozbioru Polski; c) Stosunku Prus do wojny Rosyi z Turcyą od roku 1768, oraz zmiany kierunku politycznego Austrii w sprawie wschodniej. Dokumenta owe wyjaśniają też bieg układów, które doprowadziły do zawarcia jednego traktatu jawnego i dwóch tajnych, a mianowicie: 1) Traktatu tajnego między Rosyą a Prusami przeciwko Austrii w r. 1767; 2) Traktatu ja-wnego między Rosyą i Polską co do praw dyssydentów i innych zaga-dnień politycznych; 3) Traktatu tajnego między Rosyą a Prusami o pod-ział Polski, podpisanego dnia 17 lutego 1772 roku. Obecnie rosyj-skie Towarzystwo historyczne przygotowuje do druku dokumenta tyczą-ce się stosunków z Austryą od roku 1779. Odpisy sprawozdań posłów austriackich w Petersburgu już otrzymano z archiwum państwo-wym w Wiedniu; co zaś do instrukcyj i rozkazów przesyłanych swoim postę-pem przez rząd austriacki, niema jeszcze pozwolenia gabinetu wiedeńskiego.

na ich skopiowanie. Towarzystwo otrzymuje na te wydawnictwa po 2,000 rub. rocznie zapomogi ze skarbu państwa.

— Wydział historyczno-filologiczny uniwersytetu Warszawskiego ogłosił konkurs na rok przyszły z historyi literatury polskiej na temat „O tłumaczeniach psalterza na język polski,” szczególniej zaś „o psalterzu J. Kochanowskiego.” Autor dysertacji przedstawić powinien historyczny i krytyczny pogląd na wszystkie kompletne tłumaczenia psalterza i psalmów pojedynczych aż do czasu wyjścia na świat psalterza J. Kochanowskiego. Rozpatrzyć psalterz Kochanowskiego pod względem bibliograficznym, historycznym, języka, teoryi (rodzaj wiersza i t. d.), określić stosunek tłumaczenia, do oryginału, wreszcie wykazać zalety i znaczenie psalterza Kochanowskiego, jako utworu literackiego, a także stosunek do tłumaczeń staro-ruskich psalterza. Jako źródła między innymi podano: Borkowski, „Psalterz królowej Małgorzaty,” Działyński, „Zabytek dawniej mowy polskiej,” Wiszniewski, „Historja literatury polskiej,” Maciejowski, „Piśmiennictwo polskie,” Estrejcher. „Bibliografia pols.” tom XV—XVI). Nagrodę stanowi medal złoty, Pracy na temat ogłoszony na r. b. akademicki p. t.: „Krytyczny rozbiór poematu „Marya” (Malczewskiego) dotąd fakultetowi nikt nie złożył.

— Na posiedzeniu dnia 12 b. m. wydziału historycznego Tow. Przyj. Nauk w Poznaniu odczytał dr. Zielewicz bardzo zajmującą rzecz o Klaudyi z Działyńskich Potockiej, opartą na pamiętnikach d-ra Józefa Szczapińskiego, który r. 1870 umarł w gościunym domu Sewer. Mielżyńskich w Miłostawiu. Szlachetna ta pani, będąca uosobieniem wzniosłego poświęcenia i najgorętszej miłości kraju, skonała na rękę Szczapińskiego, a wspierając potrzebujących wychodźców, często używała jego pośrednictwa. Szcz. tedy przytacza wiele ciekawych szczegółów i faktów, uzupełniających w sposób nader szczęśliwy dotychczasowe o nią wiadomości. Obok pani Potockiej, pięknie odbija oryginalna figura zacnego Szczapińskiego, który nie zdoławszy ocalić jej życia, porzuca odtąd medycynę i woli grą na skrzypcach w ogródkach i na balikach zarabiać na chleb powszedni, aniżeli uprawiać dalej sztukę, która w tak ważnej dlań chwili okazała się bezsilną. Wykład ten łączył się z poprzednim odczytem prezesa, p. St. Koźmiana, o Tytusie Działyńskim, niejako w jedną całość.

— Wycieczki naukowe. Redakcyja „Wszechświata“ zabrała głos w sprawie proponowanych przez niektóre pisma warszawskie wycieczek naukowych po kraju. Zgadając się na nie, owszem popierając je gorąco, ze swjej strony redakcyja proponuje ażeby: 1) wycieczki te nazwać „wycieczkami fizyograficznymi“ na wzór wędrówek ś. p. prof. Jastrzębowskiego; 2) wnioski, wpływające na rzecz wycieczek fizyograficznych składać do kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowym imienia J. Kochanowskiego; 3) „Pamiętnik fizyograficzny najchętniej drukować w formie sprawozdania „z wycieczek fizyograficznych.“ Sprawozdania te dostarczą ciekawego i ważnego materiału do poznania przyrody naszego kraju, tak, że każde pismo poważniejsze te relacye naszych geologów chętnie-

by powitało. Na ten cel Redakcyja „Wszechświata“ złożyła rs. 100. A więc początek zrobiony; a mając wzgląd na ważność sprawy nie wątpimy, że skutek odpowie godnie szlachetnemu celowi.

— Badania geologiczne naszego kraju w tym roku wyjątkowo będą obfite, komitet geologiczny wysłał bowiem trzy ekskursye, mianowicie: Michalskiego w Radomskie i Częstochowskie, Rugiewicza w Kieleckie i Giedrojca w Łomżyńskie, a departament górniczy krząta się około ułożenia mapy pokładowej okolic Dąbrowy i Olkusza. Energetyczny ruch na tém polu jest nader pocieszający i można mieć nadzieję, że jeżeli tylko energia ta nie osłabnie, to w krótkim czasie całe Królestwo zbadaném będzie.

— Wykopalisko. W Szcześliwicach pod Warszawą, w cegielni, będącej własnością pp. J. Riedla i W. Michnowskiego, znaleziono w glinie kości i zęby przedpotopowego słonia, odmienne od pospolicie spotykanego mamuta. Jest to t. zw. „*Elephas antiquus*“ znajdujący w formacji dyluwialnej w różnych stronach Europy. Właściciele cegielni wykopane szczątki ofiarowali do gabinetu zoologicznego. Opis szczegółowy wspomnianych kości i zębów będzie umieszczony w III tomie „Pamiętnika fizyograficznego.“

— Nakładem księgarni Gustawa Sennewalda, ukazały się „Zasady ekonomii politycznej“ przez Emila de Laveleye, profesora ekonomii w uniwersytecie w Liège. Z upoważnienia autora przełożył Sk..., przejrzał Jan Banzemer.

— Poszyt piąty i szósty wydawnictwa Juliusza Sypniewskiego p. t.: „Owczarstwo,“ wyszedł z druku, stanowiąc koniec tego pożądanego dla naszych gospodarzy dzieła.

— W sporze naukowym o wiek morza Śródziemnego, toczącym się w paryżkiej akademii nauk, przyjął udział znany nasz podróżnik i geograf-botanik, dr. A. Rehman, prof. uniwersytetu lwowskiego. Spór ten toczy się głównie między pp. Blanchardem, Milne-Edwardsem i Daubrée. Pan Rehman występuje przeciw Blanchardowi, który z rozsiedlenia roślin i zwierząt w okolicach nad morzem Śródziemnem wnosi, że ląd starożytny (Europa, Azja, Afryka) był niegdyś jednolitą całością i że morze to wdarło się weń w najnowszej epoce geologicznej czwartorzędowej. Pan Rehman odrzuca ten wniosek i twierdzi, iż właśnie ów ląd cały był niegdyś razem pod wodą i z niej się wyłaniał, a morze Śródziemne jest tego prastarego oceanu resztką. Nietylko geografia roślin tego dowodzi, ale i geologia, jak to wykazał geolog Daubrée, iż morze to istniało już w epoce kredowej, a nawet było wtedy daleko większém niż dziś, pokrywało wschodnią Europę i zachodnią Azją, łączyło się z oceanem Lodowatym. Wywody botaniczno-geograficzne prof. Rehmana popierają ten pogląd.

— Ważny zabytek naszej przeszłości wpadł w tych czasach w ręce mieszkającego w Paryżu namiętnego zbieracza rzeczy polskich, p. Hipolita Swiejkowskiego. Jest to pas zrobiony z blachy miedzianej, bogato zapewne dawniej złożonej, czego bardzo już małe zostały ślady,

a służący do uroczystości koronacyjnej Stefana Batorego. Składa się z piętnastu blach pojedynczych, rodzajem zawiasów ze sobą połączonych, szesnastą zaś jest wielka klamra z wyobrażeniem uroczystości koronacyjnej, z datą i podpisem w języku polskim. Na pojedynczych blachach znajdują się wizerunki królów polskich z nazwiskami i datami panowania, także po polsku. Królów tych jest pięciu: Kazimierz Wielki, Kazimierz Sprawiedliwy, Władysław III, Bolesław Kędzierzawy i Leszek Czarny; dlaczego zaś tych, a nie innych wybrał artysta, tego odgadnąć trudno. Sasiadująca z każdym wizerunkiem blacha nosi nazwę króla, oraz orła Jagiellońskiego. W miejscu, gdzie utwierdzano rapcie do szabli, znajduje się herb Piława, tudzież podpisane pod nim imiona Aleksandra i Sulisława, wojewody sandomierskiego, protoplastów, jak wiadomo, rodu Potockich. Ten wzgląd każe wnosić, że pas wykonany być musiał dla Potockiego, a nawet wątpliwości nie ulega, że musiał go mieć na sobie Jakób Potocki, który ze Stefanem Batorem był bardzo zbliżony, bo przebywał na dworze księcia siedmiogrodzkiego i który już później za Zygmunta III jako dzielny wojownik zakłysnął. Że pas jego był własnością, przypuszczać można ztąd, iż kronikarze o Jakóbie Potockim opowiadają, jako był bardzo drobny i szczupły, a właśnie pas do bardzo szczupłej należeć musiał osoby. Wizerunki wszystkie, jak i napisy, mają formę płaskorzeźby i wytłaczane są w blasze; a choć o podobieństwie rysów mowy być nie może, wszakże Batory, który powtarza się po dwakroć, bo raz na klamrze w koronacyjnym obrzędzie, a drugi raz jako medalion zawieszony jest po prawej stronie, jest takim, jak go przedstawiają inne współczesne rysunki. Że pas musiał być w Polsce zrobiony, dowodzi tego język i staranna ortografia napisów. W każdym razie przedmiot ten jest wielce ciekawym zabytkiem sztuki polskiej z końca XVI wieku. Charakter renesansu w niej przeważa, choć nawet i ślady gotyku odszukać w niej także można. Nie wątpimy, że szczęśliwy znalazca tej pamiątki, nie zaniedba okazać jej znawcom prawdziwym, a zdaje się, że zbliżająca się wystawa w Krakowie dobrąby do tego sposobność nastęrczała. Tymczasem sądzimy, że pożyteczną byłoby rzeczą odfotografować ją lub narysować i do ilustrowanych pism polskich przesłać.

— Czwarty zeszyt wydawnictwa Lesmana i Swiszczyńskiego p. t. „Lira polska” wyszedł z druku i zawiera utwory Anczyca, Brodowskiego, Czermeńskiego, Czesława, Deotymy, Elyego, Grozy, Goszczyńskiego, Kraushaara, Konopnickiej, Norwida, Ujejskiego i i.

— „Biblioteka najcelniejszych utworów literatury europejskiej” za m. maj, ukazała się z druku i zawiera dalszy ciąg „Dachijsczyzny” powieści Jeża i „Dziejów literatury powszechniej.”

— Nr. 11 „Ogrodnika Polskiego” wyszedł z pod prasy i zawiera jak z zwykle treść pouczającą, do praktycznych potrzeb zastosowaną.

N e k r o l o g i a.

— † **Ś. p. Cypryan Norwid**, rytownik, rzeźbiarz i poeta, brat zmarłego niedawno poety Ludwika Norwida, urodzony w roku 1825, zmarł dnia 23-go maja w Paryżu, w zakładzie Św. Kazimierza. Norwid kształcił się w Warszawie, i tu około roku 1840 zajaśniał odrazu niezwykłym blaskiem w ówczesnym ruchu umysłowym młodzieży. Z pierwocin płodów jego muzy, krańcowych co do kierunku społecznego, ale świetnych pod względem obrazowania i oryginalności języka, wiele wrócono na przyszłość, co się jednakże nie ziściło. Ś. p. Cypryan wydał następujące prace: „Auto-da-fé” komedia w 1-m akcie i „Szczęsna” powieść (Petersburg 1859 roku); „Dwa rapsody” (Lipsk), „Poezye” (Lipsk), „Pieśni społeczne” (Poznań), „Promethidion” (Paryż 1851), „O Juliuszu Słowackim” (Paryż 1861), „Jeszcze słowo” wiersz (Paryż 1848), „Rzecz o wolności słowa” wygłoszona na odczycie przez autora mianym (Paryż 1869 r.), „O sztuce” dla Polaków... (przeciw Jul. Klacze) (tamże 1858), „Wigilia” legenda (tamże 1848). Na zgon ś. p. Gajewskiego, inżyniera, zabitego eksplozyą maszyny parowej w Manchester (Paryż 1858) wiersz; „Zwolon” monologia (Poznań 1851). Przy wydaniach ilustrowanych poznańskich Żupańskiego, są ryciny własne rylca autora.

— † **Ś. p. Jakób Fankidejski** licencyat św. Teologii, w roku 40-m życia a 15-m kapłaństwa zmarł dnia 6 go czerwca w Pełplinie w Prusach Zachodnich. Zmarły ogłosił drukiem obszerną pracę p. t.: „Utracone kościoły w dawniej dyecezyi chełmińskiej,” oraz „Miejsca cudami słynące w dawniej dyecezyi chełmińskiej.” Pisał on również wiele artykułów do „Słownika geograficznego polskiego.”

— † **Ś. p. Włodzimierz Dybek** doktor medycyny, był profesorem b. Akademii medyko-chirurg. i b. Szkoły głównej warszawskiej, zmarł dnia 20 go czerwca r. b. we wsi Topoli pod Łęczycą. Ś. p. Wł. urodził się w Warszawie d. 12-go grudnia 1824 r. Studya akademickie odbył w Dorpacie i w Berlinie, gdzie pozyskał stopień doktora medycyny. Wydał: „De pulmonum emphysemate” rozprawa doktorska r. 1847. „O gastrycyzmie,” „Cztery sprawozdania z czynności Towarzystwa lekarskiego „Opis operacyi przepukliny pachwinowej,” drukowanej przez dr. Girsztowta,” „Oleje ozonizowane,” „Sprawozdanie z rozpraw o dławcu,” „Pulweryzatory,” „Wykład patologii,” „Życiorys Dworzaczka,” „Terapia ogólna.” Osobistość ś. p. Włodzimierza zasłużyła się krajowi na katedrze i w literaturze, wskutek czego cieszyła się też wielkim szacunkiem i ogólnym poważaniem w kraju. Cześć jego pamięci!

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny **J. K. Plebański.**

Wydawca **Józef Berger.**